Na podstawie: Antonina Domańska, Historia żółtej ciżemki, Czytelnik, Warszawa 1961

Wersja lektury on-line dostępna jest na stronie wolnelektury.pl.

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza, że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać.

ANTONINA DOMAŃSKA

Historia żółtej ciżemki

1489–1867

Cenny klejnot starego Krakowa, chluba Polski, arcydzieło mistrza Wita Stwosza[1] i pomnik jego chwały — wielki ołtarz w kościele Panny Marii, fundowany przez bogate mieszczaństwo krakowskie w r. 1489, chylił się ku upadkowi.

Blisko cztery wieki rzeźba ta przewspaniała zajmowała najcelniejsze miejsce w świątyni, blisko cztery wieki opierała się niszczącemu wpływowi czasu, wreszcie uległa.

Oto co powiada sprawozdanie dozoru kościoła Panny Marii z r. 1867:

„...od chwili gdy się przekonano o groźnym stanie ołtarza, zajęto się bezzwłocznie szukaniem środków uratowania go dobrze obmyśloną restauracją. Imiona Piotra Michałowskiego[2] i Karola Kremera[3] wiążą się z tą myślą. Oni pierwsi badali stan i przedstawiali środki. A choć nie doczekali szczęśliwej chwili rozpoczęcia pracy, za pobudzanie i nawoływanie do niej cześć ich pamięci!"

Komitet restauracji wielkiego ołtarza składał się, prócz stałych członków dozoru kościelnego, z następujących mężów: prof. Czyrniański, pr. Dunajewski, W. Eliasz, P. Filippi, ks. Grzybowski, prof. Kuczyński, prof. J. Kremer, H. Kieszkowski, M. Kukalski, J. ks. Lubomirski, prof. Łepkowski, P. Popiel, F. Paszkowski, F. Pokutyński, E. Stehlik, H. Seredyński, ks. Wilczek.

Przytaczam dalej słowa sprawozdania:

„...przystąpiono do zupełnego rozebrania ołtarza, do wyjęcia wszelkich rzeźb i ornamentyki, kawałek za kawałkiem. Wtedy to ruszyła się przez wieki nagromadzona ilość kurzu, znalazły się ważne odłamki, znalazł się osnuty pajęczyną trzewik średniowiecznego robotnika, zgubiony przed 400 laty..."

Wielki ołtarz, odnowiony i zabezpieczony gruntownie przed zniszczeniem na dalsze setki lat, służy znów Bożej chwale, zachwyca oczy i serca patrzących, głosi sławę nieśmiertelną mistrza Wita Stwosza.

Znaleziono za ołtarzem trzewik, żółtą ciżemkę... Skąd się tam wzięła? Do kogo mogła należeć? Czy był rzemieślnikiem człowiek, co używał safianowego obuwia? Czy umyślnie rzucił trzewik za ołtarz? Ale dlaczego? Czy dorosły mężczyzna mógł mieć taką małą stopę? A może to był chłopiec? Może to było dziecko?

Odkąd przeczytałam zagadkowy ustęp sprawozdania i oglądałam żółtą ciżemkę, niepokoiły mię[4] te myśli, szukałam na nie odpowiedzi...

---

[1] *Wit Stwosz* (ok. 1448–1533) — niemiecki rzeźbiarz, grafik i malarz, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli późnego gotyku w rzeźbie. Mieszkał i pracował w Krakowie w latach ok. 1477–1496.

[2] *Michałowski, Piotr* (1800–1855) — malarz, organizator życia społecznego i gospodarczego, uczestnik powstania listopadowego.

[3] *Kremer, Karol* (1812-1860) — architekt krakowski.

[4] *mię* — dziś popr.: mnie.

„Już nigdy nie będę!" — Co przeżył i kogo znał organista Walanty. — Dokąd można zajechać na drewnianej jaszczurce. — Zabłąkany w puszczy. — Pieśń wieczorna wilka.

Dzieciństwo, Ojciec, Kara

— O mój tatusiu, mój złocisty... nie bijcie! Jeszcze mi ten ostatni raz darujcie! Juz[5] nigdy, a nigdy, a nigdy nie będę!

— Co dzień obiecujesz, co dzień bicie bierzesz, końca temu nie ma! — krzyknął z gniewem ojciec, trzymając chłopca za kołnierz u koszuli, a oglądając się za rzemykiem.

— Ady[6] mu przecie wybacz, kiej[7] tak święcie przyrzeka — wstawiła się matka, odsuwając garnek z jagłami[8] od ognia. — Takiś zawzięty na ono[9] dziecko, a Bogiem i prawdą nie ma o co. Mały jest, to się i bawi; cóż ci wadzi, że se ta kozikiem w deszczułeczce dłubie? Sprzykrzy mu się, rzuci, ano za tydzień będzie nowa zabawka.

— A ile razy do kości palce pozacinał i nie rzucił noża? Skórę prać rzetelnie, to może usłucha. Gdzie postronek[10]?

— Puść go! Mówię ci po dobroci; obiadować[11] pora. Wawrzuś, przysuń tatusiowi ławę.

— Zawdy[12] musi być babskie na wierzchu — mruknął Wojciech.

Usiedli wszyscy troje za stołem i jedli w milczeniu. Pokrzepiwszy się, gospodarz zwrócił się znowu do synka i mówił już spokojnie:

— Pamiętajże se, coś sam powiedział: „ostatni raz". Chłoposko[13] dziewiąci[14] lat sięga, a bydlątku nie da rady. Wygoń wszystkie trzy na pastwisko, a dawaj pozór[15], coby[16] ci znów która nie uciekła. Mam co lepszego do roboty, jak za krowami po boru biegać. No, idź.

Wawrzek wyskoczył z chałupy uszczęśliwiony, że dzięki matusi ominęła go kara, i pełen jak najlepszych postanowień, pomaszerował z krowami na łąkę. Wojciechowa pomyła statki[17] i zasiadła przed warsztatem tkackim, z którego już spory kawał szarego płótna aż do ziemi zwisał. Największą jej dumą było, że jak Poręba Porębą, żadna gospodyni tyle lnu nie siała, tyle nici nie przędła, tyle płótna nie tkała, co ona. Wzięła się więc ochoczo do roboty, ino[18] raz na jakiś czas pociągając sznurek od podłużnego kosza, zawieszonego na hakach u powały. W tym koszu spało jej najmłodsze dziecko, trzymiesięczna Kondusia. Siedmioletnia Marysia uciekała raz wraz do „babusi", a rodzice nie bardzo jej tego bronili, bo matka Wojciecha, zgrzybiała staruszka, potrzebowała i posługi, i rozweselenia, a Marysię okrutnie lubiła.

---

[5] *jeszcze… juz* (gw.) — jeszcze, już; w wielu gwarach polskich występuje zjawisko mazurzenia, tj. wymowy głosek „cz", „ż", „sz", „dż" jako „c", „z", „s", „dz" (mazurzeniu nie podlega „rz").

[6] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ale.

[7] *kiej* (gw.) — kiedy, skoro.

[8] *jagły* — kasza.

[9] *on, onego* (daw.) — ten, tego a. on, jego; tu B. lp r.n. ono: to.

[10] *postronek* — sznur.

[11] *obiadować* (daw.) — jeść obiad.

[12] *zawdy* (daw.) — zawsze.

[13] *chłoposko* (gw.) — chłopisko, chłopaczysko.

[14] *dziewiąci* — dziś popr.: dziewięciu.

[15] *dawać pozór* — zwracać uwagę, pilnować.

[16] *coby* (gw.) — żeby.

[17] *statki* — tu: naczynia.

[18] *ino* (gw.) — tylko.

Wojciech nasadził na głowę białą sukienną czapę, poprawił rzemyki u postołów[19], przystanął chwilę we drzwiach, jakby się namyślając, wreszcie zawrócił w prawo i poszedł ku wsi.

— Juści[20] tak najlepiej — mówił do siebie półgłosem — do samego proboszcza nie pójdę, gdziebym ta śmiał zaprzątać głowę jego wielebności tym nicponiem. Walantego się poradzę albo i Pietra. Organista, kościelny, uczone osoby, na każdej książce znają czytać, prędzej umiarkują niż ja, co by za leki skuteczne były na Wawrzkową chorobę. Ale gdzie onych szukać? Walantowa herod-baba, stary ucieka z domu, kiej ino może; pewnikiem zemknął do Pietra i miód se oba pociągają.

Słusznie się Wojciech domyślał: organista i kościelny siedzieli w sadzie na darniowej ławie pod rozłożystą jabłonią, kamionka[21] z miodem i cynowe kubki przed nimi.

— Niech będzie pochwalony... witajcie, kumotrowie! — rzekł kmieć, podchodząc ku nim.

— Na wieki wieków — odparli razem, a gospodarz dodał: — Siadajcie wedle[22] nas, Wojciechu; Jaguś... jeszcze jeden kubek! Jakże tam u was, wszystko zdrowe?

— Dziękować Panu Jezusowi, krzepimy się jako tako — odpowiedział gość i usiadł na zydlu przyniesionym przez córkę gospodarza.

Grzeczność, Obyczaje

Mówić o interesie zaraz po przywitaniu uważane jest na wsi za wielką nieprzyzwoitość i brak wychowania; tak samo pojmowano grzeczność i przed wiekami. Dlatego też Wojciech ani wspomniał, z czym przychodzi, owszem, przeprosił przyjaciół, że im przerwał rozmowę.

— A o czymże pogwarka? — spytał Piotra.

— Spominamy[23] se stare dzieje — odparł kościelny — raczej Walanty opowiada, a ja słucham. Człowiek to niemal na pamięć umie, a nigdy mu się nie znudzi, zwłaszcza od naocznego świadka słyszeć.

— O czymże takim?

Kondycja ludzka, Chłop, Pamięć

— Sprawiedliwie gadają Piotr[24]; rozmawialiśmy o bitwie pod Warną[25].

— O moiściewy[26]... nie przerywajcież sobie; toć i ja strasznie bym rad usłyszał, jak to było. Na wsi ludzie niewiela[27] wiedzą o świecie, prawdę rzec, a nie zełgać, nawet nie ciekawi; a już co nasza Poręba, to prawie jak za murem. Puszcza niezmierzona od zachodu słońca i od północy, rzeka nas opływa w półkole, w ciężkiej robocie rok za rokiem przemija, człek się rodzi, żyje i umiera, nieświadomy niczego. Jeszcze łaska boska, jeżeli zna imię najmiłościwszego króla. Ach, gadajcie, gadajcie... serce mi z ciekawości młotami bije.

— Juści trudno, żebyście co z onego czasu zapamiętali — rzekł organista — ani was może na świecie jeszcze nie było.

— A ileż ta temu będzie? — spytał Wojciech.

— Czekajcie, zaraz wyrachujemy. Miłościwy król Władysław[28] dwadzieścia lat miał, gdy zginął w onej strasznej bitwie. Za wielką chlubę i cześć sobie poczytuję,

[19] *postoły* — obuwie z łyka (łapcie) a. ze skóry zwierzęcej (skórznie).

[20] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[21] *kamionka* — gliniane naczynie.

[22] *wedle* — obok, przy.

[23] *spominać* (daw.) — wspominać.

[24] *Sprawiedliwie gadają Piotr* (gw.) — Piotr mówi prawdę.

[25] *o bitwie pod Warną* — Szczegóły historyczne o bitwie pod Warną wzięte z *Kroniki* Bielskiego.

[26] *moiściewy* (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

[27] *niewiela* (gw.) — niewiele.

[28] *Władysław III Warneńczyk* (1424–1444) — syn Władysława Jagiełły, król Polski (1434–1444) i Węgier (1440–1444).

że w jednych obaśmy leciech[29] byli: dlatego też łacniej[30] mi to wyliczyć. Tedy dziś mamy... dziś mamy... rok pański... Pieter?

— Tysiąc czterechsetny siedemdziesiąty dziewiąty.

— Juści, prawiuteńko się zgadza, bo mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło[31]. Zatem, jak raz trzydzieści pięć lat temu będzie w dniu dziesiątym listopada.

— Prawdę gadacie, że mnie na świecie nie było, bo mi się skończy w żytnie żniwa trzydzieści cztery roki[32]. Ale co ta o mnie, powiadajcież od początku. Pietrowi ta wszystko jedność, kiej zna[33], jak było, a ja nie.

— A więc posłuchajcie: Jak się miłościwy pan gotował na oną wyprawę, wszystkie narody i wszyscy monarchowie radowali się, że mieczem polskiego króla moc turecka zostanie na proch zgnieciona. Węgierskie wojsko pod dowództwem, jakże mu to było... aha... Huniad[34], wojewoda siedmiogrodzki. Więc Węgrzy, Siedmiogrodziany[35] i nasi, a nad wszystkimi hetmanem nasz młody król, Władysław. Ale się miłościwy pan gryzł niesłychanie, że tak niewiele miał wojska: ino dwadzieścia tysięcy. A o Turkach gadano, że się ich zebrało tysiąców[36] sto, tedy pięć razy tyle, co naszych.

Walenty łyknął miodu i prawił dalej:

— Mnie wzięto między ciury[37], do posług, alem się wyprosił u jednego starszego i pozwolił mi, jak przyjdzie do bitwy, iść z łucznikami.

— A umieliście się z kuszą obchodzić?

— Byli już tacy, co nauczyli — odparł organista — a nauczyli niezgorzej, bo w kilku potrzebach[38] człek posłał pohańców[39] do piekła diabłu na pociechę z pół kopy[40], jeśli nie więcej. Idzie tedy chmara ludu, wszystko zbrojne, wyćwiczone, a takie łakome krwi tureckiej, niczym wina. Po drodze zamki bez wiela kłopotu zdobywają nasi, gdzie niektóre ze strachu same się poddają, a my ino naprzód a naprzód. Trzeciego dnia października miesiąca przeprawiliśmy się przez Dunaj. Aż tu przyjeżdża z cztery tysiące[41] wojska Dragula, wojewoda wołoski[42]. Odradzał on strasznie naszemu miłościwemu panu tę turecką wyprawę; aż płakał pono. Wreszcie syna własnego z onymi czterema tysiącami przy królu zostawił, a sam do dom powrócił. Młodym wtedy był[43], niczego nie rozumiejący, ani mnie o to głowa nie bolała, kędy[44] nas wiodą, szedłem jak baran za inszymi, za łaskę to sobie mając, że mnie, chudzinę, biednego ciurę, choć czasem między żołnierstwo wetkną. Pod jednym zameczkiem

[29] *leciech* (daw.) — dziś popr. forma Ms. lm: latach; w jednych leciech: w tym samym wieku.

[30] *łacnie* (daw.) — łatwo.

[31] *mi się na pięćdziesiąty szósty obróciło* (gw.) — skończyłem pięćdziesiąt sześć lat.

[32] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.

[33] *znać* (gw.) — wiedzieć.

[34] *Huniad* — własc. Jan Hunyady (1387–1456), magnat węgierski, wojewoda siedmiogrodzki, po śmierci Władysława Warneńczyka regent Węgier, sprawujący władzę w zastępstwie czteroletniego nowego króla.

[35] *Siedmiogrodziany* — dziś popr. forma M. lm: Siedmiogrodzianie; *Siedmiogród* a. *Transylwania* — kraina w środkowej części dzisiejszej Rumunii, zasiedlona w średniowieczu przez osadników węgierskich i niemieckich. W XVI i XVII w. księstwo zależne od tureckiego Imperium Osmańskiego, potem przeszło pod władzę Austrii i Węgier. Z Siedmiogrodu pochodził król Polski Stefan Batory (1533–1586).

[36] *tysiąców* — dziś popr. forma D. lm: tysięcy.

[37] *ciura* — sługa obozowy, dbający o ekwipunek, konie i jedzenie dla żołnierzy.

[38] *potrzeba* (daw.) — bitwa.

[39] *pohaniec* (daw., pogard.) — poganin; tu: muzułmanin, Turek a. Tatar.

[40] *kopa* — 60.

[41] *z cztery tysiące* — dziś popr. forma: z czterema tysiącami.

[42] *wołoski* — z Wołoszczyzny, krainy położonej w płd. części dzisiejszej Rumunii. Wołoszczyzna, rządzona przez hospodara, pozostawała zależna politycznie od Węgier i Turcji.

[43] *młodym wtedy był* — byłem wtedy młody.

[44] *kędy* — dokąd.

tom się tak siepał, tak dokazował[45], aż mnie rotmistrz zauważył i w nagrodę przeznaczył do posług miłościwego pana.

— O Jezu... toście go mogli z bliska oglądać? Uroda

— No jakże? Ma się wiedzieć, żem się temu cudnemu obliczu do syta napatrzył... Ilekroć wspomnę o tym wszystkim, to go jak żywego przed sobą widzę.

— O mój Walanty, powiadajcież, jaki był?

— Rosły był; gdy stał w polu z inszymi hetmany[46] w naradzie, to z daleka powiewały białe pióra na jego hełmie, pół głowy ponad tamtymi. Śniadego był ciała i czarnych włosów, twarzy pociągłej, a oczy... niczemu nie przyrównane — królewskie. Zanim usta przemówiły słowo, rozkazywały oczy. Gdy na cię spojrzał, ogień i mróz cię przelatował[47]. A w insze razy znowu, gdy te gwiazdy łaskawie ku tobie zwrócił, to jakby głos jakiś wołał wielki: na kolana! Ilem ja razy chciał przypaść do nóg umiłowanego króla i stopy jego całować... inom nie śmiał. Przed namiotem jak pies leżeć i snu pańskiego strzec, to był zaszczyt najpiękniejszy i niejeden mi tego szczęścia zazdrościł. Król, Sługa Wzrok

Zamilkł i przymknął oczy, szukając w duszy smutnych wspomnień wątku.

— Ano, tedy szliśmy a szli, niczym burza, co po drodze drzewa łamie i z korzeniami wyrywa. Ażeśmy stanęli pod Warną[48].

— Twierdza jaka czy stolica królewska?

— Miasto niewielkie nad morzem... jakimsi Czarnym. Dopierośmy się tam dowiedzieli, jakie niezliczone chmary pogaństwa zgromadził sułtan Amurat przeciw nam. Zaraz po wschodzie słońca zaczęto ustawiać chorągwie według rozporządzenia królewskiego. Ja stałem przed drzwiami namiotu, nasłuchując, kiedy w dłonie klaśnie, co znaczyło, że posługi mu potrza[49]... Na dany znak wszedłem, zatrzymałem się u proga i pokłoniłem się do ziemi. „Podawaj zbroję" — rzekł mi krótko. Upiąłem na nim wszystko sprawnie (już bym dziś chyba nie zdolił[50], takie te sprzączki i haczyki misterne były); podaję hełm, wziął go ode mnie, aliści wyślizga mu się z rąk[51], toczy się z brzękiem po ziemi. Ciary mnie przeszły, a król przeżegnał się trzy razy. Wychodzimy na pole, giermek podprowadza konia, a ten dęba staje, głową kręci, zadem rzuca, trzech go musiało trzymać, zanim dał wsiąść na siebie. Znowu mi coś serce ścisnęło jakby żelazną obręczą. Omen

— I że też to miłościwy pan tych przestróg z nieba nie usłuchał.

— Taki był. Widno po dziadku Olgierdzie[52] upór odziedziczył; tamten, powiadają ludzie, srodze był twardej woli. Myślicie, że na tym koniec? Wróżka Cyganka skądsi przedarła się do obozu i na świętości zaklinała króla, coby[53] w pole nie wyruszał. On zaś wytłumaczył to sobie, jako oną wieszczkę Turkowie posłali, by serce we wojsku[54] osłabić. Może mu ta nie bardzo wesoło na duszy było, ale się ino rozśmiał i babę precz napędzić kazał. Ruszają tedy z obozu, chorąży z proporcem królewskim na przedzie; wiatr się zrywa niemały. Skręcił chorągiew około drzewca, zaczem ją rozwinął z nagła i w trzy kawały poszarpał.

— Znak od Boga — westchnął kościelny.

---

[45] *dokazował* — dziś popr.: dokazywał.
[46] z *hetmany* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: z hetmanami.
[47] *przelatował* — dziś popr.: przelatywał.
[48] *Warna* — miasto i port nad Morzem Czarnym na terenie Bułgarii.
[49] *potrza* (gw.) — potrzeba.
[50] *zdolić* — zdołać, dać radę.
[51] *podaję hełm… wyślizga mu się z rąk* — Ten szczegół i wszystkie następne wzięte z *Kroniki* Bielskiego.
[52] *Olgierd* (zm. 1377) — wielki książę litewski, ojciec Władysława Jagiełły.
[53] *coby* (gw.) — żeby.
[54] *we wojsku* (gw.) — w wojsku.

— Rycerze najznamienitsi, którzy to widzieli, nuż błagać miłościwego pana, coby swej drogocennej osoby nie narażał, a życie dla dobra ojczyzny szanował. Zmarszczył brwi, gniewny srodze, i umilkli wszyscy. Rozpoczęła się wielka bitwa, okropna rzeź. Turcy ustawili swe wojska w półkole, na podobieństwo księżyca, bo ten od nich wielkiej czci doznawa[55]. Pomnijcie, żem był w tłumie, w ścisku, i czasu potykania się z Turki [56]jednegom ino pilnował, a to, coby moje strzały nie chybiały celu. Tego zgiełku, wrzasku, jęków, łomotu kopii uderzających o pancerze, tętentu i rżenia koni, tego zamieszania straszliwego, na które wspomnieć niepodobna, bo się w głowie zawraca i wszelkie myślenie ustaje, tego wam nie wypowiem, a choćbym nawet zdolił, gadać o tym nie chcę.

— A król miłościwy? — rzekł Wojciech i zająknął się.

Walka

— Królam ja ani widział wśród tego ludzkiego mrowiska. Gdy się tysiące na tysiące, niczym psi wściekli, rzucają, wtedy nie pyta nikt, gdzie mu stać wyznaczono, starszyzny już cale[57] nie słucha, upamiętanie traci, czerwone łuny latają mu przed oczyma; o własną skórę, o życie mu chodzi, nie o co inszego. Tak było i ze mną. Czterech czy piąci[58] obskoczyło mnie kosookich Tatarzynów z krzywymi szablami. Boska opatrzność sprawiła, żem się mógł plecyma[59] o jakiś wóz obozowy oprzeć; miecz umarłemu rycerzowi poprzódzi jeszcze z rąk wyrwałem i w strachu niezmiernym — bom śmierć niechybną nad sobą widział, jąłem rąbać na prawo i na lewo, i przed się, ciężki oręż oburącz ściskając. A takem walił na oślep, żem ino za każdym razem czuł, jako się miecz na czymciś przez okamgnienie zatrzymuje... Aż tu nagle pociemniało mi w oczach, nogi drętwieją, runąłem jak kłoda na one pogańskie cielska, którem zesiekł Panu Chrystusowi na chwałę, a sobie na duszne zbawienie.

Wierzenia

— Jezusie, Maryjo... ranili was?

— W tym właśnie największe miłosierdzie okazało się nade mną, że ino ze znużenia i z głodu przytomność mię[60] na chwilę odbieżała, bom niemal od wschodu słońca uczciwie pracował, a nie było czasu kęsa chleba przełknąć. Dziś, jak se wszystko do pamięci przywołuję, nic inszego w tym przydarzeniu nie widzę, ino cudowną opiekę mego świętego patrona. Bo żem ja, dwudziestoletni wyrostek, pierwszy raz w życiu miecz okrutny do rąk chwyciwszy, piąci Tatarom dał rady, to chyba nie ziemska, ino niebieska moc sprawiła. A bez[61] to, iżem leżał na kupie trupów krwią ociekający, to mnie już insze psubraty nie tykały i wypocząłem se godnie. — Tylem wam opowiedział, ile oczy widziały i czym się ręce trudniły. Co więcej, to potem dopiero zasłyszałem od ludzi. Ale właśnie to *insze* leży na sercu, niczym głaz na grobie.

— O mój Walanty, rzeknijcież aby dwa słowa.

Śmierć bohaterska, Rycerz

— Co mam rzec? Chociaż rycerze błagali i zaklinali króla, aby zważał na swą świętą osobę, on nie pytał na przestrogi, ino się rwał do boju niczym w tany. Gdzie największa ciżba, gdzie ino buńczuk[62] starszego agi[63] powiewał (po naszemu pułkownika), tam pan miłościwy sadził z koniem, drogę sobie trupami ścieląc. Turkowie pomiarkowali, co się święci, więc też który ino hełm o białych piórach zoczył i konia cisawego, gdy nie zdolił w bok umknąć, rzucał się twarzą do ziemi. A król Władysław, jakby się śmierci w służbę zaprzedał, krwawe żniwo czynił, sam jedną strzałą

[55]*doznawa* — dziś popr.: doznaje.
[56]z *Turki* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: z Turkami.
[57]*cale* (daw.) — wcale, zupełnie.
[58]*piąci* — dziś popr.: pięciu.
[59]*plecyma* (daw. forma liczby podwójnej) — plecami.
[60]*mię* — dziś popr.: mnie.
[61]*bez* (gw.) — przez.
[62]*buńczuk* — długie drzewce ozdobione włosiem końskim, symbol władzy wojskowej.
[63]*aga* (tur.) — dowódca janczarów, tj. piechoty tureckiej (dziś tur. tytuł grzecznościowy: pan)

nie draśnięty. Żadne ufce[64] tureckie oprzeć mu się nie mogły, pierzchało wszystko w popłochu. Najwaleczniejsi spomiędzy wojska Amuratowego byli janczarowie[65], tych należało pobić i rozproszyć. Król wydał rozkaz rotom, by szły za nim, ale Huniad wojewoda za ręce go chytał, siłę nieprzyjaciela przed oczy mu stawiał, śmierć niezawodną przepowiadając. Zasię mu król odrzekł: „Wolej[66] zginąć, niż się cofać". I skoczył naprzód, nie zważając, jako niemal sam ostał, bo Huniady precz uciekł ze swymi. Wpadł tedy król między one janczary, baszę[67] azjatyckiego, który tam się był skrył, usiekł i parł koniem w nieprzeliczoną gąszcz pohańców, pewny, że wojsko tuż za nim. Tymczasem janczarowie ochłonęli co nieco, a widząc, jak się król niebacznie zapędził, obskoczyli go dokoła, konia pod nim ubili, po czym rzuciwszy się nań jak wilcy[68], ucięli mu głowę. Tę wsadzić kazał basza na wysokie drzewce i z tryumfem do namiotu sułtana ją zaniesiono. Garstka naszych, co była przy królu, zginęła walecznie, broniąc pana. Polegli dwaj bracia Tarnowscy, dwaj Zawiszowie i inne rycerze. Taki był koniec bitwy pod Warną.

— Oj, dziękuję wam też, dziękuję, mój Walanty; niech wam Pan Jezus dobrym zdrowiem zapłaci, żeście nieumiejącego oświecili. A jakże z wami potem było?

Sumienie, Przysięga, Nauka, Głupota, Piekło

— Ano, ślubowałem świętemu patronowi za jego łaskę i cudowne od psich synów ocalenie, że Panu Bogu w duchownym stanie do śmierci już służył będę. Ale widno nie na księdza mnie Pan Jezus stworzył, bom się w Krakowie do szkoły parafialnej u Panny Maryi dostawszy, ino czytania i pisania dokumentnie nauczył. Zasie łacina szła jak z kamienia. Ani wymówić, ani wyrozumieć — jednym słowem nie dało się i tyla. Gryzło mnie sumienie bez przestanku i strach serce uciskał, że obietnicy świętemu Walentemu danej i ślubu nie dotrzymuję, za co na tamtym świecie jako wiarołomca wiecznie gorzeć będę. Aż nie mogąc wytrwać dłużej w takowej turbacji, zwierzyłem się jego miłości bakałarzowi. Ten się aż za głowę chycił, mniemając wraz ze mną, że bez nijakiego wątpienia Pan Jezus mnie grzesznika piekłem skarze. Ale na wielkie moje szczęście natchnął go stróż anioł dobrą myślą. „Idź no, Waluś — powiada — na przełaj przez rynek na Żydowską ulicę. Wiesz kędy?" — „Za matoła mnie, wasza miłość, trzymacie — gadam — po śpiączku trafię; dyć[69] dziesięć miesięcy minęło, jakem tu zaszedł; do Krakowam drogi nie zmylił, a Żydowskiej ulicy bym nie znał. Kościółek Św. Anny drewniany na góreczce tam stoi, a tuż śmiecisko straszne... Czy o tę ulicę waszej miłości chodzi?" — Smieciskoś zauważył, mądralo, a *Collegium Maius* wiesz gdzie?" — „Jakie kolegium?" — gadam ja. — „Ot, żeś matoł — gada on. — Akademia przez króla Jagiełłę fundowana, a przez królowę Jadwigę wyposażona". — „Juści, gdzie Akademia, to wiem; ale jakosi inaczej mówiliście" — gadam ja. — „Sprawiedliwie cię piekło czeka — gada on — dwóch słów łacińskich nie spamiętasz, a święte kapłaństwo Bogu najwyższemu ślubujesz. Idźże tedy do onego gmachu Akademii, a o profesora, przewielebnego księdza Jana z Kęt[70] pytaj".

Święty, Szczęście

— Jak to — zakrzyknął Wojciech, przerywając mowę organiście — o tym Janie z Kęt powiadacie, co go cały naród świętym głosi? Którego grób cudami słynie?!

— A juści; jego błogosławioną osobę miałem łaskę od Boga własnymi oczami oglądać, jego dobrotliwej mowy słuchać.

---

[64] *ufiec* — hufiec, oddział.

[65] *janczarowie* (z tur.) — piechota turecka.

[66] *wolej* (daw.) — raczej, lepiej.

[67] *basza* a. *pasza* (z tur.) — generał w wojsku tur. (dziś tytuł grzecznościowy: pan).

[68] *wilcy* — dziś popr. forma M. lm: wilki.

[69] *dyć* a. *ady* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

[70] *Jana z Kęt* a. *Jan Kanty* (1390–1473) — święty Kościoła katolickiego, ksiądz, wykładowca Akademii Krakowskiej.

— A cóżeście za szczęśliwiec taki! I pana miłościwego znał, królewskiej osobie posługował[71], w bitwie pod Warną Tatarów siekł i jeszcze wielkiego świętego w żywym ciele oglądał!

— Ano słuchajcie, co się dalej działo. Więc mnie uczy bakałarz, jako mam przewielebnemu profesorowi niziutko się pokłonić, całą przygodę pod Warną i ono ślubowanie uczciwie, przez wykrętów opowiedzieć i o radę prosić. „Coć rozkaże — gada — tak uczynisz; mąż to świątobliwy a wielkiej mądrości, pewnikiem zdoli rozwiązać ten węzeł i twoje sumienie uspokoić".

— Ady popłuczcie se gardło, Walanty — rzekł Piotr, nalewając kubki po brzegi. — Wasze zdrowie!

— I wasze! — Trącili wszyscy trzej kubkami, a organista kończył swe opowiadanie:

— Wszystko się tak stało, jako mi ów zapowiedział. O moiściewy... słusznie on święty po śmierci niebieskie pałace zamieszkuje, gdy za żywota w komóreczce ciasnej a ciemnej niczym więzień przebywał. Wchodzę do onego *Collegium Maius*, o profesora Jana z Kęt pytam; wskazują mi drzwi w sieni na dole; izdebki malutkie, jedna do modlenia, a druga mieszkalna. Próbuję, ino na klamkę zawarte, nie ma nikogo. Siedział w sali na górze, w księgach mądrości zaczytany. Janitor, co znaczy odźwierny, zaprowadził mnie i przez[72] pytania wpuścił; miał bowiem surowo nakazane każdego potrzebnego[73] albo proszącego przed jego przewielebność prowadzić — wtedy wszedłem i Pana Jezusa pochwaliwszy, cicho u proga stanąłem. Przywołał mnie k'sobie[74], wysłuchał łaskawie i pomyślawszy nienajdłużej, srogie utrapienie moje całe załagodził.

— W jakim sposobie? — spytał Wojciech ciekawie.

— Ano, podsunął mi księgę rozwartą i kilka wierszy głośno przeczytać rozkazał; za czym dał pióro, papier i czarkę z inkaustem i całą Modlitwę Pańską musiałem z pamięci napisać. Pochwalił, że nie darmo do szkoły chodzę, potem zasie tak rzecze: „Nie twojać to wina, że do łacińskiego języka głowy nie masz; trudna to nauka i pierwszemu lepszemu nieprzystępna. Że zasie do sakramentu kapłaństwa droga ino przez łacińskie wrota, znak przeto z nieba jest widomy, że cię Pan Jezus sam ze ślubu zwalnia. Jeżeli ano chcesz mimo wszystko za ocalenie życia Mu odsługować, masz wiele inszych k'temu[75] sposobów". Ksiądz, Nauka

Nie będę się rozwodził, jako dalej ze mną gadał, trzydzieści pięć lat mija, to i z pamięci wyleciało niejedno. Dość że mnie zaprowadził do sławnego na cały Kraków muzykusa, co w katedralnym kościele przy świętym nabożeństwie na chórze grywał, i kazał mię[76] uczyć na organach. Sam płacił onego nauczyciela.

— O retyści... z deszczu pod rynnę! — zawołał Wojciech.

— Zabawka to w porównaniu z łaciną — odparł organista. — Po prawdzie rzekłszy, blisko trzy lata zeszło, zanimem się ze wszystkimi pedałami i kluczami zapoznał, nuty czytać nauczył, a i palce, twarde jak patyki, koślawo stukały po klawiszach. Ale dziękować Bogu, już ta bieda przeminęła od świętej pamięci, a dwudziesty ósmy rok w Porębie organistą jestem. Ino w jednej rzeczy zmylił świątobliwy profesor.

— Cóż takiego?

— Trzeba było ślubowanie choć w połowie spełnić i w bezżennym stanie do Małżeństwo, Czyściec

[71] *posługować* — usługiwać.
[72] *przez* (gw.) — bez.
[73] *potrzebny* — tu: potrzebujący.
[74] *k'sobie* (daw.) — do siebie.
[75] *k'temu* (daw.) — do tego.
[76] *mię* — dziś popr.: mnie.

śmierci pozostać... Ha, darmo, wymigał się człek od piekła, niechże znosi czyściec. Macie ta jeszcze kapkę miodu, kumoter? Na zdrowie wam!

— I wam!

— I wam!

Wojciech odchrząknął, poskrobał się po głowie i westchnął.

— Wola boska; nie ma kącika, gdzie by nie było krzyżyka...

— Chyba do was się ta przypowiastka nie stosuje? Macie kobietę zdrową, pracowitą, spokojną; dobytek piękny, dzieci.

— Ot właśnie...

— Cóż takiego?

— Utrapienie z brzdącem...

— Wawrzuś?

— A ino.

— Stało mu się co? — spytał Piotr.

— Stać to mu się po prawdzie nic nie stało... ino jak Walanty do Jana z Kęt, tak ja do was obu przychodzę rady szukać.

— Ho, ho, mnie ta nie wzywajcie, chyba o Kondusię będzie chodziło — odezwał się ze śmiechem organista — ona moja chrześnica, do Wawrzka mi nic.

— Ee... wiadomo, że co dwie głowy, to nie jedna. Słuchajcież oba i powiedzcie, co się wam zda.

— Słuchamy pilnie. Wasze zdrowie, kumie!

— Ano tedy, żeby prawdę rzec, a nie zełgać, wielką mam troskę, bo mi cosi chłopaka urzekło.

— Ale, hale... nie może to być; któż by taki na ten przykład?

— Przecie na dziesięć mil wkoło ani jednej czarownicy nie uświadczy — powoli, z namysłem cedził Piotr. — Ostatnią wójt na Zaborówku tak rok pławić dawał, a potem ją gdziesi kajsi starościńscy do grodu na sąd powieźli. Od tego czasu nie słychać nic.

— Ino wam się zwiduje czy co? Jakież oznaki macie na owo urzeczenie? — zapytał Walenty.

— Kto by mu się ino raz przyjrzał, zmiarkowałby, że nieczysta sprawa.

— Powiadajcież.

— Ano, niespokojność niezmierna w rękach; ino się zerwie rano, pacierz puści na pytel, aż wstyd słuchać; jeszcze se nie pośniadał, już byle jaką trzaskę albo sęczek do ręki i rzeza kozikiem...

— Na wióry struże? A co mu po tym? Artysta, Czary

— Gdybyć na wióry, powiedziałbym: głupie dziecko, bawi się. Ale w tym właśnie widzę najpewniejszy znak urzeczenia, że jakiesi osóbki, ptaszki, pieski wyrabia i tak się zapamięta w onej głupocie, że o bożym świecie nie wie. O jadło nie prosi, gadać do niego, nie słyszy; dopiero jak zwalę pięścią w kark, to się nieco ocknie i pojrzy na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział.

— Ej... co byście się trapili po próżnicy — rzekł, machnąwszy lekceważąco ręką, Walenty — a niechże się dzieciak bawi, co wam to wadzi?

— A żebyście wiedzieli, że wadzi, nawet bardzo; dzień w dzień jakowaś szkoda albo kłopot z jego przyczyny. Cud boski, jak wszystkie krowy przyżenie[77] na wieczór do domu. Ot i dziś: idę do lasu zajrzeć na moje barci[78], patrzę, ten niedojda siedzi na górce pod brzozami, wiecie, tam wedle Maciejowego jęczmienia. Dłubie kozikiem biały klocek, aż drzewo zgrzypi. Podszedłem do niego tuż, zaglądam, krówka jak

[77] *przyżenąć* (daw.) — przygnać, przygonić.

[78] *barć* — dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół.

żywa. Ślepie, rogi, uszy, ogon krzynę w bok odrzucony, że się to niby przed muchami ogania. Powiadam wam, ażem zgłupiał. Ale za to Krasa i Gwiazdula hań, hań, aże nad rzeką, a Wiśniochę diabli wzięli. Pół dnia zbiegałem po lesie, zanimem ją odszukał.

— Wytrzepać skórę, to na drugi raz będzie uważał, taka moja rada — rzekł Piotr.

— Przecie znam ojcowskie prawo, bicia mu nie żałuję. Tyle go ino ominie, co matka mnie czasem przytrzyma za rękę. Wszystko na darmo: ja swoje, on swoje.

— Ano, nieposłuszeństwo w tym widzę i niedbałość; nijakich czarów nie uznawam[79] — objawił swe zapatrywania Walenty.

— Odebrać kozik, najlepsze lekarstwo — dodał Piotr. — A nie przybierajcie se byle czego do głowy, kumotrze; małe to jeszcze, przyjdą lata, przyjdzie rozum.

— Sprawiedliwie gadacie, Bóg wam zapłać. Jednakowo, kiej pomyślę, że za osiem lat chowania pociechy nijakiej ani wysługi z dziecka nie mam... Ot, pójdę do domu... albo lepiej na łąkę, kto go ta wie, co znowu zrobił. Niech będzie pochwalony; a zajrzyjcie ta kiedy do nas.

— Na wieki wieków. Przyjdziemy oba, a jakże.

Podczas gdy ojciec skarżył się na niedolę, że z ośmioletniego chłopaka nie ma pomocy, stary ów zbrodniarz, z sercem pełnym skruchy, prowadził tatusiowe krówki na pastwisko. Widno, szczerze postanowił się poprawić, bo w ręku tylko pręt trzymał do poganiania upartej Wiśniochy, a biedny ukochany kozik wsunął w zanadrze[80]. Gdy go używać zabroniono, a patrzeć nań pokusą jest do złego, błogo przynajmniej mieć go tuż przy sobie.

— Wawrzek... cóżeś taki nadęty jak sowa? Boli cię na wnątrzu[81] cy może tatuś kijasem ołatali?

Płowa głowina wysunęła się przez dziurę w płocie, za nią zgrzebna koszulka przepasana krajką, dwie brudne opalone rączki i takież nogi do krwi skąsane od komarów; krótko mówiąc, jedyny serdeczny przyjaciel Wawrzusia — Mikołajów Jasiek.

— Mas[82] se wiedzieć, śleporodzie brzyćki[83], ze na mnie kija nie potrza. Raz w kielo[84] cas[85] tatuś mnie zerżną rzemykiem i dość. Dziś mi się należało bicie w porządku, ino... nie było cym. Matusia myślą, ze ja nie wiem, co oni rzemyk za piec wrazili[86], chi, chi, chi! Chodź ze mną na paświsko[87], będziemy się tulać z górki. No, prędzej!

— Nie mogę. Pośli[88] na kiermas[89], kazali siedzieć w chałupie, Hanki pilnować, coby nie wyleciała z kołyski.

— Aha, az tutaj słychać, jak krzycy! Dadzą ci matusia piastowanie, jak wrócą...

— O rany!...

Skręcił się Jasiek w śrubę, przecisnął przez kolące chrusty, już tylko nogi widać... już tylko jedna pięta... już nie ma nic.

Gwiazdula naprzód, Krasa i Wiśniocha za nią, Wawrzek na ostatku, w pięknym ładzie i bez przygód zaszli wszyscy czworo na tatusiową łąkę. Chłopiec popędził krowy bardziej ku lasowi, żeby je księdzowe żytko nie kusiło, a sam rzucił się jak długi na

[79] *uznawam* — dziś popr.: uznaję.
[80] *zanadrze* (daw.) — miejsce pod wierzchnim ubraniem na piersi.
[81] *na wnątrzu* (gw.) — w środku, w brzuchu.
[82] *mas* (gw.) — masz.
[83] *brzyćki* (gw.) — brzydki.
[84] *kielo* (gw.) — ile.
[85] *cas* (gw.) — czas; *raz w kielo cas* — raz na długi czas, niekiedy.
[86] *matusia… rzemyk za piec wrazili* (gw.) — mama wrzuciła rzemyk za piec (użycie czasownika w lm wyraża szacunek do osoby, o której się mówi).
[87] *paświsko* (gw.) — pastwisko.
[88] *pośli* (gw.) — poszli.
[89] *kiermas* — własc. kiermasz, odpust.

ziemię i wsparty na łokciach wodził oczyma po łanach kwitnącego żyta, po krzywych wierzbach wzdłuż rzeki.

„Mikołajów chałupa jakosi jedną stroną do ziemi przysiadła — myślał, poglądając na z rzadka rozsiane sadyby, otoczone gęstwiną owocowych drzew. — Musi bardzo stara, bo carna i mechem[90] porośnięta... Nasa, to ci dopiro[91] piękna; jakie to bierwiona grube, ho! ho! jeden w jeden ze starych modrzewiowych pni. Tatuś sami jeździli do boru, sami ścinali, sami budowali, ino im Błazej ze Zaborówka pomagał. Godali[92] tatuś, ze ona jeszcze będzie stała, jak nase prawnuki pomrą. Co to za jedne te prawnuki?... A niech se ta mrą, choćby i dziś, nic mi po nich...A jak u nas cieplusko w zimie! Śniegu nawieje z nieba tyle, co ino strzechy stercą spod onych białości. Z rana łopatami drogę cynią[93], zeby się drzwi dały otwierać. Potem wedle okien odgrzebią, bo śniezysko błony[94] pozasłania i w izbie carna noc. Potem matusia rozpalą ogień, obiad warzą, a my se siedzimy dookoła, grzejemy sie. Ino ten dym straśnie w oczy gryzie, az nawet samemu tatusiowi łzy lecą. Jak się weźmie słać po izbie, to go w każdym kącie pełno, ino bez[95] dach nie chce iść. Boi się, coby nie zmarzł. A pod wieczór, to nie ino matusia, ale tatuś krokiem za drzwi nie idą, choć wrota mocne i parkan wysoki. »Głodnemu wilku[96] głupi ino dowierza«, gadają tatuś.Ciekawość, duzo tez ta wsi na całym świecie? Chybo niewiela. Pusca ino i pusca. Tatuś mnie brali ze sobą, jak jeździli do barci miód podbierać. Tak mi się przykrzyły one drzewa i drzewa, pod samo niebo. I znowu jesce większe, jesce grubse, jesce gęściejse. Pewnikiem za puscą to juz jest koniec świata i piekło, nawedem[97] raz słysał, jak coś straśnie wyło. Ani chybi diabły se robiły smak na chrześcijańskie duse. Kunie[98] to ci tak chrapały ze strachu... Jakze? Diabłów by się nie bały? Tatuś batem zacięli, ale niepotrzebno, bo ze swojej woli gnały jak ten wicher, omal wozu nie potrzaskały o kamieniska i korzenie. A jak my przed chałupę zajechali, to tatuś ino jedno słowo burknęli do matki; nie zmiarkowałem jakie, ale mnie w te pędy kazali klęknąć przed krzyzykiem i cały pacierz zmówić. Oni myślą, ze ja nie zgadł, co to było! Diabły nas goniły i chciały porwać do piekła. Ale się tatuś gorzyj bali niz ja. Cięgiem ino krzyceli: »Jezusie, Maryjo... ratujcie nas!!« A nad kuniami[99] to przez[100] końca święte krzyze znacyli. Wszystko to dobrze, ino co mnie tak w łokieć gniecie? No... widzicie ludzie... korzenisko jakiesi! Ehe, juści, cudak nie korzenisko! Sprawiedliwie wygląda jak jascurecka. O... pyszcek, ino ślipki naznacyć, tu znowu łapki jak raz gdzie się nalezy; wydłubać krzynę i gotowe. Ogon ci ta długocki... przytnie się kapkę i będzie".

Dom
Czas
Zima
Kondycja ludzka, Wierzenia
Diabeł, Zabobony

Wyciągnął z zanadrza kozik i obejrzał się.

„Zbiją tatuś... A za co by mieli bić? Dy[101] krowy w porządku, to mi wolno robić, co chcę".

I dalejże skrobać, dłubać, wygładzać, zaokrąglać, zaostrzać; brwi zmarszczył, koniec języka wystawił z ust i poruszał nim prędzej lub wolniej, w miarę jak mu się

[90] *mechem* (gw.) — dziś popr.: mchem.
[91] *dopiro* (gw.) — dopiero.
[92] *godali* (gw.) — gadali, mówili.
[93] *cynią* (gw.) — czynią.
[94] *błona* — w średniowieczu szkło było bardzo drogie, więc mniej zamożni ludzie wstawiali w okna pęcherze rybie lub zwierzęce.
[95] *bez* (gw.) — przez.
[96] *wilku* — popr. forma C. lp: wilkowi.
[97] *nawedem raz słysał* (gw.) — nawet raz słyszałem.
[98] *kunie* (gw.) — konie.
[99] *kuniami* (gw.) — końmi.
[100] *przez* (gw.) — bez.
[101] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

robota lepiej lub gorzej wiodła. Nie w głowie mu Gwiazdula ni Krasa, co gorsza, nie w głowie mu tatuś.

Skończył. Ujął drewienko w dwa palce, wyciągnął rękę, żeby się z daleka przyjrzeć, i przekrzywiwszy główkę, patrzał na swe dzieło z uśmiechem zadowolenia.

„Oj ty, ty... jakbym cie na ziemi do słońca położył, toby się twoje siostry i bratowie zbiegli do cie. Ino by się dziwowali, coś taka niemrawa, chi, chi, chi!... Jezu! A krowy gdzie? Rety... ludzie... o matko... tarasą[102] tez to plebańskie[103] zyto, tarasą!"

Zerwał się jak oparzony, ale i w tej minucie rozpaczy i grozy nie zapomniał o rzeczach najważniejszych; jaszczurkę i kozik wsunął za pazuchę.

„O Jezusińku... jakże ja sobie z nimi dam rady! Oj, spierą[104] mnie tatuś, spierą... chyba mnie na śmierć ubiją! O rany... Kuba, Scepon[105], Bartek z kijmi[106]... juz po mnie!"

Nie pytając wiele, co się z krowami stanie, potoczył się z górki jak kula prosto do rzeki.

„Niech mnie ta gonią... Pan Jezus miłosierny... może w tej stronie brodu nie znają, a ja znam. Rzyka[107] głęboka, będą się bali".

Chlupnął bez namysłu, woda go z głową przykryła, ale w okamgnieniu o parę stóp w prawo wynurzyła się jasna czupryna, a krok dalej — już tylko po kolana. Posuwał się zwolna, macając nogą ostrożnie, żeby na dziurę nie natrafić.

Parobcy księdza proboszcza, zajęci wypędzaniem bydła ze szkody, nie spostrzegli w pierwszej chwili, gdzie się pastuszek podział. Karbowy[108] Kuba wydawał rozkazy:

— Ty, Bartek, odprowadzisz gadzinę[109] do naszej stajni; jego wielebność przeznaczy sam, ile dni odrobku przy żniwie ściągnąć z Wojciecha; a smykowi to już ja skórę wyłoję wedle pamiątki.

— Ihi, juści — szyderczo się roześmiał Szczepan, skryty przeciwnik, zazdrosny o władzę Kuby — juści mu tak pilno czekać onej pamiątki; widzicie, jak pięknie przebrodził rzekę, o! już na drugi brzeg się spina!

— Tysiąc pieronów! Goń... łapaj... No lećże... co stoisz?!

— Nie pójdę; brodu nie znam... pływać nie umiem...

— To gnaj krowy, niedojdo. Bartek, chodź, a raźno!

Pobiegli cwałem. Kubę dwa razy woda z nóg zwaliła, musiał mu Bartek podać rękę, i zabawiwszy dobry kwadrans, ledwie się na drugi brzeg wygramolili. Karbowy rzucił okiem po piasku nadbrzeżnym, ślady bosych nóżek biegły w kierunku lasu. Rzucili się obaj w tę stronę, zamajaczyła im szara koszulka... Wawrzek dopadł pierwszy krzaków, stracili go z oczu.

„O matko... już krzycą... wołają na mnie! Co takiego?... Kuba wrzescy, co mnie na śmierć zatłuką! Ino mnie złapcie pirwy[110]!"

Gibki, drobny a sprężysty, odbijał się nóżkami od ziemi, dawał susy jak piłka, coraz dalej, coraz głębiej w las... Głosy goniących parobków słabo już tylko słychać było, prawdopodobnie zgubili ślad. Ale i dziecko traciło siły. Upadł pod gęstą leszczyną i dyszał głośno.

---

[102] *tarasić* (gw.) — deptać, tratować.
[103] *plebański* (daw.) — księży, proboszczowski.
[104] *spierą* (gw.) — spiorą.
[105] *Scepon* (gw.) — Szczepan.
[106] *z kijmi* — dziś popr. forma N. lm: z kijami.
[107] *rzyka* (gw.) — rzeka.
[108] *karbowy* (daw.) — nadzorca robotników.
[109] *gadzina* — w Krakowskiem lud nazywa gadziną zwierzęta domowe i drób.
[110] *pirwy* (gw.) — pierwej, najpierw.

„Ojej... kłuje mnie w środku... choćby mnie ta i znaleźli, nie ruse sie... w bokach boli... matusiu!"

Dokoła cisza, spokój, ani ptaszków nie słychać; czasem coś smyrgnie po gałęzi z drzewa na drzewo: to wiewiórki się gonią.

Wawrzuś pojęczał trochę, polamentował, ale z każdą chwilą robiło mu się lżej; bicie serca i kłucie w piersiach ustało, obrócił się na boczek, jak w nocy na sianie przy matusi, i usnął twardo. Zbudziły go skośne promienie zachodzącego słońca, przedzierające się dołem pomiędzy pnie drzew. Roje komarów drżały w świetlanych smugach... Jeden promyk zaświecił mu w same oczy; ocknął się i usiadł.

„A to dopiro! Cóz ja w lesie robie? Aha, aha, prawda... ale i tak mnie nie dogonili! Chi, chi, chi... Juści, śmiej się głupi, ze cie nikt nie kupi. Tatuś cekają tam na mnie ze rzemieniem. Ino głowę bez drzwi wraże, okropa świata, co się będzie działo. Ano darmo, jęcenie jęceniem, a bicie biciem. Trza iść, bo noc zapadnie. — Wstał, przeciągnął się i popatrzył na wszystkie strony. — Aha, z tamtej gęstwiny tum dopadł, trza się tą samą drogą wracać".

Uszedł ze sto kroków i przystanął.

„Gnałem prosto od rzyki, to teraz pójdę ku rzyce, z górki na dół".

Zbiegł prędko, ale zamiast spodziewanego końca lasu i widoku na rzekę, znalazł się w gęstych zaroślach, ludzką nogą z dawna nie tkniętych.

„Nie, musiałem trochę zmylić, zawrócę ku słońcu, ba jak raz świeci do wody, kiej zachodzi".

Ku słońcu, od słońca, z górki, pod górkę, błąkał się biedny dzieciak aż do zmierzchu. By zagłuszyć wzrastający niepokój, zaczął pogwizdywać pastusze piosenki... wreszcie zrozumiał, że nie trafi, w pół oddechu zerwało się gwizdanie, rozpłakał się gorzko. Stał bezradny, zmęczony, głodny, puszcza przed nim, puszcza za nim... Coraz ciemniej się robi... jakieś wielkie ptaki przelatują cichym skrzydłem... tam za krzakiem ktoś wzdycha... Suche liście chrzęszczą... coś idzie! Wawrzuś dech wstrzymuje, przytulił się do grubego buka, ani drgnie. Coś idzie, idzie, sapi[111], przeszło bokiem, cisza.

„O rety... pewnikiem była dzika świnia, bo chrumcało. O... znowu cosi! Matko Boska, nie daj mnie!"

Wdrapał się na gruby konar pochyło zwisający, siadł na nim okrakiem i patrzy. Niby to ciemno w puszczy, ale pełnia księżyca, to bodaj gdzieniegdzie mdłe światełko między liście zagląda.

Wawrzuś drgnął.

„Śmigne wyżej, bo sie boje... o Jezu, znowu idzie! Jak tez to mrucy, mrucy..."

Między krze i konary przeciska się wielki brunatny niedźwiedź; zły czegoś bardzo, bo co chwila przystawa[112], pazurami ziemię drapie i głośno mruczy.

„Może głodny... a może to matka, cosi jej dzieci zezarło?... Łaska boska, juz nic nie słychać. Oho, nie zlezę ja z tego drzewa, ani myślenia... zostanę tu na noc".

Usadowił się wygodnie na dwóch gałęziach tuż przy sobie rosnących, plecami się o pień oparł, przymknął oczy i spokojny, że mu niedźwiedź nic nie zrobi, usnął prawie natychmiast.

Zbudziły go przeraźliwe jakieś niby szczekania.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. — Zmówił cały pacierz; wrzaski nie tylko nie ustawały, ale słychać je było coraz bliżej... Z głębi puszczy wyszedł wilk z najeżonymi kudłami, usiadł na mchu pyskiem do księżyca i zaczął wyć...

„O przenajświętso Matko... to wtedy wilcy byli? A ja myślał, że diabli!..."

---

[111] *sapi* (gw.) — sapie.

[112] *przystawa* — dziś popr.: przystaje.

U pszczół na obiedzie. — Rozpacz Wawrzusia. — Za głosem dzwonów. — Kąpiel w lesie. — Widziadło. — Co Wawrzuś wypatrzył pod kościelnym oknem. — „Chwytaj! Łapaj!" — Oczy pielgrzyma.

Wawrzuś obudził się przeziębły i bardzo głodny. Pojrzał z wysokości na wszystkie strony — cicho. Dziki, niedźwiedzie, wilki wróciły pewno do legowisk, dopiero w nocy rozpoczną na nowo swe polowania i wędrówki.

Z gałęzi na gałąź pomykając, zsuwając się po pniu, dotarł do najniższego konara i zeskoczył na ziemię. Patrzy znowu, nasłuchuje — nic.

„Juz tez ta dziś nie będę się kręcił w kółko jak głupi — myślał, nauczony wczorajszym doświadczeniem — ino[113] se pójdę prosto i prosto, ani raz się nie zawrócę. Do jakiegoś przecie końca dolezę, ludzi może napotkam, to mnie do tatusia odprowadzą. Dy[114] tatusia wszyscy znają. Ino teraz sukać trza jadła jakiego; skręca mnie cosi na wnątrzu[115] jak wióry... a mgli[116]..."

Zerwał parę listków kwaśnego ziółka, zwanego zajęczą kapustą, zeżuł i połknął.

„Dobre to przegryźć po kluskach, jak się przykrzy darmo leżeć na paświsku; ale na głodno... Trza iść, stanie mi jeść nie da".

I poszedł, gdzie oczy poniosą, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo, ciągle prosto, jak sobie to postanowił. Głód bardzo doskwierał, godziny mijały, a gdzie spojrzy, ino mchy, paprocie, jałowce, a górą stare grube pniska... aż strach ogarnia, co to dalej będzie. Nogi takie ciężkie, spać się chce czy co takiego?

„Choć do słonecka pójdę się ogrzać; jakasi polana... drzew tam nie ma; położe się na trawie, pośpie, może mi zelży".

Widok zielonej dolinki o kilkanaście kroków, słońcem oblanej, dodał mu otuchy. Podbiegł w tę stronę.

„Raju... cerwona trawa! Nie... to jagody!"

Rzucił się, drżący z głodu, na ziemię, jadł, jadł i odjeść[117] się nie mógł.

„Jaśka by tu puścić, ten ci przepada za poziomkami! Alezem się naładował setnie; jaze mi w ocach pojaśniało".

Wyjął z zanadrza drewnianą jaszczurkę, przypatrzył jej się z lubością, westchnął i pokiwał głową.

„Widzis, głupia, wsyćko[118] twoja wina; bez[119] ciebie ja tak na pustyni pokutuję! Wylegas sie pięknie jak królowa, a ja mizeracek tyle pędy muse rypać. Pan Jezus jeden wie, kaj[120] zajdę. No, idź spać, pora na mnie".

I wędrował dalej. Za wiele jednak ufał poziomkom; ani dwie godziny nie minęło, znowu głód. Żebyż choć nadzieja wyjścia z tego przeklętego lasu! Drzewa olbrzymie konarami u góry się plączą, w zielone sklepienie wiążą; chłód, mrok, nieba nie widać, słońca nie widać, ponura, głucha cisza... Kukanie kukułki słabo dolatuje; widno wszystkie ptaki pouciekały z tej ciemni do słońca.

„Cosi pachnie... — pociągnął głęboko nosem — juści, miodem wonieje, woskiem... barć[121] tu gdzieś musi być bliziutko. Trza patrzeć, gdzie wypróchniale drzewa. — Podniósł głowę i śledził pilnie. — Zeby ino nie za wysoko. Oho... pscoły się

[113] *ino* (gw.) — tylko.
[114] *dy* (daw.) — przecież.
[115] *na wnątrzu* (gw.) — w środku, w brzuchu.
[116] *mgli* (gw.) — mdli.
[117] *odjeść się* — najeść się.
[118] *wsyćko* (gw.) — wszystko.
[119] *bez* (gw.) — przez.
[120] *kaj* (gw.) — dokąd.
[121] *barć* — dziupla w pniu drzewa z gniazdem pszczół.

uwijają... mojeściewy ślicne, pokażcie mi drogę!... Jest! Oj, skoda, ze mnie tatuś nie widzą, boby mnie pochwalili. Wszystko człowiek ma na zawołanie: i kozik, i hubkę, i krzesiwko; a zawdy[122] ino gadają, zem niemrawiec".

Skrzesał ognia, rozjarzył kawałek hubki, wsadził w szczelinę wypróchniałego drzewa, tuż przy otworze barci, a sam czym prędzej uskoczył w bok, bo rozwścieczone pszczoły mogły się nań rojem rzucić i na śmierć zakłuć. Schowany za rosochatym wiązem, czekał cierpliwie, czasem jedno oko wysuwając. Gorzki, gryzący dym z tlejącej hubki rozsnuł się białawym obłoczkiem dokoła barci, aż i przedostał się szparami do wnętrza. Z głośnym brzękiem wyleciało kilkaset pszczół na powietrze; zatrzymały się przez parę sekund w miejscu, jakby naradzając się, co robić wobec tak strasznej klęski, i zbite w kłąb, pomknęły ku górze. Zwierzęta

Niejeden dorosły nawet człowiek, ale nieświadomy rzeczy, korzystałby z pomyślnej chwili i śmiało szedł miodu wygarnąć z opuszczonej barci. Wawrzek tyle razy napatrzył się robocie ojca, że i sam zachował się jak stary, doświadczony pasiecznik. Wiedział, że na straży ukochanego ula i bogatej spiżarni zostaje zawsze kilkadziesiąt najwytrwalszych pszczół, i te albo giną uduszone dymem, albo opuszczają barć o wiele później od swych poprzedniczek. Stał więc ciągle za drzewami i czekał. A hubka nie przestawała się dymić.

„No, może ta juz macie dość? Mnie samego w nosie kręci, to chyba uciekły abo[123] pomarły". (W mniemaniu ludu pszczoła za to, że dostarcza wosku na światło do kościoła, ma wyższość nad innymi zwierzętami, że nie zdycha jak one, tylko umiera jak człowiek.) Wierzenia

Wawrzuś wysunął się z kryjówki, powolutku się zbliżał do upragnionego celu, a ciągle rzucał oczyma na wszystkie strony, czy się gdzie jeszcze jaki niedobitek nie pokaże. Wspiął się na suchy konar i zajrzał do wnętrza barci.

„To ci komora pełna! Hej, hej... pewnikiem niepamiętne lata się tu mają, a nikt o nich nie wie. Nawet mi nie zal, ze takim bogackom ubiorę krzynę".

Spiesznie zastrugał ułamaną gałązkę w kształt łopatki, liść łopuchowy położył na lewej dłoni, podważył grubą warstwę spod samego wierzchu i wyciągnął śliczny biały plaster, złotym, gestem miodem kapiący.

„Teraz w dyrdki uciekaj, bo cię jesce dogonią!" — ze śmiechem sam siebie straszył i przygasiwszy hubkę, pobiegł pędem kilkadziesiąt kroków dalej. Usiadł pod dębem i zajadał chciwie, wyssany wosk popluwając.

„Dalibyście chleba, matusiu... nijako tak samo słodkie łykać" — szepnął pół żartem; ale na wspomnienie matusi, takiej bardzo dobrej, co to i umyła, i uczesała, upieściła, do sytości jeść dała, a przed każdą biedą osłoniła, zgorzkniał mu w ustach miód słodziutki, a oczy łzami zaszły.

„Biedny ja, biedny, taki samiuteńki, ani mnie nie znać w tym strasnym puscysku!... Nicym chrobacek[124]. Jak mnie wilcy zagryzą albo niedźwiedź zadusi, to ani ptasecek nie poleci do Poręby dać znać, co juz ni ma Wawrzusia. Oj, Boże, Boże... ady[125] sie ulitujcie nade mną, święci janiołowie[126], i wyprowadźcie mnie na jaką dobrą drogę!"

Wylizał liść miodem posmarowany, rączki wytarł mchem i ziemią do sucha — i znowu prosto przed siebie. Słońce się ma ku zachodowi, ale w odwiecznym boru jednakowy mrok o zaraniu, w południe i pod wieczór. Wawrzuś bardzo już zmę-

[122] *zawdy* (daw.) — zawsze.
[123] *abo* (daw.) — albo.
[124] *chrobacek* (gw.) — robaczek.
[125] *ady* (daw.) — przecież, jednak, ależ.
[126] *janioł* (gw.) — anioł.

czony; długą drogą zmęczony i płaczem, i tęsknotą za matusią. Ogarnęło go jakieś odrętwienie, idzie jak we śnie, a tylko niekiedy dreszcz go przebiega... ta puszcza nie ma końca, będzie tak szedł, szedł, aż umrze.

„O Matko Boska z matusinego obrazka... weź mnie, biedne dziecko, do nieba. Juz nikaj[127] nie pójdę, połoze się tutok[128], niech się dzieje, co chce. Ino pacierz jesce zmowie przede śmiercią. »Ojce nas, któryś jest w niebie, święć się Imie Twoje, psydź królestwo«... — Zerwał się na równe nogi. — Słysycie ludzie... dzwony! Dzwony... dzwony... Rety! Kościół kajsi[129] niedaleko! Matko Najswietso... nie bede juz umierał, nie! Lece ku dzwonom! Jakasi wieś niedaleko... O Panie Jezusie... o moja złota matusiu!"

Wesoły, zdrowy, silny, wypoczęty, rzucił się pędem w stronę, skąd głos dzwonów dolatywał. Wsi wprawdzie tak od razu nie znalazł, ale drzewa zaczęły się coraz bardziej przerzedzać, światło zamierającego dnia wpadało między krzaki, chłopiec biegł, biegł, aż dotarł do jakiegoś wąwozu na skraju lasu. Górą ślady kół i kopyt końskich szły w kierunku wsi widniejącej z daleka; patrzy na dół: rzeczułka, raczej strumień, płynie sobie warciutko. Dno białym żwirem wysłane, a co kamień większy wystercza, to go woda bije i pianą obryzguje.

Wawrzuś ześliznął się po skrzypach i macierzankach na sam dół, zdjął koszulę i wskoczył do wody. Pluskał się, zanurzał i wypływał, pił chciwie, kładł się jak długi na płytkim, to znów szukał głębszego miejsca i próbował pływać; wybiegał na brzeg po to tylko, by wracać i pluskać się na nowo. Kąpiel orzeźwiła go do reszty i wygnała z głowy wszystkie czarne myśli.

„Śmiechu warte, jaki ja był głupi... cegozem sie bał[130]? Cóz mi sie stało? Zjadło mnie co? A może to nawet nie była pusca, tylko taki sobie zwycajny las? Chyba juz wyleze z tej wody, bo jak sie ściemni, to znowu sie gdzie zabłąkam".

Podniósł oczy ku zachodowi zobaczyć, co się dzieje ze słońcem, i nagle przysiadł po szyję w wodzie, nie śmiejąc się ruszyć ani odetchnąć.

„O Jezu... cosi znowu idzie..." — pomyślał, kurcząc się, że mu tylko nos i oczy ponad wodę wystawały.

Upiór, Wierzenia

Brzegiem wąwozu, oświetlony czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, szedł powoli człowiek jakiś. Wzrostu był więcej niż średniego, Wawrzusiowi jednak, patrzącemu z dołu, wydał się na tym tle ognistym strasznym olbrzymem. Kapelusz miał czarny z szerokimi kresami, białymi muszelkami w miejsce taśmy otoczony; płaszcz ciemny, niemal ziemi sięgający, z kończatą pelerynką i kapturem, przewiązany w pasie trzy razy dokoła grubym szarym powrozem. Na lewym ramieniu, trochę ku przodowi, duża muszla biała. Podpierał się kijem zakrzywionym.

„Co tez to za jedno? — łamał sobie głowę przerażony chłopak. — Wielgośne, jaze okropa, na głowie grzyb cy co takiego... carno zamatulone, śniade na gębie jak Cygan... broda strasecna, pewnikiem upiór albo dusa pokutująca. Juści nie kto insy. O raju!... złazi do wody... joj... zeby mnie tez nie uwidziało!"

Wawrzuś podpełznął cichuteńko za wielki głaz na środku rzeczki i patrzył, co upiór będzie robił. Czarny człowiek zeszedł na sam brzeg, wyjął z zanadrza mały cynowy kubek, nabrał wody ze strumienia i pił. Kilkakrotnie napełniał naczynie, musiał być bardzo spragniony. Potem przyklęknął, zdjął kapelusz, odgarnął długie włosy, pochylił się i mył sobie twarz i ręce.

[127] *nikaj* (gw.) — nigdzie.
[128] *tutok* (gw.) — tutaj.
[129] *kajsi* (gw.) — gdzieś.
[130] *cegozem sie bał* (gw.) — czego się bałem.

„O retyści... ady[131] on nie ma ucha... obmierzle[132] wygląda!"

Kalectwo i czynności tak niezgodne z powagą istoty nadziemskiej, jak picie i umywanie, uspokoiły trochę Wawrzusia; nie wychylał się jednak ze swej kryjówki i nie dawał znaku życia, bo ten dziwnie odziany, ponury człowiek przejmował go strachem i wstrętem.

Wypocząwszy nad rzeką, pielgrzym wydrapał się na górę i poszedł leśną drogą ku bliskiej wsi czy miasteczku; dopiero wtedy odważył się dzieciak wyleźć z wody. Naciągnął koszulinę na mokre ciało, owiązał się krajką[133], jaszczureczkę, kozik i krzesiwo zasunął aż ku plecom, żeby się te skarby broń Boże nie pogubiły, i puścił się w tę samą stronę, co straszny człowiek, ociągając się i zwalniając kroku.

„Niech se ta idzie naprzód, a ja za nim; abo mi to pilno? Moze to carownik? Jesce by mnie w psa zaklął albo w kunia[134], do roboty naganiał a katował. Nie głupim".

Ściemniało się coraz bardziej, na Anioł Pański dawno przedzwoniono, a Wawrzuś jeszcze siedział nad przykopą, żeby się nie zejść z czarownikiem. Aż i gwiazdy wysypały się na niebo.

— Pójdę juz — rzekł, zdobywając się na odwagę. — Zapukam do jakich drzwi, ulituje sie kto, pożywi i przenocuje.

Obyczaje

Ale za długo się wahał i czekał; właśnie gdy mijał pierwsze domki miasteczka, dało się słyszeć przeciągłe buczenie rogu i głos nocnego stróża: „Świaaatło gasić! Świaaatło gasić!" Ze względu na niebezpieczeństwo pożaru istniał surowy przepis po miastach i miasteczkach, że w godzinę po zachodzie słońca w lecie, a w cztery lub pięć w zimie (w miarę ubywania dnia), stróże nocni trąbili po ulicach i nakazywali gaszenie ognia w piecach i światła w izbach. Równocześnie zamykano drzwi domów i bramy zajazdów. Biedne dziecko znalazło się więc znowu w bardzo przykrym położeniu. Księżyc nie wszeszedł jeszcze, uliczki wąskie, ciemne; szło biedactwo bez celu, aby się gdzie ino do muru przytulić i przespać. Zbliżył się do jakiegoś domostwa, z szerokim okapem dachu opartym na drewnianych słupkach.

„O, tutok będzie spanie pańskie, lepse niz wcoraj na drzewie". — Ledwie przysiadł na przyzbie, dało się słyszeć zza płota straszne ujadanie psa, ktoś uchylił okienka i gruby, gniewny głos odezwał się:

— Cóż tam za truteń łazi po nocy i uczciwym ludziom spać przeszkadza!

— To ja, Wawrzuś Wojciechów... — zapiszczało dziecko.

— A nie pójdziesz ty do domu, nicponiu szkaradny! Ledwie to od ziemi odrosło, już się włóczy jak złodziej. Idź mi zaraz do domu!

— Kiej[135] nie trafie!

— A wyjść na ulicę umiałeś? Wynoś mi się... bo psa spuszczę z łańcucha!

Okienko zamknęło się, pies tak zajadle szczekał, aż chrypł z wściekłości; gotów jeszcze płot przesadzić.

„Wynosić się, to się wynosić; pójdę kaj[136] indziej... ino ze te nogi straśnie bolą".

Powlókł się dalej. Dochodzi do rogu ulicy...

„Cie wy, cie wy... cóz za placysko wielgośne! Na co takie? Z cterech końców ulice, domy dokoła, ani w Porębie tak nie mają. A co tez to wozów, kuniów, ludzi... powyprzęgali, na ziemi se posłali słomę i śpią. Pójdę między nich, legnę cichuśko,

[131] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ale.
[132] *obmierzle* — okropnie, obrzydliwie.
[133] *krajka* — chustka.
[134] *kuń* (gw.) — koń.
[135] *kiej* (gw.) — kiedy.
[136] *kaj* (gw.) — gdzie.

ady im nie ubędzie. O matko... zbój z siekierą okropecną! W drugiej ręce takie coś... przykłada do gęby, trąbi..."

— Gaaasić ogień! — krzyknął stróż, dojrzawszy światła migające jeszcze gdzieniegdzie w okienkach. Podszedł do bram i stukał w nie halabardą.

„Aha, to pewno sam dziedzic; parobków zwołuje, cy co? Poprose onego, może mi da chleba ociupine; tak się jeść chce... aha, a jak mnie zwali siekierą? Trza uciekać... — Pobiegł w przeciwną stronę rynku. — A to ci stodoła dopiro! Na co taka? W imię Ojca i Syna... wieża! Dy[137] to kościół! Panie Jezusie przenajświętszy... przecie mnie Ty od swego domu nie odgonis? Najbidniejsemu żebrakowi wolno, to i ja chrobacek[138] prześpię sie na schodach. Nie, tak na samym wierzchu nie trza, może by się dziedzic gniewali; schowam sie za przymurek; tu mi się tez to będzie spało, spało..."

Wlazł do kąta przy jednej z pięciu szkarp[139] podpierających prezbiterium i położył się.

„Ojoj... cyjesi tu łachy lezą... trza usunąć, cobym bez sen nie potarasił". — O ludzie! — krzyknął i czym prędzej usta sobie ręką zatulił. „Płasc... kapelus z muselkami... kijasek... takem sie onego zatraceńca bał, a tu mas, będziemy razem nocowali! Ino gdzie polazł? Pójdę se legnąć po tamtej stronie kościoła".

Odszedł trzy kroki i szukał, gdzieby się najbezpieczniej skryć przed czarownikiem. Księżyc wypłynął już spoza niskich domków na niebo i rzucał jasne światło; coś zgrzytnęło: jedno z okien kościelnych otwarło się powolutku, a po grubym sznurze, uczepionym u klamry żelaznej, spuszczał się człowiek. Rękami trzymał się powroza, a w zębach ściskał nieduży tobołek zawinięty w szmatę. Złodziej

Wawrzuś stał jak skamieniały i patrzał... ale i tamten spostrzegł go równocześnie. Stłumiony krzyk wydarł mu się z piersi, zęby puściły zdobycz, tłumoczek upadł na ziemię, a ze szmaty licho związanej w pośpiechu wysypały się złote naczynia kościelne i promienista monstrancja[140].

Złodziej zeskoczył z wysokości kilku stóp i twarz wykrzywioną złością okrutną zwrócił ku dziecku.

— O mój Jezu... to on... to ten sam!

— Widziałeś? — krzyknął czarny człowiek, patrząc w prawo i w lewo, czy się kto nie zbliża. — Widziałeś? To dobrze! już na tym świecie nic więcej nie zobaczysz.

Rzucił się ku niemu z wyciągniętymi szponami, aż tu nogą zaczepił o swój płaszcz, tylko co przez Wawrzusia wysunięty z kąta, i runął jak długi na ziemię. Chłopiec odsadził się w dwóch susach jak spłoszony źróbek[141] i biegł, ziemi prawie nie tykając, z wrzaskiem przeraźliwym:

— Zadusi mnie! Zadusi mnie!

Złodziej widząc, że go nie dopędzi, a słusznie bojąc się ludzi, pozbierał czym prędzej złote naczynia, związał w węzełek i pomknął poza kościół w najbliższą uliczkę.

Na pisk Wawrzusia, rozdzierający ciszę nocną, zbiegło się dwóch stróżów nocnych i kilkadziesiąt ludzi spoczywających w rynku przy wozach z towarami przygotowanymi na jutrzejszy jarmark.

— Czego się drzesz, licho przejęte? — huknął na niego stary Mikołaj, waląc o ziemię halabardą.

---

[137] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

[138] *chrobacek* (gw.) — robaczek.

[139] *szkarpa* — skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru.

[140] *monstrancja* — naczynie liturgiczne w kształcie słońca na nóżce, w którym wystawia się hostię podczas mszy i procesji.

[141] *źróbek* (gw.) — źrebak.

— Cni[142] ci się za prętem? Widzicie go! — dorzucił drugi stróż. — Tyle rejwachu[143] po nocy; zerżnąć skórę, jak się patrzy, i tyla.

— Cichojcież — przerwała jakaś kobieta z tłumu — chłopak już duży, nie krzyczałby, jakby nie miał o co. Trzęsie się ano jak listeczek. Cóż ci to, synku? Powiedz, nie bój się.

— Zło-zło-o-dziej mnie go-nił... ch-chciał udusić!

— Gdzie złodziej? Jaki znowu złodziej? — burknął Mikołaj, obrażony, że pod jego czujną halabardą śmiał ktoś przypuszczać możliwość podobnego bezeceństwa.

— Gdzie złodziej? — powtórzyli zaciekawieni ludzie, skupiając się około dziecka.

— Wyłaził oknem z kościoła, złotości się rozsypały, a jak mnie uwidział, skocył z ręcami na mnie i gadał, co[144] mnie udusi.

— Ot, plecie bajtała[145] trzy po trzy.

— A go wam szkodzi zajrzeć do fary[146]? Niech pokaże, co widział i gdzie.

— Racja, dobrze gada niewiasta; chodźmy.

I posunęli hurmem ku kościołowi, Wawrzek prowadził.

— Jezus, Maryja... był złodziej! — Okno otwarte!

— Sznur wisi aż do ziemi!

— Nie skłamało dziecko! — krzyczeli ludzie, jedno przez drugie. Dokoła Wawrzusia huczało jak w ulu: w domostwach otwierały się okna, wychylały się z nich pytające głowy kobiece; mężczyźni wybiegali przed domy, tłum zwiększał się z każdą chwilą. Jedni biegli zawiadomić proboszcza i burmistrza o świętokradztwie, inni z krzykiem rozsypali się po miasteczku, ktoś uderzył w dzwon na trwogę, Wawrzuś stał ciągle otoczony gromadą ciekawych. Stróż Mikołaj potrząsnął go za ramię.

— Gadaj no, dziecko, przyjrzałeś się też onemu dobrze? Poznałbyś go?

— Jesce by nie! Juzem go dziś widział w lesie nad rzeką; a teraz, miesiąc mu świecił prosto w twarz, od razum poznał, ze ten sam.

— Jakże wygląda?

— Ano, duży, ciemny na gębie, broda carna...

— Wybornie! — przerwał któryś z ludzi — a jak był odziany?

— Nicem cudak abo[147] carownik — odpowiedział Wawrzuś. — Opońca z kapturem, kapelus z muselkami.

— Pielgrzym! Pielgrzym! — zawołało kilkoro na raz.

— A jakże, był tu taki przed wieczorem!

— I ja go widziałem!

— I ja!

— I ja!

Wszyscy obecni zaczęli sobie opowiadać, gdzie który spotkał pielgrzyma; byli tacy, co rozmawiali z nim nawet. Inni widzieli, jak wchodził do kościoła.

— Aha... — zawołała jakaś dziewczyna — schował się pewnikiem do kąta i dał się zamknąć.

— Słusznie. Ino krótkie miał odzienie, wyraźnie widziałem.

— Nic dziwnego, szeroki płaszcz zawadzałby mu przy wyłażeniu oknem.

— Aha, aha, jesce cosik! — zakrzyknął nagle Wawrzuś.

— No, co?

---

[142] *cnić się* — tęsknić.
[143] *rejwach* — hałas, zamieszanie.
[144] *co* (gw.) — tu: że.
[145] *bajtała* — gaduła, kłamczuch.
[146] *fara* — kościół parafialny.
[147] *abo* (daw.) — albo.

— Ucha nie miał... lewego.

— Co? Ucha nie miał? To ci dopiero!

— Ano, po takim znaku od razu poznać.

Z drugiej strony rynku spieszno szedł burmistrz, za nim sześciu ceklarzy, czyli straż policyjna. Do ceklarzy przyłączyli się stróże nocni i prawie cała męska ludność miasteczka. Podzielono ich na trzy oddziały i domyślając się, że zbrodniarz najprędzej będzie uciekał ku lasowi, bo tam w nieprzebytych gąszczach skryć się łatwo, a pościg prawie niemożliwy, rozkazał pan burmistrz zabiec mu z trzech stron i przeciąć drogę do lasu.

Wyruszyli z latarniami i z pochodniami, bo jak na złość księżyc przysłoniły chmury.

— Rozstąpcie się, ludzie! — zawołał ktoś w tłumie — ksiądz idzie!

Proboszcz z gołą głową biegł na przełaj ku kościołowi; stary zakrystian z latarnią w ręku, nie mogąc mu nadążyć, przystawał w tyle zadyszany.

— Usuńcie się ode drzwi!

Ksiądz wyjął klucz z kieszeni i drżącą ręką ciężki zamek otworzył. Pilno mu było sprawdzić co najważniejsze, czy świętokradca nie tknął i nie rozsypał komunikantów. Burmistrz pospieszył z nim. Pokazało się, że cyborium[148] było nie naruszone; proboszcz odetchnął spokojniej. Skarbczyk, zaryglowany grubą żelazną sztabą i zamknięty na dwie kłódki, znaleziono także w całości, złodziej zabrał tylko to, co było na wierzchu w zakrystii: dwa kielichy przygotowane do mszy świętej na jutrzejszy odpust, relikwiarz[149] złoty i takąż monstrancję. Szukając po szufladach, wywlókł aparata[150] kościelne i rozrzucił je po podłodze. Szkoda była znaczna, ale w skarbcu znajdowały się klejnoty i złote naczynia dziesięćkroć większej wartości. Jeszcze nie posprzątali z podłogi wszystkich kap i ornatów, gdy uszu ich doleciały wściekłe wrzaski. Wybiegli z kościoła.

Tłum, kilkaset głów liczący, prowadził pojmanego złoczyńcę. Gdyby nie ceklarze i stróże nocni, którzy go wzięli między siebie, poszarpano by go żywcem na sztuki. Łagodna, raczej ospała ludność miasteczka, popadłszy w szał, zdolna była do najsroższego okrucieństwa.

— Pasy drzeć z łotra! — wołano.

— Oczy wyłupić!

— Ręce odrąbać świętokradcy!

— Na gałąź!

— Żywcem spalić!

Z wysokości schodów kościelnych proboszcz krzyknął gromkim głosem:

— Spokój! Milczeć!

Najbliżsi usłyszeli rozkaz, posłali go wstecz, strażnicy ze swej strony uciszali rozhukaną zgraję, szumiało jeszcze i wrzało kilka minut, wreszcie zmęczyli się i umilkli. Burmistrz, stanąwszy obok proboszcza, zawołał:

— Dość tych hałasów! Zbrodniarzaście pojmali, a sami sprawujecie się jak zbóje. O cóż krzyczycie? Wszak stoi skrępowany przed wami; jutro odwiezie go straż do grodu, sędziowie wydadzą wyrok sprawiedliwy, topór go nie minie, to pewna. Tedy nie szukajcie na nim pomsty, a zachowajcie spokój.

Tłum oprzytomniał i usłuchał. Nieznajomy, którego mimo pęt na rękach trzymali za ramiona dwaj ceklarze, skorzystał z chwili ciszy i usiłując pokłonić się burmistrzowi, rzekł tonem zupełnie spokojnym:

---

[148] *cyborium* — tabernakulum, puszka a. szafka do przechowywania komunikantów.

[149] *relikwiarz* — naczynie, w którym przechowuje się relikwie, tj. pamiątki po świętych.

[150] *aparata* (daw.) — sprzęty.

— Zezwólcie, miłościwy burmistrzu, abym — niewinny człowiek, rzeknął słowo w swej obronie.

Groźne okrzyki zaczęły się wyrywać z tłumu.

— Uciszcie się; niech mówi — nakazał burmistrz.

— Szedłem ulicą miasta — mówił nieznajomy — szedłem powoli, zmęczony długą drogą; nie w myśli mi było uciekać ni kryć się; szukałem noclegu, a wszystkie domostwa były pozamykane. Tedy chciałem zapytać pierwszego lepszego przechodnia, gdzie plebania, i księdza proboszcza prosić o kąt i wiązkę słomy, a jutro rano byłbym poszedł dalej, bo do Krakowa zdążam. Aliści, pogrążonego w myślach, napadli ze srogimi okrzykami zbrojni ludzie, skrępowali do krwi i wloką niczym mordercę, gdy nawet nie odgaduję, o co mnie oskarżają.

— Oho, wilk w baraniej skórze! — krzyknął stary jakiś mieszczanin.

— Po drodze — mówił dalej pojmany — wyrozumiałem coś niecoś, domyślam się, że popełniono tu kradzież. Zali[151] jedną nitkę cudzą mam na sobie? Ubogi jestem, głodny, bezdomny, ale uczciwy. Rozkażcie, panie, aby mnie puszczono wolno.

Jeszcze domawiał ostatnich słów, gdy z ulicy najbliższej rogatek wybiegło dwóch wyrostków z radosnymi okrzykami:

— Znaleźliśmy święte sprzęty, wielebny panie!

— Jest wszystko! Porzucił bezecnik pod płotem!

— A co? A co? Jeszcze teraz będziesz świętego udawał? — krzyknął mu ktoś nad samym uchem.

— Czyli[152] zaprzeczam, że była kradzież? — odparł, ruszając ramionami. — Złodziej uciekł, a niewinnego dręczycie.

— O ludzie... gdzież macie upamiętanie! — krzyknęła ta sama kobieta, która najpierwsza wypytywała Wawrzusia. — Ady zawołajcie dziecko, to nam powie, zali tego widział w kościelnym oknie abo inszego.

— A prawda... święte słowa!

— Dawajcie chłopaka!

— Nie ma go!

— Pewno do domu poszedł!

— Nie, skrył się za przymurek. Chodź tu, chodź, czego się boisz? Zbój związany.

Przyprowadzono Wawrzusia przed oblicze pana burmistrza, ten go ujął za rączkę i rozkazał przywieść bliżej pojmanego. Jeden z ceklarzy oświecał go latarnią.

— Przypatrz się dobrze; znasz tego człowieka?

— Nie znam go.

— Widzi wasza wielmożność... dziecko chyba nie kłamie! — tryumfująco zawołał obcy.

— Więc nie jego widziałeś spuszczającego się oknem z kościoła?

— Juści[153], ze jego.

— Czemuż tedy gadasz, że go nie znasz?

— Bo prawda. Wiem ja, kto to taki? Dziś w lesie pirsy[154] raz w życiu go widziałem. To jakoż mam świadcyć, co go znam?

— Zaspanego, głupiego brzdąca robicie moim oskarżycielem — z goryczą rzekł pojmany. — Zaiste, bezpieczno podróżnemu przechodzić przez to sławne miasto.

— Powiedz prawdę, możeś niedobrze widział, może ci się ino zdaje? Może to był ktoś podobny, a nie ten sam? — badał burmistrz Wawrzusia.

---

[151] *zali* (daw.) — czy, czyż.

[152] *czyli* — tu: czyż.

[153] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[154] *pirsy* (gw.) — pierwszy.

— Cóz mi się ma zdawać? Sami se obaccie, cy ma oba usy. Złodziej nie miał lewego.

Stary Mikołaj odgarnął ręką długie włosy nieznajomego.

*

Wzrok, Wróg

Gdy straż odprowadzała świętokradcę do tymczasowego więzienia w podziemiach ratusza, zbrodzień odwrócił głowę i długie spojrzenie, straszny wzrok wilka schwytanego w samotrzask, utkwił w twarzy Wawrzusia. Górna warga drgnęła, błysnęły zęby...

— Do widzenia, malućki[155]... — rzekł półgłosem. Wawrzuś nagłym ruchem podniósł łokieć ponad głowę i przerażoną twarz wtulił w fałdy rękawa. Gdy znowu spojrzał na świat, pielgrzyma przed nim już nie było. Zakrywał go tłum odprowadzający więźnia do lochu pod ratuszem.

Długo jeszcze na rynku roiło się jak w mrowisku; rozbudzeni ludzie żywo rozprawiali o zbrodni i zbrodniarzu.

— Naści, możeś ty nie wieczerzał — odezwała się do Wawrzusia ta sama kobiecina, wtykając mu w garść skibkę chleba ze serem. Dzieciak nie podziękował nawet, rzucił się zgłodniały na jadło. Z podwiniętymi pod siebie nogami usiadł na garstce rozrzuconej słomy i zmiatał, aż mu się uszy trzęsły. Gdy zaspokoił pierwszy głód, oczy zaczęły mu się kleić i zasnął, sam nie wiedzący kiedy.

Spał długo, ale niespokojnie; zwidywały mu się straszliwe oczy świętokradcy, to znów chciał przez sen uciekać przed nim, nogi wrastały mu w ziemię, a pielgrzym, doganiając go, już, już sięgał mu karku.

Z krzykiem zerwał się na równe nogi i nieprzytomnym wzrokiem potoczył dokoła. Cały rynek, pełen ludzi, pogrążony był w ciszy, wszystko spało, choć świtał już blady brzask.

Nagle od ratusza doleciało zrazu kilka, potem cały chór zmieszanych głosów. Nad wszystkimi górował bas Mikołaja. W miarę jak się ludzie przy wozach budzili, gwar i zamęt wzmagał się i zbliżał. Coś się stało... Ale co?

Wawrzuś nie pojmował. Wytrzeszczył zaspane oczy, otworzył szeroko usta, słuchał...

— Ij... głupie gadanie... — mówił ktoś lekceważąco — przecie drzwi na sztabę zasuwane.

— Jak to, gadanie? Wszak sam stróż Mikołaj...

— Śniło się Mikołajowi.

— Krata w oknie przepiłowana! — krzyknął, dobiegając, ktoś trzeci.

— Skądże znowu? Krata gruba.

— Musi piłeczkę zacną miał przy sobie to i przerżnął.

— Ale że to Mikołaj zdolił[156] spać tak twardo...

— Stary człek; zresztą, komu by przez myśl przeszło...

— I tak prędko? — zdziwiła się jakaś kobieta.

— Ano miał ze trzy godziny czasu.

— Posłali za nim ceklarzy?

— Ciekawość gdzie? W puszczę? Kamień w wodę.

— Rety... jak się burmistrz dowie!

— Ee... płakać nie będzie. Szkody w świętych naczyniach nie ma, dy[157] Mikołajowi głowy nie zetnie.

— Ale psi syn sprawny!

---

[155] *malućki* (gw.) — malutki.

[156] *zdolić* — zdołać, dać radę.

[157] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

— Wiadomo, z diabłem w zmowie.

— Słyszycie, ludzie? Złodziej uciekł w nocy oknem! — zwiastował nowinę kościelny, wlokąc się ślamazarnie na plebanię.

— Ejże? Naprawdę? — ze śmiechem przyjęto jego słowa. — Ale co gorsza, że króla Popiela myszy zjadły!

— Cha, cha, cha, cha!

Wawrzuś patrzył, słuchał... w głowie mu się zawracało... serce dzwoniło na trwogę, a w uszach brzmiały dwa straszne słowa: „Do widzenia, malućki".

U WIŁÓW[158]

Królewna i diabły. — Brzuchomówca. — Pan Prot funduje piwo. — Margosia na linie. — Wawrzuś do góry nogami. — Koza Beksa i bat Grzegorza. — Czemu „zbyrkała" płachta u wozu.

Wawrzuś otworzył oczy. — A ja gdzie? — zapytał głośno. W pierwszej chwili jakoś nic a nic nie pamiętał. Że mu jednak wcale nie chodziło o dociekanie prawdy, leżał sobie wyciągnięty na słomie, worek z owsem pod głową, i przypatrywał się. A było bardzo dużo ciekawych rzeczy do widzenia: najpierw, jako porządny gospodarski syn, zauważył trzy doskonale utrzymane konie, chrupiące obrok tuż obok niego, a na ziemi leżała śliczna biała koza, o długiej, krętej wełnie. Dalej w rynku, gdzie wczoraj w nocy widział mnóstwo powyprzęganych wozów, dziś zobaczył dwa szeregi straganów, a o ile mógł dostrzec ze swego kącika, różne cuda rozłożone były na tych straganach. Tuż niedaleko garncarz miał swoje wyroby, dalej koszyków moc niezliczona, obok koszykarza szewc ustawił i rozwiesił kilkadziesiąt par butów, ciżem i ciżemek w różnych kolorach.

„O raju... a to ci żółte jak słoma w słońcu! — westchnął Wawrzuś, wpatrując się z zachwytem w parę trzewiczków zawieszonych rzemykami na drążku i chyboczących się w prawo i w lewo. — Zeby tak matusia tu byli, poprosiłbym... oni tacy dobrzy... kupiliby mi te cizemki. Jakie to nosy długie mają, cuję, ze prawiutko byłyby na moją nogę".

Ziewnął głośno, przewrócił się na prawy bok i przymknął oczy. Po tylu przygodach należał mu się jeszcze wypoczynek.

— Jego miłość już się zbudził — zaświergotał mu nad głową jakiś cienki głosik.

Popatrzył w górę. Przy olbrzymim wozie, trzy razy przynajmniej większym od innych, grubą płócienną budą krytym, stała śliczna dziewczyna. Wianuszek z jaskrawych kwiatków miała na ciemnych włosach, koszulkę bieluśką z krótkimi rękawami, gorsecik zielony jak sama trawa, czymś błyszczącym suto wyszywany, i taką samą strojną, króciutką spódniczkę. Na nogach ciżemki żółte. Strój

„Oj, oj... nie będę się rusać, niech mi sie tak śni jak najdłuzej... ślicności królówna!"

Dziewczyna wplatała srebrny galonik[159] do warkocza i śmiała się w głos:

— A to ci śpioch dopiero! Ludzie od niepamięci świata już pośniadali, a ten chrapi i chrapi... Nie głodnyś?

— Wolno gadać do jasnej królówny?

— Idźże, głuptasku... takam ja królówna, jako ty królewic. Margośka mi jest i tyla. Matka... ociec! — zawołała, przytykając usta do szpary w budzie — bo ten mały już wstał.

— Przyprowadź go, niech co zje — odezwał się ktoś z głębi wozu.

[158] *wiła* — błazen, komik cyrkowy, klown, akrobata.

[159] *galonik* — tasiemka, wstążeczka.

— No, wstawaj i chodź, bo potem nie będzie czasu myśleć o tobie.

Uchyliła trochę zwisającej płóciennej płachty, weszła po schodkach do wnętrza wozu i pociągnęła chłopca za sobą. Dobrze, że go trzymała za rękę, bo się tak żachnął gwałtownie, że byłby spadł ze schodów na wznak i potłukł się porządnie: O ile Margosia na pewno była królewną, choć się nie chciała przyznać, to znowu te dwie postacie, które ujrzał w tym dziwnym wozie, co był domem, czy w tym domu, co był wozem, musiały przyjść na ziemię prościuteńko z piekła.

W głowie mu się mąciło...

Jedno grube a krótkie, odziane po cudacku, prawy rękaw czerwony, lewy żółty; prawa nogawica sina, lewa biała w czarne koła. Sam kubrak pasiaty jakiś, jakby węże po nim łaziły... ale to wszystko jeszcze nic naprzeciw ohydnej gęby! Ani ściana nie taka biała, jak twarz owego grubasa... po niej plamy, jakby kto palec we krwi umaczał i pacnął tu i owdzie; włosy... albo to włosy? Rude kłaki obmierzłe. To drugie znowu, co stoi w kącie, czarne jak smoła; gęba i włosy, i całe odzienie. A królewna wcale nie ucieka, tylko się śmieje i gada z nimi po cichu.

„O Matko Święta... dziękujez Ci! Jakasi zwycajna kobieta stoi przy piecu i z garnka na miseckę strawy ulewa. Ukroiła chleba, odwraca sie... ady[160] ja ją wczora w nocy widziałem!"

— Cóż, malućki parobeczku — przemówiła kobieta do Wawrzusia — dobrze ci się spało? Zbój się nie przyśnił?

Odważył się o jeden krok postąpić.

— O moiściewy[161]... — szepnął — ulitujcie się nade mną biednym, wyprowadźcie mnie stąd zaraz! Juz ani jeść nie chce, bylem na one diabły nie patrzał.

Choć starał się mówić jak najciszej, Margosia, stojąca tuż, usłyszała ostatnie słowa i rozchichotała się, aż na ławie przysiadła.

— Nie bójże się, nie bój, chi, chi, chi... słyszeliście, tatusiu, co on gada? Myśli, żeście wy diabeł i Froncek też... chi, chi, chi... bo mnie kolki chycą!

A starsza kobieta pogłaskała dziecko, podprowadziła je do piecyka i rzekła głosem łagodnym:

— Jedz, synku, z Panem Jezusem, a niczego się nie bój; ci dwaj w kącie to ludzie, tacy jako i my; ino sztuki będą pokazować[162] na rynku po sumie[163], to się musieli przebrać i gęby se usmarowali. Jak się potem umyją, to zobaczysz, że wcale nie straszni.

— Stuki? Na co stuki?

— Takiś duży wyrósł i o wiłach nie słyszałeś? — spytał go długi, czarny diablik.

— Jako życie nie słysałem; ani w Porębie takich nie było.

— Widzisz, jak to dobrze, żeś się do nas dostał, zaraz się czegoś ciekawego dowiedziałeś — dodał starszy.

— E... co mi ta o to, nicegom nie ciekawy, ino kaj[164] Poręba. Tyle ludzi na jarmarku, nie ten, to insy odwiezie mnie do tatusia.

— A jakże, słusznie; ino co masz po ludziach chodzić, nie mogłeś lepiej trafić jak do nas, my właśnie zaraz jutro jedziemy do Poręby.

— Zaraz jutro? Aj dobrze, dobrze! Juz trzeci dzień się błąkam, sam bym nijak nie trafił.

— A widzisz? Ale za to musisz krzynę odsłużyć.

---

[160] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

[161] *moiściewy* (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

[162] *pokazować* (gw.) — pokazywać.

[163] *suma* — uroczysta msza.

[164] *kaj* (gw.) — gdzie.

— Juści, ze odsłużę, byłem ino zdolił[165].

— Łatwa służba, nie bój się. Przystroję cię bogato, bo takiego brudasa wstydziłbym się ludziom pokazać, i będziesz się kręcił wedle nas, jakobyś i ty sztuki pokazował. Potem pójdziecie z Margośką między naród z miseczkami, a ludzie wam będą rzucać denary[166].

— Na co denary?

— Na to, abyśmy jutro głodem nie przymierali i konie popaśli. Zjadłeś? Idźże na plac, do studni, i umyj się. Margoś, naciągnij mu wody.

Stary pochylił się do ucha dziewczyny i szepnął:

— A dawaj pozór[167], coby[168] ci nie umknął.

Mało jeszcze ludzi było przy straganach, wszyscy prawie mieszkańcy miasteczka znajdowali się na nabożeństwie w kościele. Margosia z Wawrzkiem przemknęła pomiędzy wozami, przypilnowała go, żeby się dobrze wyszorował, i czym prędzej wróciła do budy, nie chcąc się przed czasem ludziom pokazywać. Ojciec z Fronckiem także korzystali z małego ruchu na rynku; w miejscu wyznaczonym wczoraj przez pisarza miejskiego rozciągnęli wielki kobierzec, z kilku połatanych kilimków pozszywany, w pośrodku ustawili stół na kobylicach, pod stołem rozmaite przybory gimnastyczne i inne potrzebne sprzęty. Matka przywdziała czerwoną chustkę na głowę i świeży fartuch i ledwie pierwszych kilkoro ludzi wyszło z kościoła, dały się słyszeć od strony wozu linoskoczków przeraźliwe jakieś tony, bicie w bęben i odgłos dzwoneczków. Froncek to, stojąc na stole, dął co siły w piszczałkę, matka waliła w bęben, a Wawrzuś, cały w atłasach i złocistych blaszkach, potrząsał z największym zapałem grzechotką obwieszoną dwudziestoma dzwonkami.

Kościół opróżnił się już po sumie, a na rynku zaroiło się od ciekawych i kupujących. Tu biegły dzieci po pierniki, od roku z utęsknieniem oczekiwane, tam parobczak wybierał dla swej dziewuchy pierścionek z oczkiem, starsze kobiety przymierzały krasne chustki, dziewczęta wiązały na szyję paciorki; inne, bogatsze, obstąpiły stragan krawiecki i targowały gorsety lub zapaski, w powietrzu unosiła się woń przysmażanych kiszek, kiełbas i flaków; gwar, śmiechy, kłótnie przy targu, a wśród tego wszystkiego kocia muzyka linoskoczków, rżenie koni i naszczekiwanie psów.

— Ludzie, ludzie... chodźcie patrzeć... wiły będą sztuki pokazować! — zachęcali się młodzi między sobą. Żartowali i drwili jedni z drugich, a jakoś nikt nie chciał przybliżyć się pierwszy do szkaradnie pomalowanych pajaców.

— Chodźże, Jagna, chodź! — zachęcał siostrę kuchcik pana burmistrza — to wszystko ino udanie; jeden posmarował gębę na czarno, drugi na biało, bo taki zwyczaj u nich; ale się bać nie trza, nikomu nic nie zrobią.

— To ino takie błazny głupie — pouczał swych towarzyszy starszy czeladnik ciesielski. — Czasami warto widzieć, jak dokazują. Tak rok, w Mogile byli, ale nie ci sami; zresztą kto ich ta pozna, wiły przejęte.

— A jak nas urzekną? — spytała Marysia organiścianka, zasłaniając oczy rożkiem zapaski.

— No, no, byleś ino ty kogo nie urzekła... — rozśmiał się Stach, jeden z ceklarzy, starający się o względy Marysi.

---

[165] *zdolić* — zdołać, dać radę.

[166] *denar* — Najmniejszą monetą za Kazimierza Jagiellończyka był denar, którego 18 sztuk na grosz czeski.

[167] *dawać pozór* — uważać, pilnować.

[168] *coby* (gw.) — żeby.

— A ja wam powiadam, że to są czarowniki... — zawyrokowała przyciszonym głosem faryniarka[169] Wajdzina, nabierając drewnianą warząchwią gorących flaków dla jego miłości pana Prota, majstra bednarskiego.

— Ile? Cztery denary? Garnuś flaków na dwa razy do gęby, i zaraz cztery denary? Słyszane rzeczy? Ani tego żywot[170] nie poczuje.

— Kiedyście bednarz, to se każcie obręczami żywot ściągnąć, coby poczuł. Niech mnie one[171] wiły sądzą, nie boję się; półkwarcie[172] flaków za cztery denary, jeszcze i z przyczynkiem[173]! Idźcie do Gawlikowej, rada bym uźreć[174], ile wam da za osiem!

Jegomość pan Prot zamilkł pokonany, wyskrobał miseczkę co do ździebełka, otarł wąsy i poszedł patrzeć na kuglarzy[175]. Przykład osoby tak poważnej i poważanej podziałał zachęcająco na innych: pojedynczo i gromadkami zaczęli się ludzie schodzić, wreszcie, tłocząc się głowa przy głowie, stanęli tuż przy scenie, czyli przed rozesłanym kilimem.

Artysta

Zabawa, Obyczaje

— Sławetni mistrze[176] wszelakich cechów, szanowna czeladzi rzemieślnicza... urodziwa młodzieży płci obojga... wasze miłoście panowie gospodni z małżonkami! *Gregorius Hipopotamus*, magister sztuk wyzwolonych i karkołomnych, wita was!

Tak rozpoczął przedstawienie stary Grzegorz, głowa rodu linoskoczków. Właściwie nie był on jeszcze starym, tylko ze względu na syna sam się tak przezwał.

— Zezwólcie, wasze miłoście, że dla nabrania sił do pracy, muszę się nieco pokrzepić... nie śniadałem[177] jeszcze.

To mówiąc, wyciągnął zza pasa długi nóż, ostro zakończony, i przechylając w tył głowę, wsadził go sobie do gardła aż po rękojeść.

Szept grozy przeleciał wśród widzów, a magister Gregorius wyjął z ust kordelas, ukłonił się z wdziękiem na trzy strony, pogładził się po żołądku, mlaskając językiem, i podał nóż pierwszemu parobkowi z brzegu do obejrzenia, że jest prawdziwie stalowy i mocno wyostrzony.

— Może kto spróbuje... proszę bardzo... nie? Ha, to ja jeszcze raz łyknę sobie tego kordiału za zdrowie przezacnego zgromadzenia.

I powtórzył sztukę po raz drugi.

— Teraz, gdy się czuję dziwnie wzmocnionym i rześkim, jakby mi dwadzieścia lat ubyło, rad będę okazać sławetnemu zgromadzeniu skuteczność pożywnego śniadania. Hej, Froncek! Przynieś no tu antałek piwa spod wiechy[178]... słyszysz?

Czarny diablik poskoczył do najbliższej szynkowni, wrócił dźwigając z wielkim wysiłkiem sporą dębową beczułkę i postawił ją przed ojcem na stole.

— Zanim się wezmę do pracy, miło mi przedstawić waszym miłościom dziecinę płci męskiej, cudownie od urodzenia uzdolnioną. Oto jest *Franciscus bipes nero*[179]! Gdy miał dzień życia, już się zapijał... mlekiem; skończywszy pięć lat, chodził niezgorzej, a w dziesiącich gadał jak stary. Co najwięcej podziwu godne, że tak hojnie obdarzony od natury, wychował się zdrowo i żyje do dnia dzisiejszego. Froncek... pokłoń się państwu, a pięknie!

[169] *faryniarka* — właścicielka loterii, kramarka.
[170] *żywot* (daw.) — brzuch, żołądek.
[171] *on, onego* (daw.) — te, tego; tu M. lm *one*: te.
[172] *półkwarcie* — ok. 0,5 litra a. półlitrowe naczynie.
[173] *przyczynek* — dokładka.
[174] *uźreć* (gw.) — zobaczyć; *rada bym uźreć* — chętnie bym zobaczyła.
[175] *kuglarz* — wędrowny aktor, żongler, sztukmistrz.
[176] *mistrze* — dziś popr. forma M. i W. lm: mistrzowie.
[177] *śniadać* (daw.) — jeść śniadanie.
[178] *spod wiechy* — z karczmy, której znakiem rozpoznawczym była wiecha, tj. wiązanka gałęzi lub małe drzewko, przybrane i przybite nad wejściem.
[179] *Franciscus bipes nero* (łac.) — dwunogi czarny Franciszek.

Chłopak odbił się nogą od ziemi, obrócił się w powietrzu jak fryga, magnął[180] z dziesięć koziołków, po czym wymaszerował na rękach do budy.

Grzegorz ujął baryłkę dwoma palcami za brzeg ponad dnem wystający i kilka razy wywinął nią młyńca.

— Ho, ho! — zawołała jakaś kobieta z tłumu — antałek[181] próżny, niewielka sztuka.

— Ja sam widziałem, że karczmarz próżny dawał! — ze śmiechem krzyknął ktoś drugi.

— Za łaską waszych miłościów — z obrażoną miną rzekł kuglarz — i próżnym antałkiem migać w kółko, trzymając go w dwóch palcach, nie tak łatwo, jak się zdaje; a dopieroż pełnym. Kto mi zaprzecza, jakoby w baryłce piwa nie było?

Majster Prot, opierając się na słowach owego, co widział, że antał próżny, podniósł rękę.

— O zakład!

— Zgoda!

— Kto przegra, ten wiadro piwa zapłaci; ja alibo wy.

— Dobrze!

— Dawajcie dzbany i szklanice!

Przyniesiono; Grzegorz odszpuntował i nalawszy do dzbanów, uprzejmie częstował zgromadzenie. Wszyscy pili ze smakiem i śmiali się z pana Prota.

— A... bo czego tamten krzyczał głupstwa, jak nie był swego pewny? I podział się gdzieś abo cicho siedzi, bo go wstyd.

— Cale[182] mi nie wstyd, stoję przy was.

— Gdzie? Kto?

Majster Prot obejrzał się ze złością, chcąc pomścić wyśmiewiska ludzkie i koszt poniesiony, ale tuż przy nim stało dwoje małych dzieci, trochę dalej Stach z Marysią, zagadani i o bożym świecie nie wiedzący, a z tyłu Damian Jemioła z małżonką, kumotrowie a przyjaciele majstra Prota.

— Ciekawość, gdzie stoi, kiej nikogo nie widzę.

— Wlazłem do waszej kieszeni! — odezwało się coś przyciszonym głosem.

— Czary! Diabli!

— Diabelskie psikusy!... — zaczęto wołać ze strachem; niejeden by rad uciekł, ale w ciżbie trudno się było wycofać.

Aż tu nagle pan pisarz, stojący również w pierwszym rzędzie, uderzył się ręką w czoło i parsknął śmiechem.

— Juści... zaraz czary! Brzuchomówca i tyle! Owa baba, co gadała, i ten drugi, i to, co w kieszeń wlazło, wszystko on sam gadał.

Magister Gregorius popatrzał na publiczność z dumą i zadowoleniem i złożył nowy ukłon na trzy strony.

Śmiechu i oklasków było co niemiara. Przywołano Froncka, fikał, brykał jak opętany, toczył się po kobiercu zwinięty w kłąb; ani dopatrzeć, gdzie głowa, a gdzie nogi! Potem Wawrzek podawał mu różnokolorowe piłki, a on ich dziesięć wyrzucał w powietrze, łapał zręcznie i znowu rzucał, żadna z dziesięciu nie spadła ani razu na ziemię.

Na zakończenie uwiązano linę do rynny na piąterku zajazdu „Pod Złotą Gęsią", przeciągnięto skośnie do rynny na takiej samej wysokości po drugiej stronie placu i naturalnie magister Gregorius uprzedził sławetne zgromadzenie, że córka jego

[180] *magnąć* (gw.) — fiknąć.
[181] *antałek* — beczułka.
[182] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

Margarita, dziewka wdzięczna ku wejrzeniu a cnotliwa, przejdzie po linie z jednego końca na drugi, po czym wróci na powrót, cofając się.

Hucznymi oklaskami przyjęto tę zapowiedź, a on dodał poważnie:

— Raczą wasze miłoście nie dziwować się głośno ani biciem rąk okazować swej uciechy, dopokąd się ta arcyniebezpieczna sztuka nie skończy; tu chodzi o życie.

Głos kuglarza drżał trwogą o ukochane dziecko... pobielana twarz wyglądała brzydko i śmiesznie.

Froncek wyprowadził Margosię na kobierzec, ukłoniła się publiczności, szczerząc białe ząbki, po czym pobiegli oboje „Pod Złotą Gęś". Dziewczyna ukazała się w otwartym oknie, stanęła na wyprężonej linie, z drążkiem w rękach dla utrzymania równowagi, i powoli, sztywna, jakby drewniana, nie patrząc w dół, ale prosto przed siebie, zrobiła parę kroków. Małe nóżki stawiała zręcznie i ostrożnie...

Niebezpieczeństwo

Wawrzuś nie rozumiał wcale, co miały znaczyć przygotowania z liną; dopiero gdy zobaczył królewnę, stąpającą po sznurze jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią, wrzasnął, jakby go nożem krajano, i puścił się pędem ku zajazdowi, nie wiedział po co, zapewne ratować ją od śmierci. Jakaś twarda ręka chwyciła go za kołnierz, a jeszcze twardszy głos szepnął mu w ucho:

— Stój i milcz, raku przejęty! Jak się będziesz darł, przestraszysz dziewczynę, spadnie i zabije się. Ani mi piśnij, bo cię w szmaty potargam!

Dziecko zatkało buzię rękoma i stało jak martwe, z oczami w Margosię utkwionymi, śledząc każde jej poruszenie. Ojciec grał na piszczałce jakiś marsz dziki, ale bardzo rytmiczny, matka uderzała w bęben, dziewczyna szła po linie jak lunatyczka, stawiając nóżki do taktu, bo w ten sposób łatwiej utrzymywała równowagę. Gdy już stanęła w przeciwnym oknie, usiadła na futrynie i odpoczywała. Była bardzo blada.

Po chwilce stanęła znów na linie, ale odwrócona do niej plecami, i rozpoczęła powrót, cofając się krok za krokiem. Serca patrzących biły na wyścigi z tamburinem matki i piszczałką ojca.

Jeszcze dwa kroki... jeszcze jeden... już wszystko dobrze!

Teraz dopiero zahuczał rynek oklaskami i krzykiem tłumu, aż mury domów echem odpowiadały. Wawrzuś przykucnął na ziemi i wstrzymywany tak długo strach o królewnę wyrzucał z siebie głośnym szlochaniem.

— No, wstawaj... masz tu szmatę, otrzyj se ślipie — burknął półgłosem Grzegorz. — Nie mówiłem ci, że będziesz zbierał denary z Margośką? No, ruszże się!

Trzeba się było uwijać, zanim publiczność ochłonie z zapału. Margosia cała w pąsach, z uśmiechem, wzięła ze stołu przygotowane już na ten cel talerzyki, jeden dała Wawrzkowi i kazała mu iść za sobą. Widzowie znaleźli się wcale przyzwoicie, mało kto umknął cichaczem, nie rzuciwszy denara. Dziewczyna śpiewała przy tym wesołe ludowe piosenki, to znów przerywała sobie w pół wiersza, by pożartować z jednym, drugim; ładna jej twarzyczka i dowcipne słówka zjednały jej przychylność wszystkich. Na talerzyku rosła góra miedziaków, gdzieniegdzie przeświecały srebrne pieniążki. Wawrzuś nadstawiał swoją miseczkę, ale nikt na niego nie zważał; dopiero jakaś litościwa mieszczka użaliła się zaczerwienionych oczu dziecka i rzuciła mu trojaka.

— A czego to płaczesz, mały?

— To mój braciszek, dopraszam się waszej łaski — prędko odpowiedziała Margosia — pewnikiem co przeskrobał i tatuś mu dali w kark; ale to u nas chleb powszedni, widzicie, już się śmieje.

Istotnie, myśl, że miałby być braciszkiem królewny, wydała się chłopcu tak zabawną, że roztworzył[183] buzię i pokazał wszystkie zęby.

[183] *roztworzyć* (daw.) — otworzyć.

— Sławetne państwo, dorzućcie i dziecku jakich parę miedziaków; dostanie karę, jak z niczym wróci.

Sprzątnięto kuglarskie przybory, deski i kobylice[184] schowano do wozu; Grzegorz i Froncek umyli się, przebrali w suknie codzienne i wyszli pogapić się na jarmark. Poważny, otyły człek w szaraczkowym[185] żupanie[186] wyglądał raczej na handlarza nierogacizny niż na wiłę-pajaca. A z Froncka taki był urodziwy parobeczek, aż coś dziewczętom oczy ku niemu ciągnęło; ani gadania, żeby to był ten sam, co kozły magał i czarnego diabła udawał. On też umyślnie tak się smolił i szpecił, żeby go później nie poznawano.

— Dobrze matka zrobiła, że dziecko przyprowadziła wczoraj spać przy naszym wozie — rzekł stary do syna — tyś już za duży, koza cię nie udźwignie, a takie małe ino przyuczyć, będzie fikało aż hej.

— Matka nie zgodzą się — odpowiedział syn — dy mówili dziś rano, że trzeba dziecko odprowadzić na plebanię, to go proboszcz odeśle do domu.

— Juści proboszcz tyle wie, co i my, gdzież go odeśle? Pogadam z matką na wyrozumienie. Abo to chłopcu krzywda u nas będzie? Poje se po uszy, a zechce, to i wyżej uszu, nie narobi się, ino tyle, co naukę odprawi z godzinę co dzień. Nauka, Okrucieństwo

— Aha, i co baty brać będzie — rozśmiał się Froncek.

— Bez bata nic — rzekł ojciec. sentencjonalnie — i tyś brał bicie do krwi nieraz.

— Oj, brałem, brałem!

— No i co? Kości masz całe, wyrosłeś jak chabina, sztuki pięknie pokazujesz, krzywda ci?

— Żadna dziewucha wiły za męża nie zechce.

— Głupiś... a matka mnie zechciała? Zresztą, co tu gadać, pożryj[187] ino, czy aby jedna przejdzie, co by się nie ośmiała[188] do ciebie. Każde rzemiosło dobre, byle chleb dało. Tedy wyjedziemy stąd dziś na noc, jutro popas w Księżej Wólce, a pojutrze przedstawienie w Miechowie, bo tam właśnie przypada kiermasz. Trzeba chłopca przez jutro poduczyć, coby choć na rękach pobiegał. Dasz rady?

— Jak będzie chętny, czemu nie; chodzić na rękach cale nie sztuka.

— Pogadaj z nim mądre słowo; postrasz go mną, to usłucha.

Jak stary Grzegorz zarządził, tak uczyniono: przed samą nocą wyjechali z miasteczka, matka z trojgiem młodych w budzie, ojciec na koźle, biała koza na postronku za wozem. Wczesnym rankiem dotarli do ślicznej polanki w lesie; Grzegorz wyprzągł konie, rozpalono ognisko, Margosia przyniosła wody z rzeczki, matka gotowała śniadanie, a Froncek zakrzątnął się około Wawrzusia i pierwszej lekcji gimnastyki. Malec wręcz odpowiedział, że nie będzie chodził na rękach, boby się ludzie w Porębie z niego wyśmiali, gdyby odmiennie chodził niż inni.

— Ja ci też nie kazuję od rana do nocy do góry nogami uganiać, ino cię muszę nauczyć; tatuś tak przykazali.

— Na co?

— Co ci ta o to[189]; kazali i dość. No, szkoda czasu.

Wziął go wpół za krajkę jedną ręką, obie nóżki w drugą i zaczęła się lekcja.

— Nie chce... nie bede... cego mnie męcys! — wrzeszczał Wawrzuś.

Aż tu Grzegorz przyskoczył z batem.

---

[184] *kobylice* — drewniane podpórki.

[185] *szaraczkowy* — z taniego, szarego płótna, nie bielony i nie farbowany.

[186] *żupan* — starop. ubiór męski, długi obcisły płaszcz zapinany na guziki, ze stojącym kołnierzem i wąskimi rękawami.

[187] *pożreć* (gw.) — spojrzeć.

[188] *ośmiać się* — uśmiechnąć się.

[189] *co ci ta o to* (gw.) — po co masz wiedzieć, nie pytaj.

— A w skórę chcesz? Darmozjadzie jeden! — I zaciął go po gołych nóżkach, aż czerwone pręgi wystąpiły. — Masz robić, co ci każą, a nie, to baty.

I Wawrzuś robił, co mu kazano, byle nie brać batów. Zgrabniutki, drobny, lekki, tego samego rana zgłębił tajemnicze prawidła równowagi, aż się Grzegorz zdumiał, jakie dziecko pojętne. Biegał na rękach tak swobodnie, jak niejeden i na nogach lepiej nie potrafi. Przy obiedzie dostał pochwałę i kilka słów zachęty do dalszej pracy.

— Kiej ja wolę do Poręby. Gadaliście, co mnie zawieziecie do tatusia.

— Jakie też to głupie dziecko, to strach — odparł Grzegorz, niosąc łyżkę do ust — nie widzisz to, że prościuteńko do Poręby jedziemy?

Roześmiali się wszyscy jakimś niemiłym śmiechem, tylko Grzegorzowa ruszyła ramionami niechętnie.

— Prościuteńko? — powtórzył Wawrzuś, klaszcząc w rączki. — A daleko jesce?

— Ha, będzie ze trzy staje[190] — odpowiedział Froncek poważnie, a stary dorzucił:

— E... chyba ze cztery.

I znowu parsknęli śmiechem.

— A w którą stronę?

— O tam, gdzie te brzózki, zakręca się gościniec i już Poręba jak na dłoni.

Po obiedzie Grzegorz legł odpocząć. Froncek z Margosią poszli szukać grzybów, a Wawrzuś bawił się z kozą, z którą od pierwszej chwili poznania zawarł serdeczną przyjaźń... Słowa Froncka, że za brzózkami już widać Porębę, brzmiały mu wciąż w uszach; coś go gnało w tę stronę...

„To i cego będę cekał, może długo jesce będą popasać — myślał — a kiedy to tak blisko, to chyba trafię". — Podszedł do Grzegorzowej i pocałował ją w rękę.

— A czego chcesz, synku?

— Przysedłem was pożegnać, ide do domu. Bóg zapłać za wsytko.

— Co też ty gadasz, dziecko? Co ci się zwiduje? Nie trafisz.

— Gadali, ze blisko; juz mi ta nie brońcie, muse iść.

Rzucił się jednym skokiem i gnał jak szalony ku brzózkom; bała się krzyczeć, żeby męża nie zbudzić, biegnąć nie miała siły...

„Ha, wola boska, niech dziecko umyka — pomyślała — trafi na dobrych ludzi, może go lepszy los czeka niż biedowanie z nami".

Nieszczęściem dla Wawrzusia, droga zakręcająca się za brzózkami nie tylko że nie prowadziła do Poręby, ale co gorsza, była drogą do Miechowa, gdzie właśnie zdążali kuglarze.

Z początku leciał jak na skrzydłach, a ciągle wypatrywał oczy, gdzie ta Poręba, co miała być widna jak na dłoni. Wiele drogi nie uszedł, już musiał zwolnić kroku, a po godzinie siadł pod dziką gruszą przy drodze, odpocząć chwileczkę. Słońce przypiekało, nogi trochę bolały, wyciągnął się w cieniu i usnął.

Zbudził go ból piekący jak ogień... zerwał się na równe nogi... Stary Grzegorz stał nad nim czerwony ze złości i prał batem gęsto a ostro. Okrucieństwo

— Będziesz uciekać? Będziesz? będziesz? będziesz?

— Ja nie uciekał, ino szedł do domu, do tatusia!

— Masz za tatusia! Masz za Porębę! Masz!

Za każdym słowem padał powiązany w węzły powrózek na zgrzebną koszulinę, dziecko zwijało się, kurczyło, drgało...

— O Jezu... nie będę... nigdy nie będę! — zakrzyczał rozdzierającym głosem.

— Pamiętaj sobie! Jeszcze jeden raz spróbujesz, to cię tak wytłukę, że krwią spłyniesz, łotrowskie nasienie! No, zbieraj nogi, do budy!

[190] *staja* a. *staje* — jednostka odległości, licząca od ok. 100 do 1000 m.

Od następnego rana rozpoczął Wawrzuś służbę u linoskoczków, ciężkie terminowanie. Musiał chodzić na rękach, magać kozły na odległość i w miejscu, skakać przez drążek wysoko nastawiony, a gdy już nabrał wielkiej wprawy w tym wszystkim, Margosia uczyła go chodzić na linie rozciągniętej tuż ponad ziemią. Rozpinano ją co dzień o pół stopy wyżej, a nauczycielka tłumaczyła bardzo łagodnie, głaskała i całowała, gdy się dobrze udało, a nigdy nie biła. Zrozumiał, że nie trzeba patrzeć na dół, bo się w głowie zawraca, zrozumiał, że stawiając lewą nogę, trzeba się przechylić odrobinę w lewo i nawzajem. Ale bardzo często jeszcze spadał z liny, więc o popisywaniu się tą sztuką nie mogło być mowy. Za to biała koza miała się z pyszna. Przed trzema laty, gdy Froncek był mało co większy od Wawrzusia, a koza ledwie wychodziła z dzieciństwa, wytresowano ją do pewnych ćwiczeń. Kózka myślała, że to figle, i chętnie dokazywała z Fronckiem. Ale dawno już swych sztuk zapomniała i trzeba ją było uczyć na nowo. To jedno było dobre, że nie wiedząc jeszcze, co go czeka, Wawrzuś dzielił się z kozą swoim chlebem, odkradał Grzegorzowej szczypteczki soli i tymi frykasami kupił sobie miłość Beksy na wieki. Gdy więc przyszło, rozpędziwszy się, chwycić kozę za rogi, przewrócić w powietrzu koziołka i stanąć jej równymi nogami na grzbiecie, Beksa nie sprzeciwiała się zbytnio woli swego przyjaciela, zwłaszcza że wspomnienia młodości budziły się w jej pamięci, nastawiała rogaty łeb jak do walki i stała jak wryta, co było ułatwieniem dla Wawrzusia.

Zdarzyło się już kilka razy, że na przedstawieniach, jakie wędrowni kuglarze dawali po miasteczkach, koza i Wawrzuś podobali się najbardziej. Dzieciak nie wyglądał na swoje lata, drobniutki był i smukły, dlatego też sprawiało na publiczności wielkie wrażenie, gdy taka kruszyna wyskakiwała jak pchła z ziemi na głowę i grzbiet kozy.

Stary Grzegorz winszował sobie nabytku; chłopiec go prawie nic nie kosztował, a przyczyniał się wiele do pomnożenia zarobku. Dodzierał[191] aksamitów i świecideł, z których Froncek wyrósł, jadł jak myszka, a pracował nie mniej od starszych.

Tylko że ciągle tęsknił za Porębą i choć przy Grzegorzu głośno o tym nie mówił, stary niejeden raz dosłyszał, jak przed Margosią wylewał swe żale. Pilnowali go też wszyscy jak oka w głowie, prócz matki, bo ta od samego początku litowała się nad dzieckiem i ciągle tylko przemyśliwała, jakby to oddać Wawrzusia rodzicom, a przynajmniej powierzyć jakiemu dobremu człowiekowi, żeby go na uczciwego rzemieślnika wykierował.

W nieustannej tułaczce z jednego kąta kraju w drugi wiły trzymali się zwyczaju, że w nocy odbywali drogę, wypoczywali nad ranem, a w dzień dawali przedstawienia. Jeżeli po drodze trafiło się miasteczko, tym lepiej, a nie, to i po wsiach pokazywali swe sztuki, bodaj za bochenek chleba albo wiązkę siana dla koni. W ten sposób opłacali sobie koszta wędrówki i snuli się z północy na południe, ze wschodu na zachód. Nierzadko spotykały się dwie lub trzy rodziny linoskoczków; jedni powiadamiali drugich, gdzie warto się zatrzymać i jakim traktem jechać najbezpieczniej, po czym każda buda ruszała w swoją stronę.

Wawrzuś, nauczony smutnym doświadczeniem, że ucieczka nie jest rzeczą zbyt łatwą, a bat Grzegorza jest rzeczą okropną, pogodził się pozornie z losem i coraz to wspanialsze salto mortale[192] urządzał tak z kozą, jak i bez kozy. Ale w nocy, gdy wszyscy w budzie spali twardo, a wóz posuwał się powoli po wybojach i kałużach, ach, wtedy jak ptaszek więziony, co się w klatce trzepoce i skrzydełka sobie o szczeble obija, tak biedny malec spłakiwał się gorzko i snuł dziwaczne plany oswobodzenia.

Pewnej pochmurnej nocy, gdy wóz toczył się powoli leśną dróżką, co chwila potykając się o grube korzenie lub zapadając w błoto po osie, Grzegorzowa, któ-

[191] *dodzierać* — nosić zużyte ubrania.

[192] *salto mortale* (wł.: skok śmierci) — skok akrobatyczny z koziołkowaniem na dużej wysokości.

ra w dusznym gorącu zamkniętej budy usnąć nie mogła, usłyszała ciche szlochanie Wawrzusia.

— Cóż ci to, malućki? — spytała ostrożnie, by nikogo nie zbudzić, przyciągając sienniczek z dzieckiem ku sobie.

— Nic, biednym jest[193] — odpowiedział.

— Czego biedny? Boli co? — i pogłaskała go po głowie.

Wiedział, że matce można się przyznać do wszystkiego; ileż to razy słyszał, jak nastawała na męża, by chłopca oddał do jakiego dworu po drodze albo do rzemiosła. Wiedział, że go nie zdradzi, bo zawsze była dobra dla niego. Więc ją objął za szyję i najcichszym szeptem wyjąkał:

— Chcę do matusi, do Poręby.

„Robaczkiem się opiekuje. Polnej trawki pilnuje…" — przypomniała się Grzegorzowej pieśń o Boskiej Opatrzności. „Ha, może to wola Pana Jezusa — pomyślała — niech dziecko idzie, gdzie je oczy poniosą, lepszej sposobności jak dziś nie będzie".

— A nie boisz się czarnej nocy?

— Juz niedźwiedź i dzik wedle mnie przełaził, juzem wilkowe ślepie w nocy widział, a nic mi się nie stało… nie boję się nicego, ino coby mnie majster nie przyłapili.

— Słuchajże; wraź se tę ćwiartkę chleba, co leży na skrzyni, za pazuchę; zmacałeś?

— Juz.

— A teraz pełzaj powoli ku schodkom… płachtę odepnij… cicho… któreś się rusza.

Zatrzymali oddech, czekali, Froncek znów zaczął chrapać, Margosia mruczała coś przez sen.

— Możesz iść śmiało, śpią twardo; a nie przewróć tam czego.

— Bóg zapłać; nie pocałujecie mnie na drogę?

Uściskali się.

Coś zaszeleściło pomiędzy skrzyniami i tłumokami, trochę świeżego powietrza wpadło do wnętrza przez odpiętą płachtę i więcej nic.

Dzięki codziennym ćwiczeniom gimnastycznym skok z jadącego wozu zabawką był dla Wawrzusia, zwłaszcza że konie, drzemiąc, stąpały noga za nogą; Grzegorz dla odpędzenia snu szeptał godzinki.

— Pocekaj, teraz ja mądry, juz mnie drugi raz nie złapies — szepnął, grożąc ściśniętą w kułak rączką niewidzialnemu tyranowi. — Ciemno jak w kominie, schowam się w krzaki, a ty mnie sukaj, póki ci sie nie sprzykrzy.

Dał susa w las.

„Nie… po krzakach przysiadał nie będę; zaświecą ze dwie latarnie i gotowi mnie wypatrzyć; albo zwierz będzie przechodził, to mnie zje. Wylezę na drzewo".

Ze zwinnością kota czepił się palcami grubej, popękanej kory, nogi pomagały rękom, w minutę już siedział na gałęzi. Pomacał z tej i z owej strony, przekonał się, gdzie drzewo ma najgęściej splątane konary, i ostrożnie, by głową nie uderzyć o gałąź, wspinał się wyżej.

„O, tu mi będzie w sam raz; tu se ranka docekam".

Odpięta z gwoździa płachta przymykająca wóz linoskoczków fruwała, poruszana lekkim wiatrem, i szeleściła, bijąc o półkoszki[194]. Baczne na każdy odgłos ucho Grzegorza posłyszało ten szmer…

— Cóż się ta dzieje? — mruknął. — Złamało się co czy oberwało, że tak zbyrka?

Zatrzymał konie i zsiadł z kozła.

— Hej… któreż tam płachtę odpięło?

[193] *biednym jest* (gw.) — jestem biedny.

[194] *półkoszki* (daw.) — burty wozu, plecione z wikliny.

— Czego chcecie? — odezwał się z głębi zaspany głos Froncka.

— Gadam, po co płachtę odpinacie. Jeszcze się który tłomok zesunie i wyleci.

— Anim się ruszał, śpię od wieczora na jednym boku.

— Może Margośka albo matka?

Margosia odpowiedziała chrapaniem, a matka udawała, że śpi.

— Ojoj... tatusiu...

— No co?

— Siennik pusty, chłopaka nie ma!

Grzegorz syknął przez ściśnięte zęby jakąś klątwę w tysiące tysięcy, ale nie tracąc czasu na próżne słowa, natychmiast skrzesał ognia, zaświecił latarnię i Fronckowi kazał zrobić to samo.

— Chodźmy szukać — rzekł — ty patrz z lewej strony, ja z prawej; nie musiał ubiec daleko; ani trzech pacierzy nie ma, jak szelest posłyszałem.

Puścili się wzdłuż drogi, licząc, że dziecko dogonią. Gdy ubiegli spory kawał, dopiero im na myśl przyszło, że się mógł schować gdzie bliżej w gęstwinie. Więc wracali już powolutku, przyświecając krok za krokiem, krzak za krzakiem, jednej kępki paproci nie opuścili; przystawali, nadsłuchiwali — nic.

— Przywiąż no latarnię do żerdki, poświecisz wyżej między drzewa, może się gdzie na które wydrapał.

— O Jezu! — szepnęło dziecko — prosto na moją sosnę świeci... musi mnie uwidzieć... białą kosulę znać między gałęziami...

— Cóżeś się tak zapatrzył w jedno miejsce?

— Zobaczcie sami, coś szarzeje na samej górze...

— Gdzie, gdzie? Nie widzę...

Załomotały skrzydła, wystraszony puchacz spuścił się z wierzchołka sąsiedniego drzewa i ciężkim lotem, uciekając od światła, uderzył sobą silnie w twarz Grzegorza. Stary się zachwiał, wyciągnął przed siebie ręce i czepił się Froncka za ramię, a ten zaskoczony znienacka puścił drążek, latarnia upadła i zgasła.

— Dalibyście spokój szukaniu — odezwała się matka z wozu — chłopak uciekł jeszcze przed północą, a wy go tutaj upatrujecie.

— Taaak? Toś wiedziała, a nie krzyknęłaś na którego z nas?

— Właśnie, żem nie wiedziała o niczym, ino we śnie mi się majaczyło, że się ktoś wedle mnie przesuwa, nawet mnie w rękę pocałował. Nijak się ocknąć ani oczu otworzyć nie mogłam. To jedno wiem z pewnością, że więcej niż dwie godziny, jak zemknął. Tedy nie bądźcie głupi i nie szukajcie wiatru w polu.

Naklęli obaj co się wlazło i powrócili do wozu.

KONIK ZWIRZYNIECKI

Wesele w Pisarach. — Szedł do Poręby, zaszedł do Krakowa. — Tatar na drewnianym koniu. — Znowu pielgrzym. — Dlaczego św. Wojciech ma dwie głowy? — Ojciec Szymon.

Bór się zaczął ożywiać... rozbudzone ptactwo napełniało powietrze wesołym świergotaniem... poprzez wierzchołki drzew niebo się zaróżowiło na wschodzie.

Wawrzuś zmówił pacierz, uskubnął chleba z darowanej przez poczciwą Grzegorzową ćwiartki i obliczał w duchu, czy można już zleźć z drzewa bez obawy.

„Ee... chyba mnie juz gonić nie będą... pojechali przed siebie, to ja się obrócę z powrotem. Pójdę lasem, ale już ino[195] samym krajem, cobym[196] drogi z oczu nie stracił. Dy[197] mi juz ani pusca nie dziwną; cego bym się miał bać?"

Rozpoczęła się nowa wędrówka, z tą różnicą, że już dziś Wawrzuś zmądrzał o wiele, uważał się za bywalca, bogatego w wielorakie doświadczenie; czuł, że się już lada kogo nie zlęknie ani też nie uwierzy pierwszemu lepszemu, co by go chciał do rodziców odprowadzić. Szedł śmiało, głodu się nie bał, okolica była ludna, gościniec uczęszczany, wszystko wcale inaczej niż przed paru tygodniami w puszczy.

Około południa zaszedł do jakiejś wsi i przybliżył się do pierwszej chałupy, gdzie zobaczył drzwi otwarte i całą rodzinę obiadującą w sieni. Stanął opodal, ale tak, by go dostrzeżono.

— Cóż to za dziecko? — spytał gospodarz.

— Widzi mi się Bartków Pietrek ze Szydła.

— Ale gdzie... zabaczyliście, matusiu, co Pietrek na nóżkę słaby, a ten prościuśki jak świeczka — zawołało któreś z dzieci.

— Najlepiej zapytaj, kiejś ciekawy.

— Hej, chłopak, czego tu chcesz?

— Wody mi dajcie, straśnie mi się pić chce — odpowiedział Wawrzuś, całując gospodynię w rękę.

— A jeść nie? — spytała, ujęta pokornym zachowaniem się dziecka.

— Bóg zapłać, mam jesce kawał chleba, co mi Grzegorzowa dali.

— No, sam chleb to prawie na Wielki Piątek; zjedźże krupniku razem z nami, na zdrowie ci.

Baba podała mu łyżkę, siadł na progu przy jej córeczce i nabrał z miski krupniku uczciwie omaszczonego wędzonką.

— A cóż to za jedna ta Grzegorzowa, co ci dała chleb? — spytał gospodarz.

Wawrzuś nastraszył się. Jak się przyzna, gotowi go wiłom[198] oddać, stary zabije na śmierć...

— To moja chrzestna matka; byłem u niej dwa tygodnie.

— A teraz gdzie?

— Wracam do domu, do Poręby.

— Każ[199] ta Poręba? daleko? Może aż pod Krakowem?

— Juści ze ta — odrzekł Wawrzuś, rad, że mu się odpowiedź tak sama nasunęła. Nie wiedział, co znaczy Kraków, tego wyrazu, jako żył, jeszcze nie słyszał.

— Takiś malućki, jeszcze pobłądzisz?

— Nijak nie pobłądzę; znam drogę, bom już nieraz do chrzestnej matki chodził. — „E... lepiej umykać dalej — pomyślał — jak zacną rozpytywać, jesce sie z cym wygadam i będzie bieda".

Wstał, podziękował chłopu i babie, pochwalił Pana Jezusa — i za drzwi.

— Czekaj no, dziecko, czekaj, straszne dale do tej Poręby... ani jutro na południe nie zajdziesz; a jakbyś na nielitościwych trafił, naści sera i szperki[200] w szmateczce; opędzisz głód, zanim do matusi zajdziesz. A może ty nie masz matusi?

— Oj mam! A dobra... taka jak wy, a moze jesce lepsa.

Poszedł.

---

[195] *ino* (gw.) — tylko.
[196] *coby* (gw.) — żeby.
[197] *dy* (daw.) — przecież.
[198] *wiła* — błazen, komik cyrkowy, klown, akrobata.
[199] *każ* (gw.) — gdzież.
[200] *szperka* — słonina.

„Ano, tylem się dowiedział, co Poręba daleko, aze pod jakimsi Krakowem, i nie zajdę, az pojutro z południa. Dobre i to; nie będzie mi się snęło iść, kiej wiem pokąd. A ten Kraków, to moze dąb jaki stary abo góra wielka; ale ze o nim w domu nikady[201] nie gadali?... Ino cy dobrze idę? Tyle ściezków[202] na wsyćkie strony, a gościniec tez się cęsto dzieli. A nuz pobałamucę? Ludzi pytać — źle, nie pytać — jesce gorzej".

Idzie, idzie, ku zachodowi instynktownie się zwraca, bo wciąż pamięta, że w Porębie słońce do boru i do rzeki zaglądało przed zachodem. Że wschodząc, świeciło ku rzece z drugiej strony, a w południe przeglądało się w wodzie z góry, o tym nie myśli; ku zachodowi dąży. Popasał już ze dwa razy i przespał się z godzinkę, z daleka wieś dostrzega.

„Ot, znowu trza iść między ludzi. Wiecór zapada, może pozwoli kto przespać się kaj na słomie".

Wszedł w długą, prostą ulicę, po lewej stronie domy drewniane, strzechą kryte, gdzieniegdzie chałupy z chrustu gliną grubo obrzucone; po prawej same stodoły i stajnie.

— Jak się ta wieś nazywa? — spytał chłopca pędzącego gęsi do domu.

— Pisary — odpowiedział pastuszek, machnął prętem i zaśpiewał znaną do dnia dzisiejszego w okolicach Krakowa gęsią pobudkę: „O lala haaa! O lala haaa!"

„Pisary... cóż po nich... ano, trza się kaj zaprosić na noc. Cosi gra... muzyka hucna... o matko... a może to oni?"

Wsunął się do jakiejś nie domkniętej stodoły, przycupnął za drzwiami, strasznie się boi, że wiły skądś wylezą, porwą go i zabiją.

Ściemniło się zupełnie, już by się dawno powinno skończyć przedstawienie, a tu coś gra, gra ciągle. Słychać buczenie grube i pisk niby trąbki; pierwszy strach przeminął, Wawrzuś przysłuchuje się muzyce.

„E... głupi ja, głupi... ady to inse granie, nie nase!"

Noc ciemniusieńka, tak jak wczoraj, można śmiało wyjść z kryjówki, nikt się nie zadziwi, że jakieś dziecko idzie przez wieś. Tedy wyszedł ze stodoły i za słuchem się kieruje ku onemu graniu... Zobaczył chałupę dużą, wesoło ogniem na kominie i kilkoma kagankami oświetloną; z okien bucha światło na równe, duże podwórko... dwóch kobziarzy[203] siedzi na przyzbie[204] i skoczno przygrywają, a parobcy i dziewki kręcą się, oberka wywijają, do taktu sobie przytupują, a coraz to któraś para staje przed muzyką; chłopak czapki z fantazją poprawia i śpiewa...

Zabawa, Obyczaje, Wesele

Wawrzuś oparł się o płot, pręcie[205] rączkami rozsunął, patrzy i słucha.

Hanuś moja, Hanuś, cego mnie ty nie chces?
Ja ciebie tak lubię, a ty z Jaśkiem sepces!

Przybiega druga para.

Świeci miesiąc, świeci, gwiazdy pomagają.
Kaj się nie obrócę, dziewki mnie kochają!

A dziewczyna wykrzywiła się szyderczo, rzuca pół grosza muzykantom i odśpiewuje:

[201] *nikady* (gw.) — nigdy.
[202] *ściezków* (gw.) — dziś popr. forma D. lm: ścieżek.
[203] *kobziarz* — muzyk grający na kobzie, tj. instrumencie strunowym, podobnym do lutni a. gitary.
[204] *przyzba* — wał ziemi, usypany wokół podmurówki chałupy.
[205] *pręcie* — patyczki, z których upleciony był płot.

Zeniłby się z kozdą, żadna ci nie rada!
Kochają, kochają, jako i psi dziada...

Znowu przylatuje para, znowu śpiewki, śmiechy, dogryzki... Po drugiej stronie chałupy, na wysokiej przyzbie siedzą gospodynie i gwarzą. Stół zastawiony przed nimi, a z izby wybiega to matka, to która z dziewcząt, wynosząc olbrzymie michy z pokrajaną w kawały kiełbasą, tłustą pieczoną wieprzowiną, to znów ser na sicie i żytni placek do niego; siwy kmieć zaprasza gospodarzy do stołu, wynoszą z zimnej komory dzbany z piwem i gąsiorki z miodem. Chłopi jedzą stojąco, bo nie ma się gdzie rozsiadać; ale mniejsza o ławę, jeśli jest co na ząb położyć i czym gardło popłukać.

— Dy to wesele... — szepce Wawrzuś za płotem — ta w wysokim wieńcu to panna młoda... a ten z różdżką na capce to młody pan... tak samo jak w Porębie... ach, jak tez kiełbasa wonieje... jaze okropa... zęby dali choć raz ugryznąć... oj Boże...

I jak poprzednio za słuchem, tak teraz idzie za węchem, stanął pod ścianą przy kobziarzach, może go kto spostrzeże; wszak na weselu nie wolno podróżnego odpędzić, straszny grzech nie poczęstować.

Wyskoczyła z izby śliczna dziewucha; wstążki od paciorek fruwają niczym skrzydełka, spódnic na niej ze sześć, a sute... co się ruszy, to szumi i chrupi wedle niej. Wyniosła piwa dzban i mięsa na chlebie kobziarzom, przestali grać, podziękowali pięknie i zabrali się do jedzenia.

Zobaczyła chłopca.

— A to co za gość? — spytała, schylając się do Wawrzusia i zaglądając mu w oczy. — Skądżeś ty się wziął u nas? Cudze dziecko, nie pisarskie, prawda. A może ty głodny? Głód, Jedzenie

— No — odpowiedział z przejęciem.

To króciuchne, jednozgłoskowe słówko znaczyło przed czterystu laty, zarówno jak dziś w gwarze ludowej, bardzo stanowcze twierdzenie. Dziewczyna zrozumiała od razu, jak bardzo się chce jeść, gdy ktoś powiada „no". Chwyciła chłopca za rączkę i pociągnęła go za sobą do stołu.

— Kiełbasy dać?

— No.

— I placka?

— No.

— Siądźże se na ziemi w kąciku, cobyś ludziom do tańca nie gawędził i jedz z Panem Jezusem.

— Cie wy... cie wy... a to ci chłoposko[206] wielgośne[207]! — rozśmiał się jeden z drużbów. — Markociliśmy[208] się, co starosta zachorzał[209], patrzajcie, ludzie, jakoż wam się zda, może ten będzie dobry?

Wziął Wawrzusia na ręce, obnosił i pokazywał wszystkim, a gospodarze się śmiali, głaskali dziecko po buzi i niemal każdy się dziwił, skąd się maleństwo wzięło. Alkohol, Dziecko, Wesele, Zabawa

— E... co mi to za starosta, co do nikogo nie przypija! Hej, kumotrze, za zdrowie wasze!

Ktoś nalał miodu kubeczek.

— Pij, pij, to dobre, słodkie...

Wypił, zasmakowało, dali jeszcze, wypił i drugi kubek.

[206] *chłoposko* (gw.) — chłopisko, chłopaczysko.
[207] *chłoposko wielgośne* (gw.) — wielki chłop.
[208] *markocić się* (gw.) — martwić się.
[209] *zachorzeć* (gw.) — zachorować.

Drużba go spuścił z rąk, bo mu pilno było do tańca; kobziarze już zaczynali buczeć. Ale dziewczęta się wymawiały, że zmęczone i głodne, że muszą jeszcze przekąsić.

Posiadali parami na trawie, zajadali i popijali. A Wawrzuś stał oparty o ścianę, bo jakoś dziwno mu się robiło w nogach i w głowie... niby to chciało się skakać aż pod niebo, a znowu za chwilę całe podwórze i stół i przyzba z gospodyniami, wszystko się kręciło i drygało, że już wolał przycisnąć się z całej siły do ściany, bo ta jedna przynajmniej zachowywała się spokojnie.

Zaczęły się tańce na nowo. Parobcy pokrzepieni mięsiwem i rozweseleni miodem strasznie dokazywali. Śpiewki sypały się gradem, jeden odtrącał drugiego sprzed muzyki, przekrzykiwali się, ani zrozumieć nie było można, co który śpiewa. Wywijali dziewczętami, a nawet patrzącym w głowie się zawracało. Ten sam drużba, co pierwszy mianował Wawrzusia starostą, namówił pannę młodą, żeby z dzieckiem zatańczyła. Chcieli sobie zażartować z malca, pewni, że się będzie wstydzić albo skakać jak niedźwiadek. Tymczasem Wawrzuś miał wyborne ucho, czuł takt, a bat starego Grzegorza wyuczył go trudniejszych rzeczy niż wykręcanie się w oberku. Przy tym dwa kubki miodu wlały srogi animusz w jego serce. Puścił się w tany z niezmierną fantazją, a choć pannie młodej sięgał do pasa, chwycił ją silnie za kaletki[210] u gorseta[211] i hulał do upadłego, aż się wszyscy dziwowali, co za dzieciak taki zawzięty. Taniec

— No, puszczaj... ty... bo tchu złapać nie mogę! — prosiła Kondusia; ale Wawrzuś nie słuchał, ino zawijał w kółko, a w kółko. Wreszcie ulitował się, puścił dziewczynę i jakimś szałem porwany, opadł na ręce i przewrócił kozła, znów drugiego, znów trzeciego... miotał sobą tak zgrabnie i prędko, że tylko migało coś w powietrzu — dziecko, pająk czy piłka. Chłopi, zaskoczeni znienacka, rozstąpili się na boki, wytrzeszczyli oczy, dziwowali się.

Po dziesięciu czy dwunastu koziołkach zmęczone dziecko przysiadło na trawie, zasłoniło twarz rączkami, odpoczywało.

— A to ci wisus dopiero! — zawołał jeden z parobków — stało se w kącie niemrawe, malućkie, zbiedzone, przysięgałby człek, że trzech zliczyć nie umie, a to, moi ludzie, opętaniec jakiś, diabelskie nasienie!

— Ij... jaki zaś opętaniec... — ujęła się Magda, owa dziewczyna w szumiących spódnicach — nie wiesz, co chłopaki wyprawiają na pastwisku? A sameś na ręcach nie łaził, jakeś był mały? Widzicie go... opętaniec! Maciuperne[212] toto, wieciutkie[213] jak badylek, spoiliście ze zbytków miodem, a teraz się dziwujecie, że mu się w głowinie przewróciło, robi, samo nie wie co.

— Sprawiedliwie gadasz, Magda — przyświadczył ojciec — nijakiego diabelstwa w tym nie ma, ino dziecko zwinne niczym kocię, to i dokazuje, jak może. Ot, żeby wiłom dać takiego, co by z niego za rok zrobili!

— Pamiętacie, stary Grzegorz, jak tu był we Wielkanocne Święto, co się naszukał za małym chłopcem; obiecował od niego pięć śrybła[214] rocznie, przysięgał się, że mu włos z głowy nie spadnie, cóż, kiedy nawet Maćkowa, co ich ma siedmioro, a Sobka nie chciała oddać — dorzucił wójt.

Wawrzuś słyszał gwar głosów, nie zważał i nie rozumiał, o czym mowa; siedział na ziemi oszołomiony miodem i tańcem, oczy mu się kleiły.

„Wlezę gdzie w kąt i prześpię się do jutra" — pomyślał.

---

[210] *kaletki* — ozdobne wyszywane ząbki na dolnym brzegu gorsetu.
[211] *gorseta* — dziś popr. forma D. lp: gorsetu.
[212] *maciuperny* (gw.) — maleńki.
[213] *wieciutki* (gw.) — bardzo chudy i giętki.
[214] *śrybło* (gw.) — srebro.

Wtem imię starego Grzegorza obiło się o jego uszy; ocknął się i oprzytomniał w jednej chwili; usłyszał koniec rozmowy o wiłach, mówiono, że stary chłopca szukał... straszne ciarki go przeleciały. Podpełznął nieznacznie w cień, przeczekał chwilę, znowu kawałeczek, jest tam jaka szpara w płocie?...

— Gadajcie se ta, co chcecie — upierał się przy swoim zdaniu Tomek — a ja i tak nie wierzę, coby[215] dziecko przez[216] nauki, samo z siebie mogło wyprawiać takie cuda. To nieczysta sprawa i tyla.

— Śmiechu warte, jak się onemu wszędy diabły i czarowniki zwidują... — zawołał Kostek, zwany we wsi niedowiarkiem, bo się śmiał z czarów, uroków i kłócił się nawet z wójtem, że nie ma na całym świecie ludzi, co by umieli sprowadzać deszcz, pogodę, rzucać na kogo chorobę albo ją słowami zdejmować. Prawdziwy niedowiarek!

— Czekajcie, ja was pogodzę — odezwała się Magda, podchodząc ku nim. — Dy najprostsza rzecz popytać dziecko; może go kto i nauczył kozły magać[217], cóż by to było dziwnego? Hej, malućki, chodź no tu, coś ci powiem!... Gdzież to polazł? Tylko co siedział na trawie, ot tu.

— Może do izby poszedł?

— A przy muzykusach go nie ma?

— Śpi pewno pod wiśnią, zobaczcie.

— Nie, tu go nie ma, może się załgał[218] do komory i gospodaruje.

— Nie, komora zamknięta.

— Poszedł za bramę?

— Stoimy tu z godzinę — odezwało się kilkoro malców — a nijaki chłopak nie przechodził.

— Aha, aha, cóż teraz będzie? Śmiejcież się ze mnie! Czego się nie śmiejecie? Aha! Czyja prawda? Wyrosło spod ziemi nieproszone, nadokazywało diabełskim sposobem i zapadło się w ziemię z powrotem. Żeby tak na mnie, tobym w te pędy posłał po Dudzinę.

— E... nie prosili jej na wesele, gdzieżby teraz przyszła? Gniewa się, ano co strach.

— To ją można przeprosić; ojoj, wielkie cuda... kiełbasy wianek posłać i kukiełkę[219], w dyrdki baba przyleci.

— Ale po co?

— Względem Kondusi.

— Cóż ci ta znowu o nią?

— Oj Nastka, Nastka, dwadzieścia roków[220] łazisz po świecie i co z ciebie? Kiej diabeł z panną młodą na weselu tańcuje, wiadomo, co to znaczy.

Zabobony, Diabeł, Wesele, Taniec

— Matko święta... — zawołała Magda ze złością — z malućkiego, ślicznego dziecka diabła robi!

— Już cię Kostek przekabacił na swoją wiarę? A samego proboszcza pytaj, niech ci powie, czy diabeł nie przybiera wszelakiej postaci? Abo mu to dziwne w dziecko się przerzucić? Wszyscyśmy widzieli, jak hulał z Kondusią, omal z duszą uciekła. A potem taki był rad ze siebie, aż se koziołki magał na oną uciechę.

— Powiedzże mi — szepnęła Nastka, młodsza druhna, trącając go w łokieć — co będzie z tego, że diabeł z Kondą tańczył?

---

[215] *coby* (gw.) — żeby.
[216] *przez* (gw.) — bez.
[217] *magać* (gw.) — fikać.
[218] *załgać się* — tu: zakraść się, wśliznąć się.
[219] *kukiełka* — bułka a. ciasto w kształcie laleczki.
[220] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.

— Ano źle będzie; pierwszego śniegu nie doczeka nieboga. Dlatego gadam, co Dudziny tu potrza[221]. Okadziłaby dziewuchę w porządku, pomruczała nad nią, jak się należy, i wszystko dobrze.

— A to ja biegnę po nią.

— Biegaj; ino z próżnymi rękoma daremna fatyga.

Wysunąwszy się po cichusieńku przez szczelinę w płocie, Wawrzuś przemykał bokiem drogi, bojąc się odetchnąć głośniej, żeby go kto przechodzący nie posłyszał. Pewny był, że go chcą zatrzymać gwałtem i Grzegorzowi odesłać.

Droga zniżała się ku rzece, słychać było chlupotanie wody po kamieniach.

„Jakże to? Kładki by nie było? Dy gościniec dochodzi do samej rzeki... straszecna ciemnica, jesce gdzie wpadnę i utopie sie. Aha... — pomacał ręką wyżej i niżej, przekonał się, że jest poręcz i duże deski przybite do palików — to już wszystko w porządku, da się przejść na drugą stronę".

Idzie, idzie, znowu wieś. Psy ujadają.

„O Jezu... skocy który na mnie... zagryzie..."

Na chybi trafi rzucił się w bok na prawo, gdzie jakoś mniej ciemno było. Może tędy bliżej w pole? Biegł, potykając się, dwa razy upadł, kolana sobie do krwi porozbijał; wszystko głupstwo, byle jak najdalej od tych ludzi, co go chcą oddać Grzegorzowi.

„Po ciemku mnie chyba nie najdą; a ino sary świt, polecę dalej. Tu se tymcasem przenocuję".

Uskubnął siana z wysokiej sterty, zakopał się w nie z głową i zasnął smacznie.

O wschodzie słońca wędrował dalej. Co zobaczył jaką wieś z daleka, omijał ją i przechodził bokiem, polami; a nuż wiły dali znać wszędzie, że im Wawrzuś uciekł? Każdy przecie pozna, że to on Wawrzuś. Lepiej nikogo nie spotykać, lepiej mdleć z głodu, niż wracać do bata. Szczęściem droga prowadziła go sama, nie bał się zbłądzić. Z prawej strony gościńca lasy niezgłębione, gdzieniegdzie wyrąb, można poziomek uskubnąć, wody się napić ze źródełka.

„O rety, wieś! Tak ci ją las zasłonił..."

Naprzeciw idzie, podskakując, dziewczynka trochę większa od niego; prowadzi krowę na powrózku i wyśpiewuje cieniutkim głosikiem na całe gardło:

Nie ma wsi na świecie jak nase Balice,
Krowa posła w škode, wzieni mi spódnice;
Nie trzeba ci było chodzić na jagody,
Toby i krowisia nie lazła do skody.

„Widzicie, ludzie... przez pytaniam się dowiedział[222], jak się wieś nazywa! Ij... co bym ta uciekał... śmiało se przejdę, choćby kto pytał, nie przyznam się, zem Wawrzuś".

Sunie z zadartą głową, jakby święcie wiedział, dokąd idzie; a nie wie nic. Spojrzał na słońce.

„Musi juz być chwila z południa... gospodyni mówiła wcoraj, ze zajdę do Poręby przed wiecorem. Trzeba uwazować[223]..."

Idzie, wypoczywa, znowu idzie... Jakiś wędrowiec z tłumoczkiem na plecach wyminął go; pogwizduje wesoło.

„Młody, ładny, może mi nic nie zrobi... przycepię się do niego".

[221] *potrza* (gw.) — potrzeba.
[222] *przez pytaniam się dowiedział* (gw.) — dowiedziałem się bez pytania.
[223] *uwazować* (gw.) — uważać.

— Wielemozny panie! wielemo...

— Do mnie tak gadasz? — zaśmiał się wędrowiec — a czego chcesz, robaczku malućki?

— Ja by chciałem iść razem z wami, bo samemu straśnie markotno.

— Chodźże, chodź, i mnie będzie weselej. A którędy droga?

— Do matusi, do Poręby. A wy skąd? — ośmielił się spytać podróżnego.

— Ani wyrozumiesz, choćbym ci tłumaczył, z daleka, bardzo z daleka idę. Jakże ci na imię, parobeczku?

— Wawrzuś. A wam?

— Stanko.

Szli razem. Wędrowiec opowiadał bardzo zajmujące rzeczy, jak go ojciec w dziesięciu latach[224] oddał do złotnika; może ten majster miał jakie po ojcach przezwisko, ale nazywano go powszechnie tylko Wojtkiem. U niego to wyterminował sześć lat, nauczył się rzemiosła i zaraz po wyzwolinach[225] poszedł w świat z kilku innymi czeladnikami. Najdłużej był w Norymberdze, niemal cały rok.

— W cym, w cym?

— W Norymberdze. To jest miasto na cały świat sławne. Uczyłem się tam znowu u bardzo znacznego majstra, Lebrechta, świadectwa piękne do domu niosę. Z Norymbergi wyszedłem tamtego lata, zatrzymywałem się po drodze w inszych miastach; tu tydzień, tu miesiąc, tu dwa; dziś nareszcie wracam z utęsknieniem do ojców[226], jako i ty do swojej matusi. Teraz odpoczniemy, zjemy se co, a za godzinkę już koniec mojej drogi.

Usiedli pod drzewem, Stanko zdjął z pleców zawiniątko, rozwiązał, dobył czystą szmatkę, z niej chleb i mięso pieczone; u pasa na sznurku miał nóż składany, ukroił sobie i malcowi, jedli i gawędzili.

— No, śpieszmy się; tak mnie już coś gna, ino bym leciał jak na skrzydłach.

— A ta wieś jak się nazywa, nie wiecie?

— Jakżebym nie wiedział? Dy ja tutejszy: to Łobzów[227]; najjaśniejsi królowie mają tu zameczek dla wypoczynku w lecie albo gdy na łowy jadą. Ojciec mówili, że to wielki król Kazimierz[228] zbudował.

Szli dalej; pola okryte zbożem nie zasłaniały widoku.

— Jezus, Maryja... co to takiego! — krzyknął Wawrzuś i rozkrzyżował rączki. Miasto

— Gdzie? Co? Czego krzyczysz?

— Rety... a tam, tam, tyle tego... mury strasecne, więzów tyle... jedna wedle drugiej... strzelają aze do nieba! Moze to nie naprawdę? A wy nic nie widzicie?

— Aha, toś ty chyba pierwszy raz w tej stronie, kiedy Krakowa nie znasz?

— Jakiego Krakowa?

— Jakiego? Widzisz przecie miasto przed nami, to miasto nazywa się Kraków.

— O Jezu... a kaz[229] Poręba?

— Jakże to? Do Poręby idziesz i nie wiesz gdzie?

— Gadali ludzie, co pod Krakowem...

---

[224] *w dziesięciu latach* — w wieku dziewięciu lat.

[225] *wyzwoliny* — zakończenie służby u majstra, moment, od którego młody rzemieślnik może już pracować sam i decydować o sobie.

[226] *ojcowie* (gw.) — rodzice.

[227] *Łobzów* — dziś dzielnica Krakowa.

[228] *Kazimierz III Wielki* (1310–1370) — król Polski, ostatni władca z dynastii Piastów. Za jego czasów nastąpił znaczny rozwój gospodarczy kraju, dlatego mówi się, że „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną".

[229] *kaz* — własc. każ, gdzież.

— Ij... kto by się ta z tobą dogadał. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do naszego domu, przenocujesz, a jutro będziesz tej swojej Poręby szukał.

Co krok to nowe zdumienie. Wawrzuś zarzucał swego towarzysza pytaniami, na które ten odpowiadał, jak umiał.

— Na co takie grube mury?

— A to, widzisz, dla obrony; całe miasto jest otoczone dookolusieńka murem, za czym jest rów głęboki i szeroki, pełen wody, i znowu grube mury z basztami. Gdyby tak na przykład napadli Polskę Tatarowie[230] i zapędzili się aż ku miastu, co już nieraz bywało, to na mury się nie wdrapią, bo tam łucznicy siedzą schowani i strzałami ich rażą. A choćby się jakim cudem przedostali przez pierwsze, wpadają do wody, a z baszt i wewnętrznych murów tysiące strzał jak deszcz na nich leci. Takie miasto murami i basztami obwarowane nazywa się twierdzą. Widzisz tę ogromną, okrągłą basztę, co tak jako hetman stoi na czele? Tamtędy wejdziemy do miasta.

— Puscą nas to?

— A jakże, każdego puszczają przez cały dzień. Dopiero na noc most podnoszą, a insze bramy na kraty i łańcuchy zamykają. Daj rękę, pójdziemy przez most. Nie bójże się, my nie Tatarzy, nie zabiją nas.

Weszli na podwórze Rondla, połączonego długim wąskim korytarzem z Bramą Floriańską; Wawrzuś trzymał się ręki i poły Stanka, bał się, że skądciś żołnierze wyskoczą i porwą ich do więzienia. Ciężkie drzwi Bramy Floriańskiej stały otworem, weszli w ulicę.

— A to ci wysocyzny dopiero! — dziwił się malec, patrząc na wąskie, o dwóch lub trzech oknach domy, spiczastymi dachami kryte, jeden podobny do drugiego; trójkątne szczyty kamienic, ujęte w ramy czerwonej dachówki, rysowały się na tle pogodnego nieba jak zęby olbrzymiej piły.

— Raju... a toto co? To ogromne...

— Kościół największy w Krakowie; kościół Panny Maryi.

— A na co taka cizba? Rety... boję się!

— Czekaj no... co by to być mogło? Nie rozumiem... chorągwie, krzyże, ach, prawda! Na obczyźnie człek rachubę traci; zapomniałem, że to dziś oktawa[231] Bożego Ciała. Tak, tak, procesja u Panny Maryi. Widzisz, jaki plac niezmierny? To rynek krakowski. Ciżby się nie bój, ino mnie się trzymaj. Jak widzę, już się nabożeństwo kończy, procesja do kościoła wchodzi, a bractwa[232] niektóre z obrazami wracają do swoich parafii.

— Jakie te chorągwie okropnie ładne! Ta żółta mi się najbardziej podoba.

— Dlaczego?

— A bo żółta farba to juz najpiękniejsza.

— Ale, ale, Wawrzuś, wielką uciechę ci sprawię. Do domu nie mam po co iść teraz; ojcowie[233] ani wątpienia w kościele; zresztą, i sam rad konika zobaczę, dwa lata go nie widziałem.

— Jakiego konika?

— Poczekajże, zaraz ci opowiem. Ino sobie stańmy pod Sukiennicami, naprzeciw Brackiej ulicy, to się napatrzymy do woli.

— Gadajciez!

— Więc słuchaj uważnie. Będzie temu ze dwasta[234] lat abo i więcej, szli Tatarzy

Pamięć, Obyczaje, Historia

[230] *Tatarowie* — dziś popr. forma M. lm: Tatarzy.

[231] *oktawa* — w liturgii okres obejmujący jakieś święto i siedem następnych dni.

[232] *bractwo* — stowarzyszenie rzemieślników, cech.

[233] *ojcowie* (daw.) — rodzice.

do Polski, bardzo dziki a okrutny naród. Palili wsie i miasta po drodze, wpierw zrabowawszy wszystko, co się dało. Starych a niemowlęta zabijali, zdrowych i młodych w jasyr, czyli w niewolę brali i do swego kraju, niczym bydło robocze pędząc, katowali srodze. Ludziska mdleli na samo wspomnienie Tatarów. I zdarzyło się jednego razu, że w oktawę Bożego Ciała, tak właśnie jako i dziś widziałeś, odbywała się procesja po krakowskim rynku. Aliści nagle od strony Zwierzyńca wpada na koniu człek jakiś, ledwie żyw ze strachu, i nie bacząc na święte wizerunki ani na duchowne osoby, wrzeszczy na całe gardło: „Bramy zamykać! Na mury, ludzie! Bronić miasta i życia... Tatarzy!" — „Tatarzy!" — zakrzyczeli wszyscy strasznym głosem: kto ino miał zdrowie i siły jakie takie, leciał na mury jak szalony. Niewiasty pokryły się z dziećmi po domach... Zaryglowano bramy, podniesiono mosty, a gdy nadbiegła ćma[235] tatarska, przyjęto ją tak godnie, że na drugi dzień już gdzieś dalej pognała, miasto zostawiając w spokoju. Na pamiątkę tego wydarzenia burmistrz i sławetna rada zezwolili, aby syn, wnuk, prawnuk i najdalszy potomek onego, co miasto tym rychłym zawiadomieniem uratował od zagłady, corocznie po procesji wyjeżdżał na rynek w tatarskim przebraniu i przeróżne krotochwile[236] wyprawiał. Ino musi na drewnianym, nie na żywym koniu harcować, coby przypadkiem w ścisku nie zrobił komu krzywdy.

— E... na drewnianym? Jakże to?

— Ano, wdziewa na siebie strój tatarski, turban na głowę, przyprowadzają mu pięknie wyrobionego konia, ino bez nóg i z dziurą w grzbiecie. Tedy włazi do niego, pętlice z rzemienia, mocno przybite z przodu i z tyłu onej drewnianej kukły, zarzuca sobie przez głowę na ramiona, coby się koń z jeźdźcem kupy trzymali, potem kapa suta aż do ziemi, uzda do lewej ręki, szmaciana maczuga do prawej i wio na rynek. Kompanię ma poczesną[237], równie za Tatarzynów przebraną, i muzykantów z piszczałkami, co przed nim idą a przeraźliwie przygrywają.

— Nie bać się? — spytał Wawrzuś, spoglądając z niepokojem na ruch coraz większy od strony ulicy Brackiej.

Tłum płynął w rynek, jakby pędzony czy popychany przez kogoś; ludzie się tłoczyli, choć jeszcze nic nie było do widzenia. Wyruszyli bowiem zawczasu ku Zwierzyńcowi, aby mieć największą uciechę i powitać *konika* u wejścia do miasta. Ale go jakoś długo nie było widać i jaki taki rozważył, że mniej zobaczy w ciasnych uliczkach, a w tłoku łatwo i żebra połamie; więc zaczęto się cofać ku rynkowi. Tymczasem zastępy czeladników, terminatorów[238], żaków, czyli uczniów szkół krakowskich, które dotarły aż do mieszkania *konika*, sunęły teraz przyśpieszonym krokiem, wyprzedzając bandę Tatarów i kapelę. Ci właśnie pędzili przed sobą tłum gawiedzi w rynek. Pomieściliby się wszyscy swobodnie, jeszcze by dużo wolnego miejsca zostało, gdyby nie to, że każdy chciał być jak najbliżej, a także, ponieważ przywilej nadany owej zabawie przeznaczał jej miejsce w rynku, między ulicami Bracką a Szewską, nie dalej. W tym kącie więc skupiły się tysiące ciekawych. Krzyki, śmiechy starszych, wrzask i płacz dzieci, gniecionych w tłumie, brzmiały w powietrzu jak szum wichru przed burzą.

Nowa powódź lunęła z Brackiej w rynek; jakiś dziki okrzyk olbrzymiego chóru... fałszywe, skrzypiące dźwięki piszczałek... Tatar na drewnianym koniu galopował ku ratuszowi.

— A co, widzisz choć krzynę? — pytał Stanko Wawrzusia.

---

[234] *dwasta* (gw.) — dwieście.

[235] *ćma* (daw.) — tłum.

[236] *krotochwila* (daw.) — żart, zabawa.

[237] *poczesny* — poważny, odpowiedni.

[238] *terminator* — uczeń a. pomocnik w warsztacie rzemieślnika.

— Nie... nic a nic nie widzę; ludzie mi zasłaniają. Ino kajniekaj[239] jakiesi chorągiewki migają.

— A to są rotmistrze onego, rum[240] czynią przed nim, coby miał gdzie skakać i dokazować. Przybliżmy się; wielkie rzeczy, że dostaniemy po łbie, pała z kłaków, strachu więcej niż czego. Kto ino postąpi k'niemu[241], zaraz wali, nie pyta. Ale to ino dla śmiechu, nie ma się czego bać.

Wsuwali się powolutku, a coraz bliżej, nareszcie Stanko wziął Wawrzusia na ręce, bo już byli blisko.

— Ojoj... teraz widzę... a to ci cudak ślucny! Ale koń ma głowę haniebną... do nicego niepodobna taka głowa.

Tatar usłyszał krytykę swego wierzchowca, zwrócił się nagle, łypiąc strasznymi oczyma spod wyczernionych brwi, i wrzasnął:

— Haniebna? Masz, coby twoja była piękniejsza!

I rznął[242] chłopca miękką maczugą po czuprynie.

Hucznym śmiechem przyjęto oną srogą karę, muzyka zarzępoliła jakiś wiwat, Tatar poskoczył dalej, a tłum zbitą kupą za nim. W tej samej chwili Stańko spuszczał Wawrzusia na ziemię, ale nim go zdołał wziąć na powrót za rączkę, fala biegnących potrąciła dziecko, kilkanaścioro ludzi przedzieliło towarzyszy murem, a mur stawał się coraz grubszy.

Gdyby Wawrzuś był upadł, zatratowano by go na śmierć; szczęściem nie stracił przytomności, czepił się jedną ręką fałdów jakiejś spódnicy, drugą chwycił za połę czyjejś kapoty, i tak sobie płynął z prądem, nie tykając nogami ziemi.

Spódnica i kapota miały widocznie dosyć tej zabawy, bo się zaczęły wycofywać ku środkowi rynku, gdzie z rzadka już tylko stały gromadki ludzi. Wawrzuś poczuł bruk pod nogami, otrząsnął się i przetarł oczy.

„A to ciżba dopiero! Będzie tego chyba ze sto... okrutecnie gęsto! Dzięka Bogu, com się na wolniejsy plac wydostał. Ale co teraz? Poćciwy Stach byłby mnie przenocował; kaz go najdę[243]..."

Mignął mu się szary kubraczek i jasne włosy spadające spod czapki... skoczył w tę stronę...

„Moze to Stanko?... oho... juz go nie ma!"

Nagle chwycił się za głowę i przypadł, kurcząc się, do ziemi. Dech mu kołem stanął w piersiach... serce lodem ścierpło... Dwa kroki od niego, oparty o drewnianą kratę zamykającą Sukiennice, stał niemłody jakiś człowiek. Wysoki był, szczupły, odziany po mieszczańsku, ale strojnie. Włosy miał czarne, twarz śniadą, gładko wygoloną, oczy ponure, uśmiech niemiły. Rozmawiał po cichu z jakimś chłopakiem o kędzierzawej rudej czuprynie. Coś mu tłumaczył, a tamten głową przytakiwał. Garstka starszych mieszczan stała tam także z żonami i dziećmi; Wawrzuś schowany za nimi nie śmiał się ruszyć.

„O Jezu... stoi se wolno i nikogo się nie boi! A moze to nie ten? Moze jego brat, ze taki podobny? Cegoz się trzęsę... dy mnie nie widział; przybliżę się po cichuśku i dobrze go obeźrę[244]".

Wstał z ziemi, postąpił krok, zajęci rozmową ani patrzeli w tę stronę; podsunął się bliżej.

---

[239] *kajniekaj* (gw.) — gdzieniegdzie, w niektórych miejscach.
[240] *rum* (gw.) — miejsce.
[241] *k'niemu* (daw.) — do niego, w jego kierunku.
[242] *rznąć* (gw.) — uderzyć, rąbnąć.
[243] *najść* (gw.) — znaleźć.
[244] *obeźreć* (gw.) — obejrzeć.

„Brody nie ma ani wąsów, cale[245] insy[246]... moze mi się zdawało... ale te ocy, te ocy srogie! Cyby mógł być na świecie drugi człek z takimi nożami w ocach... Żebym dopatrzył, zali[247] ma lewe ucho, tobym juz wiedział, jaka prawda". Wzrok, Oko

Tak się rozzuchwalił, że stanął tuż za domniemanym świętokradcą. Pochylił się i głowę tylko zwróciwszy ku górze, starał się dotrzeć wzrokiem pod opadające na ramiona czarne włosy nieznajomego.

— No, czego chcesz, mały? Co się kręcisz pod nogami? — złajał go któryś z mieszczan i szturchnął w kark pięścią. Wawrzuś zatoczył się prosto na czarnego człowieka.

Spojrzeli na siebie. Oczy dziecka wołały: „Poznaję cię!" Tamte drugie zmrużyły się nagle, jak oczy kota, gdy ma skoczyć na ptaszka. Rzucił przez zęby jakieś parę słów swemu towarzyszowi, ten znowu kiwnął głową potakująco i odwrócił się, jakby odchodził — właśnie w stronę Wawrzusia. Wtedy starszy szepnął coś po raz drugi... Zdawało się chłopcu, że teraz już obaj patrzą na niego... Strach

„Zmówili się... pilnują mnie... zobacą, kaj idę, złapią, zabiją gdzie w kącie... stary się boi, cobym go nie wydał...

Co robić? Gdzie się schować? Uciekać? Ale gdzie?" Ucieczka

Pchnięty przedziwnym instynktem malec dał susa, jakiego by się ani Froncek nie powstydził... prosto w najgęstszy tłum otaczający konika zwierzynieckiego.

„Zadepcą, to zadepcą — myślał z rozpaczą — ale ty mnie palcem nie tknies, zbóju przejęty!"

Czepiając się żupanów, spódnic, kubraków, jak to już pierwej czynił z powodzeniem, znalazł się ni stąd, ni zowąd, ku swemu i tatarskich chorążych zdumieniu, na środku wolnej przestrzeni, gdzie właśnie zmęczony tańcem *konik* popijał z dzbanka piwo na pokrzepienie.

Wawrzuś zakołysał się dla rozpędu, odbił się lewą nóżką od ziemi, chwycił za łeb drewnianego konia, tak jak to robił z Beksą u Grzegorza, magnął koziołka przez głowę Tatarowi i spadł w tłum po przeciwnej strome. Szczęście sprzyjało biednemu dziecku: nie tylko że nikogo nie uderzył sobą, ale i sam się nie potłukł. Wybuchy śmiechu, klaskanie w ręce i tysiączne okrzyki powitały ten skok śmiertelny małego akrobaty... Widzowie byli pewni, że to koncept umówiony między nim a Tatarem, i gdy chłopiec roztrącał pierwsze szeregi i pchał się w tłok głową naprzód, myślano, że śpieszy przygotować jakąś nową niespodziankę; wszyscy tedy ustępowali mu z największą skwapliwością, dopomagając bezwiednie do ucieczki. A on się przeciskał, prześlizgiwał, byle jak najprędzej, byle jak najdalej.

Wydobył się z tłumu i nie oglądając się poza siebie, pobiegł w pierwszą lepszą uliczkę.

Zmrok zapadał.

„Ach, zeby juz nocy docekać jak najrychlej! Toby ja onemu[248] gdzie bądź umknął; miasto wielkie, moze by mnie przecie jutro nie znalazł. Jezu... ktoś idzie!"

Wskoczył do jakiejś sieni i przytulił się do ściany za drzwiami. Ludzie przeszli, rozmawiając głośno i śmiejąc się. Zanim się odważył ruszyć z bezpiecznego kącika, znowu rozległy się kroki. Przeczekał i tych. Tymczasem ściemniło się zupełnie. Wyjrzał ostrożnie.

„Kaz ja się teraz podzieję, nieboracek?"

---

[245] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

[246] *insy* (gw.) — własc. inszy, tj. inny.

[247] *zali* (daw.) — czy, czyż.

[248] *on, onego* (daw.) — on, ten; tu C. lp *onemu*: jemu.

Uszedł ze sto kroków, zawrócił bezmyślnie w jakiś zaułek, znowu głosy ludzkie... A tu w pobliżu nigdzie domu nie ma, tylko mury jakichś ogrodów po jednej i po drugiej stronie drogi...

„Aha!"

W zagłębieniu muru, na kamiennej podstawie drewniana figura św. Wojciecha. Jednym skokiem stanął na postumencie i wsunął się poza świętego; nikt nie zgadnie, że za martwym, nieudolnie wyrzeźbionym posągiem bije żywe, biedne, struchlałe serduszko.

Kroki zbliżają się coraz bardziej; dwaj ludzie rozmawiają żywo; co ujdą parę kroków, to przystają. Znowu idą... zatrzymali się tuż przy figurze.

— Mądrzyście, ani gadania — ze złością się ktoś odzywa — ciekawość, co miałem robić?

— Złapać, gębę ręką zatkać, cwałem do Rudawy i amen — odpowiada ktoś drugi.

— Juści[249]; a rynek aż się roi od ceklarzy[250]! Ino by szczeniak zaskowyczał, już po mnie. Czemużeście go sami nie chytali[251], kiedy to tak łatwo?

— Głupiś... biegać nie umiem. A choćbym nawet zdolił, nie przystoi poważnemu człowiekowi. Ot, stało się... próżno żałować przeszłorocznego śniegu! Gdyby nie to, że dziś jeszcze musimy wyjechać, jutro do południa odnalazłbym trutnia i zrobił mu wieczne odpoczywanie. No chodź. Toboły trza zapakować. A kiesek[252] ile?

— Szesnaście.

— Co? W takim ścisku ino szesnaście? Ja ich mam dwadzieścia siedem za pazuchą. I same ważne, pełne złota, do chudopachołków anim się zbliżał. Co mi po skojcach[253] i denarach[254]!

Odeszli. Cisza zaległa pustą ulicę, tylko na drzewach za murami listki o czymś gwarzą między sobą.

— To nie do uwierzenia — szemrze grusza do jabłoni — zawsze był taki spokojny, trzydzieści lat patrzę na niego.

— I ja go znam jak siebie samą — odpowiada jabłoń — przysięgłabym, że do dnia dzisiejszego miał tylko jedną głowę.

— I trzymał ją przechyloną na prawe ramię — dodaje czereśnia.

— Czubek infuły[255] ukruszył się odrobinę i ręka z pastorałem sczerniała od deszczów, ale to drobnostka — mruczy stary orzech — najważniejsze, że całe lat trzydzieści zachowywał się przystojnie, jak należy, a dziś... — orzech potrząsł gałęźmi wzgardliwie.

— No, patrzcie... bo mógłby kto powiedzieć, że stara jabłoń bajkami się trudni, patrzcie, z lewego ramienia wyrasta druga głowa!

— Malutka, złotowłosa główka!

— Nie... tego już za wiele! Widzicie? — z oburzeniem szumi śliwa.

— Jakoś nie dojrzę, co takiego? — pyta grusza.

— Dwie bose nóżki wyłażą spod białej komży!

— Dwie nóżki... czy podobna! Wiatr cichnie... drzewa śpią...

Wawrzuś biegnie z płaczem prosto przed siebie. Ach, tak się strasznie boi! Którędy iść, żeby nie spotkać okrutnego zbója?

„O Matko Boska z matusinego obrazka, prowadź mnie!"

---

[249] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.
[250] *ceklarz* — strażnik.
[251] *chytać* (gw.) — chwytać.
[252] *kieska* — kiesa, sakiewka, woreczek z pieniędzmi.
[253] *skojec* — drobna moneta, warta 2 grosze.
[254] *denar* — najdrobniejsza moneta w czasach Jagiellonów.
[255] *infuła* — wysoka czapka biskupa.

Biegnie dalej. Wielki ciemny budynek zastępuje mu drogę. Czy kościół? Noc ciemna, nic nie można rozróżnić. Jakieś schodki, jakieś drzwi...

Ojciec Szymon[256], bernardyn, powracał w nocy od chorego; brat Elfegus z latarnią szedł przodem. Dochodząc już do furty, spostrzegł coś ciemnego na schodach... przyświecił, popatrzył się.

— Ojcze wielebny, dziecko śpi na naszym progu.

Ojciec Szymon pochylił się i nic nie odpowiadając, wziął dziecko na ręce.

Brat Elfegus zadzwonił. Weszli do klasztoru.

U JANA DŁUGOSZA[257]

Wawrzuś w nogawicach. — „Na co taka góra?" — O czym Szymon z Lipnicy[258] mówił z Janem Długoszem. — Niepoprawny snycerz. — U króla jegomości. — Wawrzuś rozmawia z królewną. — Na gorącym uczynku.

Nazajutrz rano dawno już wszyscy mieszkańcy klasztoru byli na nogach, ojcowie msze święte poodprawiali, ksiądz definitor[259] wysłał dwóch starszych roztropnych braci z wozami do okolicznych wsi po kweście[260], a Wawrzuś spał jeszcze jak kamień w celi brata Melchiora.

Furtian[261] poszedł na górę i zapukał do drzwi ojca Szymona.

— Proszę waszej wielebności — rzekł, wchodząc — nie wiem, co robić z malcem, któregoście wczoraj przywiedli. Trzęsę nim, na nogi stawiam, dobudzić się nie mogę.

— Strudzone srodze niebożątko — odparł ojciec Szymon — dlatego ciężko śpi. Poczekajcie, bracie, jeszcze z godzinę; widzi mi się, że niebawem się ocknie; głód go zbudzi.

— Sprawiedliwe słowa ojca wielebnego; takie toto było wczoraj osowiałe; wieczerzę mu sam z kuchni przyniosłem, ino kubek mleka duszkiem wypił, oczy mu się skleiły i byłby spadł z zydla, gdybym nie przyłapał. Położyłem go w kącie niczym kawał drewna i do tej pory leży jak nieżywy.

— Nic to; im lepiej wypocznie, tym ci raźniejszy będzie, jak wstanie. Chleba mu ino dajcie ze szperką i mleka, niech poje do sytości, a potem go przyprowadźcie do mnie.

Jak przewidywał ojciec Szymon, tak się też stało. Wawrzuś, pokrzepiony dwunastogodzinnym snem i sowitym śniadaniem, zupełnie inną miał minę niż wczoraj. Sprytne oczy wesoło się rozglądały po ubogiej celi furtiana, która się chłopcu wydała wcale piękną komnatą. Stanąwszy przed ojcem Szymonem, pocałował zakonnika w rękę, patrzył nań z ufnością i śmiało odpowiadał na pytania.

Tatuś nazywa się Wojciech, matusia Baśka, a wieś Poręba.

Niestety... wsi o takiej nazwie było w Polsce na dziesiątki a przynajmniej kilka tysięcy ludzi miało za patronów świętego Wojciecha i świętą Barbarę. Tedy na razie nie było możliwości oddać dziecka rodzicom. Zajęcia ojca Szymona w konfesjonale, na kazalnicy i przy chorych wypełniały czas od wschodu słońca do późnego wieczora; ani mowy być nie mogło o stałym zaopiekowaniu się chłopcem. Narzucać go innym księżom nie chciał, a tym mniej zostawić małego przybłędę jako popychadło u służby klasztornej.

---

[256] *Szymon z Lipnicy* (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

[257] *Jan Długosz herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

[258] *Szymon z Lipnicy* (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

[259] *definitor* — doradca przełożonego zakonu.

[260] *kwesta* (z łac.) — zbiórka pieniędzy na rzecz klasztoru lub dla ubogich.

[261] *furtian* — odźwierny, zakonnik pilnujący bramy klasztornej.

„Coś trzeba wynaleźć, jakoś zaradzić…" — przemyśliwał ojciec Szymon, ale się nic nie kłopotał, bo znał niezawodne lekarstwo na wszelakie troski. Kazał chłopcu zaczekać w korytarzu, a zamknąwszy się w swej celi, stanął przed obrazem Bożej Rodzicielki, utkwił wzrok w Jej najświętszym obliczu i złożył ręce jak do modlitwy. Nie poruszały się usta, oczy tylko pytały i prosiły.

Po krótkiej chwili przeżegnał się, zdjął z gwoździa okrągłą sukienną czapkę i wyszedł z celi.

Strój

— Pójdziemy, synku — rzekł do Wawrzusia — ino cię muszę przyodziać ochędożnie[262], bo w samej koszulinie, a do tego brudnej, nie przystoi chodzić po mieście.

Miłosierdzie

Wziął dziecko za rękę i zeszli znowu na dół, potem długim krużgankiem niemal na drugi koniec klasztoru, gdzie w dużej sklepionej izbie znajdowały się poskładane na półkach skarby ojca Szymona: stare ubrania, wyżebrane po domach dla ubogich. W porządku utrzymywał swoją szatnię; dziecinna odzież, powiązana osobno, zajmowała całą jedną półkę. Większe kapoty, kożuszki, kubraki leżały na innych, a pod oknem skrzynia z wypraną bielizną.

Raz w tydzień, w piątek, obchodził świątobliwy zakonnik zaułki i przedmiejskie chałupy, gdzie najuboższa ludność głodem przymierała; tam roznosił wyżebrany chleb, krupy i odzienie.

Do tego składu wprowadził tedy Wawrzusia i jął przerzucać rozmaite szatki dziecinne, aż dobrał stosowny strój dla malca.

— O raju… to dla mnie? Naprawdę? Taka biała kosulka[263]?

— Podarujesz mi za to swoją brudną — z uśmiechem odpowiedział ojciec Szymon.

— Juści[264], ze podaruję. Słysycie, ludzie… i w nogawicach[265] chodził będę? Kiej nie zdolę[266]… upadnę.

— Ale, zdaje ci się, wdziej tylko; zobaczysz, jak to ładnie wygląda.

— A prawda. Wójta syn w Porębie to na niedzielę w nogawicach do kościoła paraduje, a jakże. Ten kabat[267] tez dla mnie?

— I kabat, i czerwona czapka.

— Matko Święta… a cóżeście wy za człowiek taki miłosierny!

— To nie ja, dziecko, nie ja, ino Opatrzność Boska i litość ludzka. To wszystko wyżebrane. Ubrałeś się? Dobrze, teraz pójdziemy w świat.

— Ojoj… moze znowu do puscy?

— Ale gdzież tam, daleko bliżej[268], paręset kroków.

— Ano, kiedy tak, to idę z wami.

— Weź jeszcze ten węzełek, będziesz miał trzy koszulki do zmiany.

Na powrót krużgankiem ku furcie, brat Melchior otworzył, wyszli.

Góra

— Na co taka góra? — były pierwsze słowa dziecka, ledwie stanęło we drzwiach i spojrzało przed siebie.

— Górę Pan Bóg stworzył — odpowiedział ksiądz.

— A na co stworzył?

— Przydała się bardzo; widzisz, jaki wspaniały gród na niej zbudowany?

— Na co gród?

---

[262] *ochędożnie* (daw.) — porządnie.

[263] *Taka biała kosulka* — płótno bielone było droższe i przyjemniejsze w dotyku od zwykłego, szarego.

[264] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[265] *nogawice* — daw. spodnie, dwie oddzielne nogawki, które przywiązywało się do paska.

[266] *zdolić* — zdołać, dać radę.

[267] *kabat* (daw.) — kurtka, kaftan.

[268] *daleko bliżej* — dużo bliżej.

— Tu jest mieszkanie miłościwego pana, króla polskiego Kazimierza[269].

— Rety... króla? Król tam mieszka? z królową?

— A jakże, z królową, z królewiczami i z królewnami.

— Gadajcież, gadajcież, moiściewy[270]! Król ino we złotej sukmanie chodzi, prawda?

— Ale gdzie! Tak się ubiera, jako insi panowie szlachta.

— Ćmicie[271] cy co! — żachnął się chłopak, ale w tejże chwili zawstydził się swego zuchwalstwa i pocałował ojca Szymona w rękę. — Pewnikiem sad ma prześlicny i jabłek pełne kumory[272] i chodzi se po ogrodzie; a może ino cięgiem w izbie siedzi, zasunięty za skubel[273], coby go nikt nie widział?

— Owszem; i na miasto wychodzi, czasem konno na łowy wyjeżdża.

— Widzieliście go aby raz?

— Więcej niż sto razy. W naszym kościele czasem mszy świętej słucha. Ty go także niebawem zobaczysz.

— Oj, co to, to nie; jakżebym ja śmiał? Ale ze wysoka góra, to wysoka!

— Nazywa się Wawel.

Szli dalej.

— A to co? Kościół dla samego króla pewnikiem, dlatego nieduzy, prawda?

— Nie; na wawelskiej górze jest kościół ogromny; zaprowadzę cię tam kiedy. To zasię jest kościółek świętego Idziego; fundował go król Władysław Herman[274] przed czterystu laty na podziękowanie Bogu za syna.

Pamięć, Książka, Historia

— Ojoj... tak dawno? A może to nieprawda? Skądże wiecie?

— Z ksiąg; tam wszystkie dzieje naszego królestwa są wypisane. Właśnie cię wiodę do wielkiej mądrości męża, który takowe księgi pisze.

— Na co pise? — swoim zwyczajem pytał Wawrzuś.

— Na to, aby gdy ojcowie pomrą, nie poszło wszystko w zapomnienie, ino dla wnuków i prawnuków ku pamiątce zostało.

— Aha, tak jak nasa chałupa.

— O jakiej chałupie prawisz? — spytał ksiądz.

Ale myśli Wawrzka już poleciały gdzie indziej.

— Jakie tez to domy wąziuśkie, a wysokie! Prawiuteńko jak wieże. Dachy śpicaste, na co takie?

I tak zarzucał swego opiekuna pytaniami, aż doszli do ulicy Kanoniczej. Stanęli przed narożnym domem, bernardyn zastukał w bramę kołatką, stróż otworzył.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a gdzież to Jędrzej się podział?

— Na wieki wieków. Do chorej córki na tydzień pojechał; ja go ino zastępuję. A do kogo wasza wielebność?

— Jak to, do kogo? Do pana tego domu, do przewielebnego kanonika Długosza. A prawda... próżno się dziwuję, cale[275] mnie nie znacie. Idźcie tedy na górę

[269] *Kazimierz IV Jagiellończyk* (1427–1492) — młodszy syn Władysława Jagiełły, król Polski i wielki książę litewski. W walkach z krzyżakami odzyskał Pomorze i Gdańsk, wzmocnił dynastię Jagiellonów.

[270] *moiściewy* (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

[271] *ćmić* — tu: oszukiwać, żartować.

[272] *kumora* (gw.) — komora.

[273] *skubel* (gw.) — skobel.

[274] *Władysław I Herman* (ok. 1043–1102) — książę, rządzący Polską w latach 1079–1102, ojciec Bolesława III Krzywoustego, o którym legenda mówi, że urodził się dzięki łasce, wymodlonej przez rodziców u św. Idziego.

[275] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

i oznajmijcie, jako bernardyn Szymon z Lipnicy przyszedł i rad by się widzieć z jego przewielebnością, a w sprawie nie cierpiącej zwłoki pogadać.

Odźwierny poszedł, a Wawrzuś, jako nie przestawał od rana, znowu zapytał:

— Na co taka sień syroka[276]?

— Ksiądz kanonik proszą na górę, są we wielkiej sali! — biegnąc ku gościowi, wołał stróż.

Poszli po kamiennych, mocno wychodzonych schodach na pierwsze piętro. Minęli dwoje czy troje drzwi; czwarte, jakby na powitanie, same się przed nimi otwarły, a na progu stał stary człowiek w czarnej sutannie lamowanej fioletem i obie ręce ku ojcu Szymonowi wyciągnął.

— Co za dzień błogosławiony, że wielebnego brata witam pod moim dachem! Wejdźcie, proszę, może raczycie pojrzeć na prace ich miłościów skryptorów[277]? Ja co dzień tu zaglądam, ku pilności a uwadze młodzieniaszków naganiam, bo to... hm, hm, hm... — odchrząknął mrukliwie i machnął ręką.

A Wawrzuś, uczepiony habitu ojca Szymona, przypatrywał się ukradkiem staremu księdzu.

„Białe, ale gęste; nie tak, jak nas[278] pleban, co ino dziesięć włosików mają na głowie. A brwi tez to nastrosył... o, nicym krzacyska zwisają mu nad ocyma... Abo[279] nos! tez długocki; inse dwa by zrobił z tego jednego. A cegóz tak przerabia gębą, jakby se co smakował? Dy[280] nic nie je?"

Sala była szeroka, a płytka, jakby stworzona na cel, do którego ją użyto. Trzy okna wychodziły na ulicę, z nich był widok wprost ku królewskim komnatom; tylko że dom Długosza stał u stóp, a zamczysko na szczycie Wawelu. Strop z ozdobnie rzezanych belek modrzewiowych poczerniały już był od starości. Wzdłuż trzech okien ustawiono olbrzymi stół, ciemnym suknem zasłany. Przy nim siedziało z jednej i z drugiej strony po sześciu młodych kleryków. Każdy miał przed sobą wielki arkusz grubego żółtawego papieru złożony we czworo, parę gęsich piór zatemperowanych i szklane naczyńko z inkaustem (jak wówczas nazywano atrament). Najwprawniejszy z pisarczyków nie na papierze pisał, lecz na pergaminie[281], egzemplarz przeznaczony przez autora dla miłościwego króla.

Książka

U górnej wąskiej strony, z łokciami na stole a głową na rękach opartą, siedział starszy jakiś mężczyzna i głośno, wyraźnie a powoli, słowo po słowie z rozłożonego rękopisu czytał. Tamci zaś pisali starannie dyktowane wyrazy. Każdą literę poczynającą nowy ustęp ledwie tylko zaznaczano cieniuchnymi kreskami, bowiem po zapisaniu całego arkusza oddawano go uczonym w zdobnictwie pisarzom, a ci wielkie litery, czyli inicjały, malowali kunsztownie jaskrawymi barwami i złotem.

— Jakąż to księgę daliście, wasza przewielebność, przepisywać, że tak pilno baczycie na staranność wykonania? — spytał ojciec Szymon.

— Jako wiadomo wam z częstych rozmów naszych — rzekł Długosz — a również z odczytywanych wyjątków, dwudziesty piąty rok dobiega, jak Bogu wszechmogącemu w Trójcy jedynemu na chwałę, królom i bohaterom na cześć, a potomnym na pożytek rozpocząłem dziejów umiłowanej ojczyzny naszej, Polski, opisanie. Wysłuchał Pan Bóg moich gorących modłów i dał mi, jakom Go prosił, dzieło rozpoczęte

[276] *syroka* (gw.) — szeroka.
[277] *skryptor* — człowiek przepisujący książki i dokumenty w czasach przed wynalezieniem druku.
[278] *nas* (gw.) — nasz.
[279] *abo* (daw.) — albo.
[280] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[281] *pergamin* — cienka, odpowiednio wyprawiona skóra zwierzęca, na której pisano ważne dokumenty.

doprowadzić do końca. Dwunastą księgę wczoraj właśnie modlitwą zamknąłem[282], a w przepisywaniu jest dopiero ósma. Przejdźmy, jeśli wola, do drugiej komnatki, pogawędzimy swobodniej.

Usiedli na ławie, grubym kobiercem we dwoje złożonym dla wygody przykrytej.

— A co to za pacholika wodzicie ze sobą, ojcze Szymonie? — spytał Długosz, teraz dopiero zwracając uwagę na Wawrzusia, który wsunąwszy się niemal cały między fałdy habitu, owinął się nim dostatnio jak płaszczem.

— Zaraz opowiem — odparł zakonnik — ino nie skończyliście jeszcze mówić, przewielebny księże.

— Bez mała, bez mała[283] — rzekł Długosz — ano tyle chyba dodam, że zdrowie szwankujące i lata sędziwe ku wieczności się kłonią. Pora spocząć, i rad spocznę.

— Nie przewidujcież, księże kanoniku, kresu, gdy go nic nie zapowiada; wszakże nie tak wiekowym jesteście?

— Sześćdziesiąt i pięć skończyłem w tym miesiącu.

— Jeszcze pożyjecie z ćwierć wieka[284] — z uśmiechem mówił bernardyn.

— Wolne żarty waszej wielebności. Drugiego lata nie doczekam; tak przeczuwam.

— Ha, gdy wam tak pilno nadmiernie, tedy wyświadczcie mi wielką przysługę, pokornie was proszę.

— Chętnym sercem. A jaką?

— Gdy się już znajdziecie w przybytku szczęśliwości, uproście Najświętszej Matki Bożej i Matki grzeszników, cobym ja, lichy i marny Jej sługa, krócej, nie dłużej czyśćcowe upały cierpiał i przez Jej zmiłowanie oswobodzon światłość wiekuistą oglądał.

— A na kiedyż mam waszej miłości przybycie oznajmić? — biorąc tę mowę za żart, spytał Długosz.

— Na drugi rok po was — poważnie odparł Szymon z Lipnicy.

Umilkł, spuścił oczy, długą chwilę trwała cisza, której Długosz wzruszony proroczymi słowy[285] zakonnika nie śmiał przerywać.

— Pytaliście, co za pacholę przywiodłem — rzekł ojciec Szymon, budząc się z zamyślenia. — Przybłąkało się maluczkie do Krakowa, dopytać go niesposób, ani wie, skąd rodem[286]. O jakichciś krowach w plebańskim życie prawi, po puszczy się błąkał, złodziej oknem uciekający z kościoła chciał go dusić; miód dzikim pszczołom wybierał, a na rękach go uczono chodzić i kozie na grzbiet wyskakować[287]. Słowem, gdyby nie drobne latka i szczere siwe oczy... chodź no, chodź, nie chowaj się. Przypatrzcie się, wasza przewielebność, jakoż się wam zda? Kłamcą to dziecko nie jest, jednakowoż rozpowiada dziwy, z których nic wyrozumieć nie można.

— A co z nim zamyślacie uczynić, ojcze Szymonie? Sługa

— U siebie go nie zatrzymam, bo czasu ani miejsca po temu nie mam. Przyszedłem do waszej przewielebności po radę.

Wstał z ławy, oparł się o okno i patrzył w niebo, modląc się duchem. A stary kanonik Długosz rozważał jego słowa i poruszał machinalnie bezzębnymi szczękami.

— Ojcze Szymonie...

— A co?

---

[282] *Dwunastą księgę wczoraj właśnie modlitwą zamknąłem* — Długosz prowadził dalej swą kroniką aż do wiosny 1480 r.; na kilkanaście dni przed śmiercią zaledwie przestał pisać.

[283] *bez mała* — prawie.

[284] *wieka* — dziś popr. forma D. lp: wieku.

[285] *słowy* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: słowami.

[286] *skąd rodem* — skąd pochodzi, gdzie się urodził.

[287] *wyskakować* (gw.) — wskakiwać.

— Niech malec zostanie u mnie. Stary Paweł głuchnie z każdym dniem bardziej, usługa cierpi na tym wielce, bo się go dowołać nie mogę. Już nawet kupiłem dzwonek w Sukiennicach i niczym na nabożeństwo sygnuję[288] co rano. Mało pożytku i z dzwonka. Zapomina się, rozkazy spełnia przeciwnie i do grzechu mnie ino pobudza, bo cierpliwość tracę i nieraz nad potrzebę surowo go strofuję. Ostawcie[289] mi chłopca, niech się zaprawia do posług; dawnom już zamyślał szukać pacholika, aby go mieć pod ręką w antykamerze[290]. Przyodziewać go będę stosownie do stanu, głodu nie zazna, a jego miłość pan Żegota...

— Zali[291] ów, co klerykom do pisania dyktuje?

— Właśnie. Tedy uproszę Żegotę, coby dzieciaka liter powoli uczył; okaże się pojętny, to z czytania zasię do pisma przejdzie. Ze względu na ono przeczucie, o którym tylko co wspomniałem, dołożę starania, by chłopiec miał i po mojej śmierci opiekę. Spokojnym sercem ostawić go możecie u mnie.

— Bóg zapłać stokrotnie waszej przewielebności; pociechę mi sprawiliście niemałą, bo szkoda mi było dziecka. Pójdę już. Łasce się waszej polecam, niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Wawrzuś... pocałuj w rękę księdza kanonika; ostaniesz tu, będziesz się uczył i posługował jego przewielebności.

— O rety... nie... nie! Weźcie mnie ze sobą! Wam będę posługować! O moiściewy[292]... nie zostawiajcie mnie tu samego!

— Cicho, cicho, nie masz czego płakać, będzie ci tu dobrze.

— Nie chcę nijakich dobrości! Weźcie mnie do swojego domu! O Matko... boję się starego księdza!

Szymon z Lipnicy położył rękę na głowie chłopczyny i palcem zrobił krzyżyk na jego czole.

— Ja tu przyjdę nieraz do ciebie... i ksiądz kanonik posyłać cię będzie do klasztoru. A żebyś ty wiedział, jaki tu jest ładny ogród!

— Jabłka są? — szepnęło, chlipiąc, dziecko.

— A jakże, jabłka, wiśnie, śliwy... — pochylił się nad uchem Wawrzusia: — Chodź, zaprowadzę cię do Pawła, pójdziecie razem do ogrodu.

*

Od tego dnia upłynęło trzy miesiące. Wrzesień dobiegał połowy. Kto by nie widział przedtem Wawrzusia, nigdy by się nie domyślił, że ten złotowłosy chłopczyna, zgrabny niczym pazik z senatorskiego domu, o twarzyczce roztropnej i bystrych oczach, był niedawno jeszcze brudnym rozczochranym dzieciakiem, którego rodzony ojciec nazywał niezdarą.

Szymon z Lipnicy miał widocznie szczęśliwą rękę; czego się tknął, to mu się udawało. W pomyślnej godzinie przyprowadził malca księdzu Długoszowi, bo trafił właśnie na chwilę pociechy i zadowolenia po skończonej ćwierćwiekowej pracy. Znakomity pisarz w tak pogodnym był humorze, jak dawno go nie widziano. Chłopak podobał mu się z wejrzenia od razu, przy tym i opieszała usługa Pawła dała mu się już porządnie we znaki, wszystko więc składało się jak najlepiej dla nowoprzybyłego. Pan Żegota również chętnie zajął się chłopcem i nie wiadomo, czy sposób nauczania miał

[288] *sygnować* (z łac.) — dawać znać; tu: dzwonić.

[289] *ostawić* (daw.) — zostawić.

[290] *antykamera* (daw., z wł.) — przedpokój.

[291] *zali* (daw.) — czy, czyż.

[292] *moiściewy* (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

wyborny, czy Wawrzuś tak łatwo rozumiał, co mu tłumaczono, dość że po upływie tych krótkich tygodni nauczył się mówić poprawniej, sylabizował zupełnie gładko i każdą literę umiał napisać, krzywo wprawdzie i nieforemnie, ale wcale wyraźnie. Ksiądz kanonik pochwalił go parę razy za pilność i tymi kilku życzliwymi słowami zjednał sobie serce dziecka. Wawrzuś w oczy jego przewielebności ino patrzał, myśli zgadywał, tak zręcznie umiał służyć, jakby niejeden starszy nie potrafił. Co mu raz nakazano, wypełniał święcie; czego zabroniono, nie czynił nigdy. Pawła wyręczał i zastępował niemal we wszystkiej lżejszej robocie, a tak mu się umiał przymilić, że stetryczały[293] sługus nie obrażał się jakoś za to odsunięcie go od pańskiej osoby, owszem, zażywał wczasu[294] i próżniaczył się, rad, że mu z góry na dół drepcić[295] nie każą.

Jedyną pracą, od której się Paweł nie wykręcał, było pielęgnowanie ogrodu przytykającego do domu księdza kanonika. Posiał tam o wiośnie mnóstwo pachnących kwiatów, plewił je, podlewał, okrzesywał[296] krzaki z wybujałych pędów, obierał gąsienice; tutaj czuł się swobodnym panem, bo Długosz nieczęsto zaglądał do sadu, a choć i przeszedł się czasem po czysto wygracowanych ścieżkach, nie zwracał uwagi na kwiaty ani na owoce, zawsze w myślach pogrążony.

Czerwieniejące od słońca sztetyny[297], żółte bursztówki i buraczkowe cygany przepełniały serce Wawrzusia błogim niepokojem oczekiwania. Zaglądał na nie po kilka razy dziennie, zbierał skrzętnie przedwcześnie opadłe jabłka i chował pod tapczan w izdebce na poddaszu, gdzie sypiał razem z Pawłem. Z tej spiżarni czerpał obficie na własne potrzeby i co piątek rano odnosił ojcu Szymonowi kilkanaście jabłuszek dla ubogich dzieci. Długosz posyłał go niekiedy z listami do klasztoru, a nie było tygodnia, żeby który z ojców nie zajrzał na Kanoniczą ulicę do jego przewielebności.

— Pawle, wyście to ścięli tę wiśnię, co tam leży pod samym parkanem? — spytał Wawrzuś pewnego dnia, oglądając uważnie spory pniak, ociosany z gałęzi, rzucony w kąt ogrodu między pokrzywy.

— Hę? — mruknął stary nie słysząc.

Chłopiec powtórzył pytanie.

— A ja; stara już była, inszym drzewom ino cień rzucała, a pożytku ani na jeden ząb. Wziąłem siekierę i zrobiłem jej koniec. A dlaczego się pytasz?

— E... nic, tak sobie. Można by ją porąbać, toby się zdała na komin; a tak ino spróchnieje i szkoda.

— A to se zrąb, kiedy chcesz; schowaj do komórki, uschnie do zimy i będzie jak znalazł na podpałkę.

— Ee... ona i teraz już sucha.

Wawrzusiowi chodziło tylko o to, żeby się Paweł nie dziwił i nie bronił mu koło drzewka majstrować; a wcale się nie troskał, czy będą suche trzaski na zimę albo nie. Poszukał piłki ogrodniczej, poprzecinał suchy pień na zgrabne klocki i z większą jeszcze radością niż jabłka schował je pod swój tapczan, głęboko do ściany zasuwając.

Mimo łaskawości księdza kanonika i pana Żegoty, mimo zupełnie dobrych stosunków z Pawłem, nawet mimo niewyczerpanego zapasu jabłek, chłopiec miewał chwile strasznej tęsknoty za ukochanym kozikiem i wyrzynaniem zwierzątek z drzewa. Pamiętna jaszczureczka dawno się gdzieś zgubiła, prawdopodobnie podczas przy-

[293] *stetryczały* — gderliwy, zgorzkniały.
[294] *zażywał wczasu* (daw.) — odpoczywać.
[295] *drepcić* (gw.) — dreptać, chodzić.
[296] *okrzesywać* — przycinać gałązki, żeby lepiej rosły.
[297] *sztetyna, bursztówka, cygan* — odmiany jabłoni.

musowych przechadzek na rękach u linoskoczków. A kozik... szkaradny Froncek złamał mu go na złość — umyślnie.

— Poproszę ojca Szymona, to mi z pewnością jaki koziczek podaruje; on taki dobry.

Za pierwszym widzeniem poprosił i naturalnie dostał spory, mocny nożyk o dwóch ostrzach. Równie wspaniałego narzędzia nie tylko chłopiec nie miał w ręku, ale nawet z bliska nie widział; a dziś nożyk taki przewyborny był jego własnością. Pilno też było Wawrzusiowi doczekać się wieczora, a raczej nocy, by choć raz drewienka tym nowym nożykiem popróbować. Drżał ze strachu, by go ktokolwiek nie złapał przy tej karygodnej pracy; mało się to nabrał bicia od tatusia?... Obliczył więc sobie, że najlepszą porą na zadowolenie grzesznej namiętności będzie chwila, gdy Paweł zaśnie mocno. Wtedy i kaganek będzie można zaświecić, i dłubać w twardym wiśniowym klocku, ba, nawet śpiewanie starego nie przebudzi... już robił próby.

Ledwie zjedli wieczerzę, przebiegły złoczyńca zaczął się uskarżać na głowę, udawał nawet, że go zimno trzęsie, byle tylko iść na górkę do łóżka. Nie mając komu rozpowiadać przeróżnych wydarzeń ze swego długiego żywota, czym zazwyczaj zabawiał wieczorami Wawrzusia, Paweł uznał, że i jemu samemu nie zawadzi wcześniejszy spoczynek. Poszli tedy na poddasze, zmówili razem pacierz, Paweł zgasił olejny kaganek i nakrył się po uszy grubą samodziałową derką. Wawrzek zaś, by senność odpędzić, sięgnął do swej spiżarni i pogryzał cierpliwie jabłka, nasłuchując z utęsknieniem, rychło się rozlegnie dźwięczne, groźne, świstające chrapanie starego.

„Aha, jużeś? Chwała Bogu!"

Skrzesał ognia, zaświecił kaganek i wyciągnął spod tapczanu pierwszy lepszy klocek.

„O, ten mi się tak czubato ułamał, jak raz[298] można by domek ze spiczastym daszkiem wyrzezać, na podobieństwo tej kamieniczki wpodle świętego Andrzeja. Albo nie... już wiem... kościółek świętego Idziego wyrobię! Ten król, co to ojciec Szymon kiedyś opowiadał, ten Władysław Herman ofiarował go Panu Bogu za syna. Jego miłość pan Żegota dopiero wczoraj prawił, jaki to waleczny wojownik był z Bolesława Krzywoustego. Ach cudnie było żyć w owych dawnych czasach... Ale com to chciał rzec? Aha!... Tedy i ja wyrzezam kościółek bodaj z drewienka, na podziękowanie Panu Jezusowi, żem wtedy w puszczy z głodu nie zginął ani mnie zbój nie udusił, ani one wiły[299] przemierzłe kości mi nie połamały; a już najbardziej za opiekę ojca Szymona i księdza kanonika. Rety, rety... gdyby nie oni!"

Skrobie, przycina, wygładza; tu mureczek, tu okienko, tu szkarpa, a tu znowu występek na zakrystię; a tu większe okno, drzwi kościelne, daszek poniżej nad kruchtą, dach główny, a przed kościołem schodki.

Włosy mu opadły na czoło, odgarnął je ręką i dalej przycina drzewo. Małe paluszki drążą wgłębienia pod dachem, wycinają okna i drzwi, miniatura kościoła świętego Idziego wyłania się z wiśniowego klocka. Nie brakuje mu nic, nawet żebraczka, mała jak pestka ze śliwki, siedzi zgarbiona pod bramą.

„O, Jezu... kaganek gaśnie... a pełny był. Biedny ja, biedny, będzie też to Paweł kręcił za one uszyska! Gdyby tak mieć pilniczek, przydałoby się jeszcze schodki wygładzić, bo chropate. Ano darmo, szary dzień w okna zagląda, powiem, że całą noc świeciłem, bom strasznie chorował. Grzech... kłamstwo... Trzeba się będzie przyznać ojcu Szymonowi. A teraz przylepię się krzynę do poduszki, zdrzemnę się choć godzinkę; lada chwila ksiądz kanonik zadzwonią o wodę do mycia.

[298] *jak raz* (gw.) — akurat, dokładnie.
[299] *wiła* — błazen, komik cyrkowy, klown, akrobata.

Mijały dni i tygodnie. Wawrzuś przymizerniał, pobladł, aż Paweł to zauważył i trapił się wielce, bo chłopca strasznie lubił. Chciał go nawet zaprowadzić na Pędzichów i oddać na własny koszt w leczenie znanej na cały Kraków znachorce, Błażejowej. Ledwie się Wawrzek wyprosił. Ku wielkiemu swemu umartwieniu musiał zaprzestać nocnej pracy, bo Paweł ciągle groził Błażejową, a nawet chciał prosić jego przewielebność o jakie leki dla malca. Calutki tydzień wysypiał się więc porządnie i znowu zdrowo wyglądał. Odtąd rzadziej i na krócej brał się do swoich drewienek, a tak go coś do nich strasznie ciągnęło! W dzień zaś wymknąć się nie było sposobu, ksiądz kanonik lubił mieć chłopca pod ręką. Sprzątanie sypialni do niego wyłącznie należało; gdy tylko ksiądz Długosz przeszedł do pracowni, zaraz Wawrzuś otwierał okno, kobierczyki spod łóżka i z ław na podwórze znosił, gdzie je Paweł ze stróżem co dzień z kurzu wytrzepywali. Sam zaś brał po drodze z komórki miotłę i dzbanek z wodą, skrapiał nieco podłogę i porządnie zamiatał. Słomę w sienniku poruszał i gładził, aby jego przewielebności nie ugniatała w leżeniu. Na siennik kładł szarą derkę, zaścielał zgrzebnym prześcieradłem, na to kołdra, z cieńszej wełny utkana niż derka, i poduszka niewielka, w poszwie pasiatej, białej z czerwonym. W głowach łóżka wisiał na ścianie duży hebanowy[300] krzyż z pięknie wyrzeźbionym Chrystusem z kości słoniowej. Obok zaś znajdował się stół, na nim świecznik dwuramienny z woskowymi świecami i parę książek do czytania w razie bezsenności. Naprzeciw łóżka zagłębienie w murze, w nim na kamiennej półce miska miedziana i mydło; u góry mocny hak, na nim zawieszony miedziany kociołek, zawsze pełny, z kurkiem do puszczania wody. Na drewnianym wieszadle, wkręconym do śruby w ścianie, ręcznik. Tuż obok małe zwierciadełko z polerowanej srebrnej blachy. Pod oknem skrzynia dębowa z szufladami, w nich suknie[301] i bielizna księdza kanonika. Ponad skrzynią krokształyn, czyli półeczka drewniana, a na półeczce posążek Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku, snycerską robotą misternie wykończony, żywymi farbami pomalowany, w złocistym płaszczu i koronie.

Artysta

Przed tym posążkiem stawał co dzień Wawrzuś, zadzierał głowę i patrzył. Podobała mu się jaskrawość barw, podobała mu się twarz Najświętszej Panienki i Dzieciątko z rączką podniesioną jak do błogosławieństwa. Ale poza tym naturalnym zachwytem tkwiła inna myśl... zawsze, uparcie ta sama: jak też to cudnie wyrobione! Co za nożyki czy pilniki, czy dłutka trzeba mieć, żeby tak zdolić[302]... Ach, gdybym ja onego[303] spotkał, co to robił, dopiero bym się wypytał o wszystko! Czy jego kto starszy uczył, czy ino tak ze swojej głowy umiał!

Figurka Matki Boskiej nie dawała chłopcu spokoju; postanowił spróbować, czy choć troszkę podobnej, choć mniejszej, wyrzeźbić nie potrafi. Dopisało mu szczęście, bo ksiądz Długosz wyjechał na odpust do Tyńca i miał tam dwa dni zabawić. Na wielkie prośby Pawła wziął go ze sobą, a odźwiernemu Andrzejowi pieczę nad domem i małym pokojowcem[304] powierzył. Andrzej, jak w ogóle cała służba jego przewielebności, człowiek leciwy, mało sobie zadawał trudu z wykonaniem tego rozkazu: bramę zasunął na skobel i nikomu nie otwierając, zawiadamiał tylko spoza drzwi, że księdza kanonika nie ma w domu. Z Wawrzkiem jeszcze łatwiej sobie poradził; kazał mu się bawić w ogrodzie, a na noc przychodzić do swojej izby, z obawy, że malec, pozostawiony bez dozoru, gotów zapuścić ogień. Ale ani razu nie sprawdził, co chło-

[300] *hebanowy* — z czarnego drewna egzotycznego.
[301] *suknie* — tu: ubrania, sutanny.
[302] *zdolić* — zdołać, dać radę.
[303] *on, onego* (daw.) — ten, tego; on, jego.
[304] *pokojowiec* — służący, pilnujący porządku w pokoju pana.

pak robi, zadowalając się tym, że wielce[305] akuratnie[306] stawiał się na śniadanie i na obiad.

Wawrzuś tymczasem od rana aż do zmroku przesiedział w izbie sypialnej księdza kanonika, kopiując figurkę Matki Boskiej. Strasznie mu nie szło, aż płakał. Ale nie dawał za wygraną, jeszcze miał cały dzień jutrzejszy. I rzeczywiście, nazajutrz pod wieczór drewniana osóbka w płaszczu i koronie, podrobiona z grubsza, przypominała nieco pierwowzór. Schował to arcydzieło do swego skarbca i poszedł na dół spać u Andrzeja.

Jego przewielebność zjechał wieczorem, a na drugi dzień usługa i wszelkie sprawy domowe wróciły do dawnego porządku.

Ksiądz kanonik siedział w swej pracowni i pisał; ale że chłód październikowy trochę mu już dokuczał, kazał zapalić na kominie. Paweł uznał Wawrzusia godnym zaszczytu przestąpienia progu tajemniczej komnaty, w której dotąd noga jego nie postała. Chłopiec wszedł na paluszkach, dźwigając przed sobą duckę z krótko porąbanymi drewkami, i rozejrzał się zdumiony po wszystkich kątach.

„Tyle księgów[307], tyle papierów... trzy stoły zawalone, na zydlach, na podłodze uśtyrmane, a na półkach dookolusieńka aże się cisną. Ciekawość, czy to wszystko ksiądz kanonik sami napisali! Pewno... ojciec Szymon powiada..." Książka

Zagapiony na stosy foliałów, nie patrzał pod nogi potknął się na jakimś mędrcu greckim czy łacińskim i gruchnął razem z drewkami na ziemię. Łoskot sypiących się z kosza polan wyrwał z zamyślenia jego przewielebność. Długosz drgnął, obejrzał się poza siebie.

— A, to ty. Czego się tłuczesz?

— Upadłem niechcący... już nigdy nie będę — wyjąkał malec, pewny, że za naruszenie spokoju księdza kanonika czekają go straszne cięgi. Lecz ten już ani myślał o tak błahym zajściu i pisał dalej, marszcząc brwi i poruszając szczękami.

— Patrzcie, ludzie... nie łaje ani na Pawła nie dzwoni, żeby mnie obił. Strasznie dobry; trza mu napalić godnie, coby miał ciepło jak w uchu.

Przykląkł, napakował polan, co się wlazło, zaświecił szczypkę, podłożył, strzeliły płomyczki na wszystkie strony, drewka zaczęły trzaskać, paliło się godnie.

Jan Długosz odłożył na bok pióro.

— Wawrzuś!...

„Matko święta... przypomniał se o mnie..."

— Słucham waszej przewielebności — rzekł głośno, wstając od komina.

— Odziej się przystojnie, kubrak i nogawice odświętne, włosy niech ci Paweł przygładzi; ręce czyste?

— Brudne... od popiołu.

— Więc się umyj, żebyś mi wyglądał uczciwie i ochędożnie. Potem wróć się tu; idę do króla, zaniesiesz za mną księgę na gród.

Przed kilku miesiącami byłoby krzyku, strachu, płaczu co niemiara; dziś zachowanie się Wawrzusia tak dalece się poprawiło, że tylko w niemej rozpaczy zasłonił twarz rękoma i wybiegł z komnaty.

— Oj, Pawle, Pawle! — krzyknął, wpadając na poddasze — rozsypałem drwa na podłodze, zgniewał się ksiądz kanonik i każe mi za karę iść do króla.

— Baj baju... zwariowałeś czy co?

[305] *wielce* — bardzo.

[306] *akuratnie* — punktualnie, dokładnie.

[307] *księgów* (gw.) — dziś popr. forma D. lm: ksiąg.

— Jakże zwariowałem? Dy[308] się mam ubrać w co najlepsze, umyć, uczesać i dymać na gród za księdzem kanonikiem.

— Taj o co płaczesz? Jakie toto głupie, aż strach! Napatrzysz się cudności, króla uwidzisz[309], inszy by pół życia za to szczęście oddał, a ten się krzywi.

Król, Pozycja społeczna, Kondycja ludzka

— Okrutnie się króla boję...

— Durnyś... cóż ci król zrobi? A po drugie, nie przybieraj se do głowy, jakoby pan miłościwy miał zwracać oko na taką prószynę. Czy ciebie mucha co obchodzi? Ano, tyś jeszcze mniej niż mucha przeciw królewskiej osoby. Stój se cicho w kąciku, ani wiedział będzie, czy żyjesz na świecie.

Poszli tedy na Wawel. Jego przewielebność w nowej z cienkiego sukna sutannie z fioletowymi wypustkami na szwach, w rokiecie[310] popielicowej[311] z ogonkami dokoła poobszywanymi dla ozdoby i w dużym birecie z klapami na uszach. Wawrzuś tuptał za nim z wielką księgą in quarto[312] w objęciach. Paweł mu włoski wodą polał i grzebieniem gładziutko uczesał, wyglądały jak przyklejone. Koszulka czysta, granatowy kubraczek, jasnoorzechowe nogawice i ciżemki z jałowiczej skóry.

Im bliżej byli celu, tym ciężej się robiło obydwom; ksiądz stękał, bo góra stroma, Wawrzusiowi serce kołatało ze strachu. Aż stanęli u bramy dziedzińca. Długosz zatrzymał się i oddychał głośno.

— Wasza przewielebność raczy spocząć krzynę — prosił odźwierny, całując księdza w rękę — miłościwy pan nie darmo się troska o swych gości; wawelska góra bystra[313], młody wbiegnie śpiewający, a starszemu niezdrowo.

I wskazał kamienną ławę we framudze muru.

— Słusznie radzisz, posiedzę chwilę; jeszcze mnie siła[314] schodów czeka. Król jegomość w komnatach?

— Tylko co wrócił ze sadu[315]; ich miłoście królewicze Zygmunt[316] i Frydrusz[317] jabłka obierają, to się im przypatrował[318].

— No, już mi zelżyło; pójdźmy dalej — rzekł Długosz, wstając z ławy.

Wawrzek przypatrywał się ciekawie wszystkiemu, w ciągłym oczekiwaniu jakichś niebywałych przepychów, a znajdował stare kamienne schody, ciasne korytarze i ciemnawe izby, przez które ksiądz kanonik szedł, nie zatrzymując się.

W przedpokoju królewskim przywitał Długosza komornik niskim ukłonem i poszedł oznajmić go królowi.

— Najmiłościwszy pan prosi — rzekł, otwierając drzwi przed gościem.

Tu już spodziewał się Wawrzuś na pewno ujrzeć ściany ze szczerego złota, podłogę ze srebra, a królewską osobę w płaszczu wysadzanym drogimi kamieniami. Zobaczył wielką izbę sklepioną, z ławami rzeźbionymi dokoła ścian, kobierce na podłodze, a w głębokiej framudze wąskiego okna, na kamiennych siedzeniach dwie postacie, których nawet w pierwszej chwili nie mógł dojrzeć wyraźnie. Pod światło widział tylko, że to byli mężczyźni, stary i młody.

---

[308] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.

[309] *uwidzieć* (gw.) — zobaczyć.

[310] *rokieta* — komża, symbol godności kanonika.

[311] *popielicowy* — ozdobiony skórkami popielic, małych gryzoni podobnych do wiewiórki.

[312] *in quarto* (łac.: na cztery) — format książki, wielkości arkusza złożonego na cztery.

[313] *bystry* — szybki; tu: stromy.

[314] *siła* (daw.) — dużo, wiele.

[315] *ze sadu* (gw.) — z sadu.

[316] *Zygmunt I Stary* (1467–1548) — późniejszy król Polski (w latach 1506–1548). Za jego panowania odbył się hołd pruski i rozbudowano Wawel.

[317] *Frydrusz* — Fryderyk.

[318] *przypatrować* (gw.) — przypatrywać.

„Ot robota — pomyślał — bałem się i boję się wciąż, a nic nie wiem. Zali pójdziemy dalej? albo może jeden z tych w oknie to sam król? Ale który? Z gołymi głowami oba, to nie poznać... Czegóż się ksiądz kanonik tak bez pół zgina[319]?"

Starszy z siedzących u okna panów zwrócił się ku jego przewielebności. Szczupłą miał twarz, jakby schorowaną, kości policzkowe mocno wystające, lica[320] zapadłe. Przez całą szerokość czoła biegły zmarszczki głębokie, oczy zmęczone były i smutne jakieś. Skinął uprzejmie ręką.

— Witajcie, księże kanoniku! Serdecznie wam rad jestem. Graliśmy w szachy z Olbrachtem[321]; dostał dwa maty, a trzeci mu grozi lada chwila. Gra, Król, Ojciec, Syn

— Co nie, to nie, miłościwy ojcze! — zawołał młody. — Właśnie wam wziąłem rocha[322], a szach królowi i królowej nabawił was kłopotu nie lada; musicie przegrać tę partię.

— Miejże uciechę, żeś wygrał raz na sto, zgadzam się.

Królewicz, młodzieniec o pięknych rysach i wspaniałej postaci, pocałował, śmiejąc się, ojca w rękę, zamknął szachownicę i skłoniwszy się uprzejmie Długoszowi, wyszedł z komnaty.

— Usiądźcie, wielebny kanoniku. Mówił mi ksiądz jałmużnik[323], że w Tyńcu z wami się zjechał[324]; długoście tam byli?

— Dwa dni, miłościwy panie, a i to za wiele. Na starość ino doma[325] najlepiej.

— Słyszałem także od owego[326], że znamienite dzieło wasze ukończyliście już z pomocą Bożą.

— Tak jest i mocno się tym raduję, bom się lękał, że nie dopełnię zamierzonej całości. Teraz się ino troskam, by insi po mnie, z uczciwością prawdzie służąc, dalej dzieje ojczyzny i panowanie królów spisywali.

— Pomnicie też, księże kanoniku, obietnicę?

— O tej li mówicie, miłościwy panie, którą wam dałem przed rokiem?

— Tak jest, przyrzekliście, gdy ostatnią kartę napiszecie, dać mi to dzieło do czytania. Niecierpliwie oczekuję.

— Nie wszystkie jeszcze księgi przepisane, ale dziś mam tu ze sobą jedną, właśnie tę, o którąście mnie kilkakroć pytali, panowanie i zgon nieśmiertelnej pamięci brata waszego Władysława.

— Wdzięczen wam jestem szczerze i zaraz jutro czytanie rozpocznę. Mówiliście, że ksiąg ma być dwanaście?

— Tak jest; a ta, jedenasta z porządku.

— Dwunasta zasię traktuje o mnie. Zali[327] mógłbym ją wziąć do ręki bez szkody na zdrowiu? — żartobliwie uśmiechając się, pytał król.

A Długosz odpowiedział z powagą:

— O dawnych wiekach i panowaniach pisząc, szukałem autorów godnych wiary; a i tych kroniki porównywałem jeszcze z innymi współczesnymi, by prawdy lub kłamstwa dociec, a o ile stać słabe siły człowieka, wiernie wypadki dziejowe spi- Książka, Historia

[319] *bez pół się zginać* (gw.) — kłaniać się nisko; *bez* (gw.) — przez.

[320] *lica* (daw.) — policzki.

[321] *Olbracht* — Jan I Olbracht (1459–1501), syn Kazimierza II, późniejszy król Polski (w latach 1492–1501).

[322] *roch* (daw.) — wieża (jedna z figur szachowych); słowo to pochodzi od perskiej nazwy słonia bojowego z wieżą strzelniczą na grzbiecie.

[323] *jałmużnik* — duchowny a. urzędnik, rozdzielający w imieniu króla jałmużnę ubogim.

[324] *zjechać się z kimś* — spotkać się z kimś, przyjechać w tym samym czasie.

[325] *doma* (gw.) — w domu.

[326] *ów, owego* — ten, tego.

[327] *zali* (daw.) — czy, czyż.

sywać. To ano, co się za mego żywota przygodziło lub na co patrzałem własnymi oczyma, starałem się wyrozumieć sprawiedliwie, strzec się prywaty i bezstronnie do wiadomości potomnych przekazać. Czy nieudolność duszna albo słabość ludzka nie podyktowały mi sądów zbyt surowych o tym lub owym zajściu, nie mam prawa stanowczo zaprzeczać. Dlatego też ostatni rozdział mej kroniki zamknąłem prośbą do Boga wszechmogącego o przebaczenie, jeżelim aby jednym słowem przeciw prawdzie zgrzeszył, a do czytelników, by one mimowolne błędy i omyłki wedle najlepszego rozumienia poprawiali. Tedy ufam, najmiłościwszy panie, że śmiele i dwunastą księgę czytać możecie. O sobie tam cale[328] nie rozpisuję się, a krzywdę doznaną od braci Kurozwęckich, którzy, korzystając z niełaski waszej na mnie, złupili mój dom doszczętnie, wspominam ino kilkoma słowy[329].

— Wierzajcie mi, księże kanoniku, że prawdziwie bolałem nad tymi nadużyciami — rzekł król serdecznie — dziś jeszcze, po latach dwudziestu, żal mi, że tego, co się stało, nie mogę wymazać z waszej ni swojej pamięci.

— Stało się, minęło, i co się mnie tyczy, to zapewniam was, miłościwy panie, że minęło bez śladu. Wynagrodzon jestem nad zasługę, że mi danym było synaczków królewskiej waszej miłości preceptorem[330] być i wychowawcą. Obdarowaliście mnie, panie, łaską i zaufaniem, nic mi więcej nie potrza[331].

— Ale mnie pilno sprawić waszej przewielebności zadośćuczynienie, na świadectwo mych dla was najlepszych chęci. Gdybyście mię[332] byli dziś nie nawiedzili, jutro bym po was posyłał. Po śmierci Grzegorza z Sanoka archidiecezja lwowska przeszło od dwóch lat bez pasterza; wiadome wam rozterki w kapitule i kto je wznieca. Pokonałem wreszcie te trudności, nominacja waszej przewielebności na tę stolicę już podpisana, ksiądz podkanclerzy jutro ją wam doręczy.

— Nie zaszczyt wielki uciechą mi jest, miłościwy panie — odpowiedział Długosz — starym już, śmierci bliski, o światłości wiekuistej mi rozważać, a nie doczesnych blasków łaknąć. Ino mię to raduje, że w onym czynie waszej królewskiej miłości pełnię łaski i życzliwości dostrzegam. Przyjmuję i korne dzięki składam.

— Zechciejcie pokazać mi ową jedenastą księgę, jeżeli jest pod ręką.

— A jakże, pacholik mój przyniósł ją za mną. Wawrzuś!...

Z najciemniejszego kąta komnaty wysunął się struchlały malec i gruby tom, w wyborową skórę oprawny, podał swemu panu; Długosz zaś z pokłonem wręczył królowi.

— Jakom rzekł, od jutra czytanie rozpocznę; dziś tylko obejrzę karty. Aaa... pismo piękne, równe, inicjały bogate, biegłych macie pisarzów, księże kanoniku... Jak to? Już dzwonią?

Król Kazimierz zatrzymał księgę na kolanach, przeżegnał się i spuściwszy oczy, odmawiał Anioł Pański[333] półgłosem. Długosz uczynił to samo. W komnacie robiło się szaro, wczesny jesienny zmrok zapadał.

Wszedł paź z dwoma zapalonymi świecznikami w ręku i postawił je na podłużnym stole przy drugim oknie, gdzie widocznie król zwykł był pisywać, bowiem ława z oparciem piękniej była rzeźbiona od innych i poduszka na siedzeniu miała aksamitną poszwę, nie sukienną. Na stole leżały papiery i kilka ksiąg.

---

[328] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

[329] *słowy* (daw.) — dziś popr. forma N. lm: słowami.

[330] *preceptor* (z łac.) — nauczyciel.

[331] *potrza* (gw.) — potrzeba.

[332] *mię* — dziś popr.: mnie.

[333] *Anioł Pański* — modlitwa maryjna, odmawiana rano, w południe i o 18:00, o której dawniej przypominano wiernym, bijąc w dzwony kościelne.

Przez drzwi, pozostawione otworem, można było widzieć następną izbę i trzecią, z której biło światło kilkunastu świec ustawionych na dużym stole, nakrytym białym obrusem i srebrnymi talerzami. Paź pokłonił się nisko, wyprostował sztywnie i przytłumionym głosem, by nie razić uszu królewskich, oznajmił:

— Wieczerza na stole, miłościwy panie!

Długosz powstał i chciał żegnać króla, ten jednak nie dał mu odejść mówiąc:

— Zostańcie, zostańcie, księże kanoniku; nie tak dawne czasy jeszcze, gdyście mi domownikiem byli. Spożyjmy razem, co Bóg dał, a miłościwa pani nasza, Elżbieta, przyprawić zaleciła. Woda do mycia jest? — spytał krótko czekającego u drzwi pazia.

— Tylko co przyniosłem — odpowiedział.

— Pójdźcie, wielebny księże; w drugiej komnatce opłuczmy ręce i do stołu.

Król dźwignął się z ławy powoli, wspierając się rękoma o poręcze. Król

„O... jaki też to wysoki! — pomyślał Wawrzuś, wyruszając ze swego kąta na skinienie jego wielebności. — Choć o pół głowy większy od księdza kanonika. Jakżeż... tak się godzi, zwyczajnie król. A jeszcze gdyby się nie przygarbiał... tak one plecy pochyla, jakby co ciężkiego dźwigał".

W komnacie jadalnej, u stołu zastawionego misami gorących potraw czekała królowa z synami: Olbrachtem, Aleksandrem[334], Zygmuntem i Fryderykiem[335], i córeczką ośmioletnią, Elżbietą[336], która po wyjściu za mąż królewien Jadwigi[337] i Zofii[338] od roku już jako najstarsza córka zasiadała z rodzicami do stołu.

— Przyprowadzam waszej miłości gościa rzadkiego a wielce miłego — rzekł król Kazimierz, całując żonę w czoło — jego przewielebność... — przerwał umyślnie i kończył głosem uroczystym: — arcybiskup nominat lwowski.

Długosz pochylił się w niskim ukłonie, królowa zaś podeszła parę kroków i podając staruszkowi rękę, pocałowała go w ramię.

— A tu macie, przewielebny panie, domową czeladkę — dodał król, wskazując na dzieci. Zbliżyli się wszyscy z wyjątkiem Olbrachta, bo ten już się był witał poprzednio, i nie wyłączając małej Elżbietki, pocałowali księdza w rękę.

— Waszą miłość — rzekł Długosz do królewicza Aleksandra — mogę jeszcze od biedy zaliczyć do moich wychowanków; jeden rok wprawdzie, aleś był moim uczniem. Władysław[339] już króluje, Kazimierz[340] więcej w Wilnie niż w Krakowie przebywa, królewicz Olbracht ino upatruje, kędyby[341] wyfrunąć z gniazda i miecza spróbować... a jakże idzie nauka młodszych, miłościwy panie?

— To już signor Buonaccorsi-Kallimach[342] najprawdziwiej waszej przewielebności odpowie. — Król rzucił okiem po komnacie i zwrócił się do żony: — A gdzież jego miłość pan preceptor?

---

[334] *Aleksander Jagiellończyk* (1461–1506) — późniejszy król polski (w latach 1501–1506).

[335] *Fryderyk* (1468–1503) — najmłodszy syn Kazimierza II, późniejszy biskup krakowski i prymas Polski.

[336] *Elżbieta Jagiellonka* (1472– ok. 1481) — czwarta z kolei córka Kazimierza II, zmarła w dzieciństwie. To samo imię otrzymała następna córka (ok. 1482–1517), która została żoną księcia legnickiego.

[337] *Jadwiga Jagiellonka* (1457–1502) — drugie dziecko Kazimierza IV, żona księcia bawarskiego.

[338] *Zofia Jagiellonka* (1464–1512) — druga córka Kazimierza IV, żona margrabiego brandenburskiego, matka Albrechta Hohenzollerna (1490–1568), ostatniego wielkiego mistrza krzyżaków, który przeszedł na protestantyzm i przekształcił Prusy zakonne w Prusy Książęce.

[339] *Władysław II Jagiellończyk* (1456–1516) — najstarszy syn Kazimierza II, król czeski i węgierski.

[340] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

[341] *kędy* (daw.) — dokąd, gdzie.

[342] *Buonaccorsi-Kallimach* — Filip Buonaccorsi (1437–1496), przybrał przydomek Kallimach na cześć gr. poety z III w. p.n.e. Włoch, poeta i kronikarz, piszący po łacinie. Nauczyciel synów króla Kazimierza II Jagiellończyka.

— Był tu przed chwilą — odpowiedziała królowa — przychodził usprawiedliwić się, jako bliski krewny z Florencji w odwiedziny doń przyjechał; prosił o uwolnienie od obowiązków na dwa lub trzy dni. Ponieważ zajęci byliście rozmową z gościem, miłościwy mężu i panie, przeto rozumiałam, że godzi mi się zezwolić w waszym imieniu.

— Słusznie wasza miłość uczyniłaś; zapewne ów gość włoski dłużej tu zabawi, zawiadomię tedy Kallimacha, by nie krępując się, jak najwięcej z krewnym przebywał.

Królewicz Fryderyk skubnął w ramię Zygmunta i szepnął mu coś do ucha, śmiejąc się cicho.

— O sprawowanie młodych pytaliście, przewielebny panie — wrócił król do przerwanej rozmowy. — Zygmunt spokojny, rozważny, może kiedy po najdłuższym życiu waszej przewielebności infułę po was odziedziczy.

— Tak sądzicie, miłościwy królu?

— Piąty z braci... do tronu się chyba nie dociśnie; a z przyrodzenia sensat, niech się ima nauki i ołtarza. Bo co się Frydrusza tyczy, to...

— Nie lubi ksiąg i pióra? — spytał Długosz.

— Owszem, jego miłość signor Kallimach cale zadowolony z pilności, chwalił go dziś jeszcze za extemporalia[343] łacińskie; powiada, że pojęcie ma łatwe i elokwencję nad wiek, ino...

— Zuchwalec może? — spytał ksiądz. — Miałem ja na to lekarstwo niezawodne swojego czasu; ano ręka ojcowska skuteczniej pohamuje krnąbrność.

— Zuchwały nie jest, ino pstro w głowie; krotofile[344] a psikusy na każdy dzień nowe.

Długosz nachmurzył się srodze i odchrząknął groźnie, ale zwróciwszy twarz na króla, uśmiechnął się i szepnął:

— Pacholątkoć to jeszcze, nie pora na powagę.

Zazwyczaj sam król odmawiał modlitwę przed jedzeniem, dziś ze względu na obecność duchownego usunął się na bok, a Długosz przeżegnał misy i odmówił *Benedicite*[345].

Zasiedli wszyscy w porządku zwykłym, to jest królestwo oboje w pośrodku stołu; przy królowej nad wszystkie dzieci ukochany królewicz Olbracht, przy królu królewna Elżbieta. Naprzeciw zajął wskazane przez miłościwą panią miejsce kanonik Długosz, mając z prawej Zygmunta, z lewej Aleksandra i Fryderyka.

Król był wesół i mowny jak rzadko; pojednanie z Długoszem uspokoiło jego sumienie, a nadanie arcybiskupstwa było dowodem łaski i piękną koroną tej zgody. Do rozmowy mieszał się tylko z rzadka i nieśmiało dziewiętnastoletni królewicz Olbracht, młodsi bracia i królewna sprzątali gęś z szarą podlewą i kaszę jęczmienną ze skwarkami, nie odzywając się, chyba najcichszym szeptem jedno do drugiego.

Za krzesłem każdego z biesiadników stał paź dla usługi; Wawrzek, na znak dany przez jego przewielebność, chcąc nie chcąc musiał uczynić to samo; a że i w domu posługiwał przy stole, dosyć więc zręcznie dawał sobie radę mimo wielkiego onieśmielenia na widok całej rodziny królewskiej. W ciągu wieczerzy, która trwała dość długo, nabierał powoli odwagi i niepamiętny słów Pawła, że jest marną muchą, niegodną spojrzenia miłościwego pana, poddał się pokusie ciekawości i z początku ukradkiem, a później coraz jawniej wpatrywał się w twarze króla, królowej, malutkiej królewny i królewicza Olbrachta, których miał naprzeciwko siebie. Elżbietka, jego rówieśnica,

[343] *extemporalia* (z łac. *extemporalis*: robiony na poczekaniu, naprędce) — ćwiczenia polegające na tłumaczeniu z łaciny na bieżąco, bez przygotowania.

[344] *krotofila* a. *krotochwila* (daw.) — dowcip, żart, psota.

[345] *Benedicite* (łac.: błogosławcie) — modlitwa przed posiłkiem.

podobała mu się bardzo... od tylu miesięcy nie miał stosownego wiekiem towarzystwa, nie rozmawiał z żadnym dzieckiem. Zapomniał na chwilę, gdzie jest, i wlepił ogromne siwe oczy w niebieskie oczka królewny.

Mała księżniczka nudziła się bardzo przy stole; rozmowa starszych nic a nic jej nie zajmowała; mimo to siedziała wyprostowana, grzeczna, z buzią poważną. Niebieskie oczy, niby nieruchomo utkwione w przeciwległą ścianę, patrzyły wcale gdzie indziej i mówiły:

— To ty jesteś Wawrzuś. Słyszałam, jak cię wołano.

A siwe oczy odpowiedziały:

— Pierwszy raz widzę prawdziwą królewnę; bardzo mi się podobasz, bo masz takie śliczne włoski jak Jasiek.

— Jaki Jasiek? — pytały niebieskie.

— Mój przyjaciel, tam w Porębie — odpowiedziały siwe.

— Chciałabym się z tobą pobawić — prawiły rozgadane oczka — zawsze jestem sama, a moja niania ma tysiąc lat!

— Ja także jestem bardzo biedny — żaliły się siwe — mój pan i Paweł mają także co najmniej tysiąc lat; prawie nigdy nie wychodzę z domu, ino czasem do ojca Szymona.

— A ja albo siedzę w mojej komnatce, albo z nianią chodzę po ogrodzie. Niania nie umie biegać ani skakać... a ty umiesz?

— Ja nawet umiem na rękach chodzić. Umiem także zwierzątka z drzewa wyrzynać. Jakie trzewiczki noszą zwykle królewny?

— Wczoraj dostałam nowe, śliczne, modre jak niebo.

— E... żółte niech ci pani królowa sprawią.

— Żebyś wiedział, jak mi się przykrzy, uczą mnie po niemiecku, po łacinie; wiesz, Wawrzusiu, aż czasem nawet płaczę.

— Ach, gdybym ja był królewiczem, bawilibyśmy się razem!

— Gdybym ja była dziewczynką, a nie królewną, jakby to było wybornie!

Już od dłuższego czasu królewicz Aleksander okazywał wielkie zakłopotanie; poruszał nieznacznie lewym ramieniem, poprawiał się niby na zydlu, to znów czegoś szukał pod stołem. On, zazwyczaj powolny i nieruchawy, dziś wyjątkowo nie mógł usiedzieć na miejscu. Wreszcie niepokój wziął górę nad karnością i mimo że młodszym dzieciom nie wolno było mówić do króla, tylko na zapytanie odpowiadać, odezwał się nieśmiało:

— Miłościwy ojcze...

Król Kazimierz, zajęty rozmową z żoną i Długoszem, nie dosłyszał; królowa Elżbieta rzuciła na syna zdumione spojrzenie; Aleksander powtórzył głośniej:

— Miłościwy ojcze...

Król zwrócił twarz do syna i popatrzył nań surowo.

— Co powiadasz?

— Zechciejcie zezwolić, abym wstał od stołu i przeszedł do drugiej komnaty.

— Po co? — zadziwił się król.

— Gad jakowyś duży alboli robak wszedł mi do rękawa i bezprzestannie łazi po ramieniu. Tak mię dręczy, że dłużej zdzierżyć nie mogę; muszę zdjąć jakę i spędzić ono plugastwo.

— Idź — rzekł krótko ojciec, a królewicz skorzystał z pozwolenia, z niebywałą chyżością poskoczył do drugiej izby i niemal równie prędko powrócił.

— Cóżeś znalazł? — spytała matka. Oszczędny w słowach młodzieniec odpowiedział jedną głoską:

— O!

I pokazał trzymany w dwóch palcach... duży kłos jęczmienny.

— Nie dziwota, że wasza miłość wycierpieć w spokoju nie zdołałeś — rzekł, śmiejąc się, Długosz — wiadoma to rzecz, co za peregrynacje[346] odprawia kłos jęczmienny włożony za odzież. Sam się na własnych ostrych włoskach posuwa, przysiągłbyś, że jakieś żywe stworzenie, konik polny abo jelonek. Kara, Król

— Skądże ci wlazł do rękawa? — spytała królowa. — Byłeś dziś może z podstarościm w spichrzu?

— Nie, miłościwa matko; od obiadu siedziałem doma i nie czułem nic, dopiero przy wieczerzy.

— Fryderyk w spichrzu był? — spytał ojciec surowo najmłodszego syna.

Królewicz spuścił głowę nad sam talerz i cicho wyjąkał:

— By... łem... najmiło... łościwszy ojcze.

— Przez miesiąc, od dzisiejszego dnia, zakazuję wierzchem jeździć. Ani nogą do stajni.

— Bułanka się zastoi — szepnął płaczliwie królewicz.

— Zygmunt ją co dzień przejedzie.

— Ponosi go... zrzuci...

— Niech się trzyma.

— Miłościwy ojcze...

— Dosyć. Powiedziałem.

Król Kazimierz podniósł się z krzesła, wszyscy powstali. Odmówiono modlitwę; dzieci podziękowały rodzicom za wieczerzę pocałowaniem ręki, król uściskał żonę, po czym przeszedł z gościem do swej komnaty. Ale Długosz pożegnał się niebawem, raz jeszcze wyrażając gorące podziękowanie za wyniesienie na arcybiskupią stolicę.

Przyszedłszy za swym panem do domu, Wawrzuś służył mu przy rozbieraniu, przyniósł świeżej wody do podręcznego dzbana i do kociołka na umywalnię, po czym pochwalił Pana Jezusa i pomknął na poddasze, przeskakując po dwa schody. Poczciwy Paweł chrapał jak najęty.

— Oj, nie pójdę jeszcze spać, nie pójdę — mruczał chłopak pod nosem — muszę se najpierw panienkę malućką wyrobić, póki dobrze pamiętam. Ino główkę z noskiem, z oczkami, z włoskami.

Zabrał się z wielkim zapałem do roboty.

Długosz tymczasem nie mógł jakoś usnąć. Bytność w Tyńcu, jako zmiana długoletniego trybu życia, już go trochę zmęczyła; a dzisiejsze odwiedziny u króla, rozmowa z Kazimierzem Jagiellończykiem, dawnych goryczy wspominki, a w końcu serdeczne słowa królewskie i świetne zadośćuczynienie, wszystko snuło mu się po głowie i sen z oczu spędzało. Zapalił świecę, chciał czytać, nie mógł skupić uwagi. Postacie Stanisława i Dobiesława z Kurozwęk, co przed laty dwudziestu splądrowali i złupili dom jego, stanęły mu żywo przed oczyma... dziś Stanisław zestarzał się i wraz z duchowną szatą ułagodził dawną porywczość. Jako podkanclerzy, z urzędu będzie musiał doręczyć mu nominację... Starość

Poleżał chwilę z przymkniętymi oczyma, ani rusz usnąć.

„Starość nie radość — pomyślał — w późniejszym wieku nawet pomyślność jest udręczeniem".

Zaczął odmawiać pacierze, i to nie pomagało, zwłaszcza że szmer jakiś na górze zaniepokoił go.

„Oni tam także nie śpią, zda się; może zaniemógł który".

[346] *peregrynacja* (z łac.) — pielgrzymka, wędrówka.

Wstał z łóżka, postękując, odział się w kapotę futrem podbitą i ciepłe ciżmy sukienne i ze świecą w ręku wyszedł do sieni. Spojrzał ku drzwiom poddasza, przez szczelinę widać było światło.

Wawrzuś tak był zajęty wyrzynaniem noska królewny, że nie tylko cichych kroków księdza kanonika nie usłyszał, ale nie zauważył nawet, że ktoś stoi tuż obok niego i patrzy... Długosz patrzał i dziwił się. Zdradziło go chrypliwe chrząknięcie. Chłopiec skoczył jak oparzony, a ujrzawszy jego przewielebność nad sobą, ani próbował wymówek, wykrętów, królewna z rąk mu wypadła, stał nieszczęsny zbrodniarz, czekając kary.

— Czemu nie śpisz? Co to ma znaczyć? Już dawno po północy.

Wawrzuś milczał.

— Pokaż, co robisz?

— O Jezu... wasza przewielebność... nie bijcie! Ja nocami ino... jak matusię kocham, ino w nocy!

— Pokaż, coś robił!

Podniósł nie dokończoną główkę, ręka mu drżała, że omal nie upuścił, i podał księdzu. Nie było na co patrzeć, owal twarzy ledwie zaznaczony, broda i szyjka już podrzeźbione, włosy rozdzielone nad czołem, brewki, nosek zaczynał występować... Jeszcze nic, a jednak w twarzy Długosza odmalowało się zdumienie.

— Masz co więcej? Coś skończonego? Pokaż!

Wawrzuś westchnął ciężko. Jeszcze nie bije... chce więcej zobaczyć... a wtedy co? Pewno wypędzi.

— No, pokaż.

— Boję się...

— Ależ ja się nie gniewam. Czego się boisz?

— Naprawdę bicia nie dostanę?

— Za co? Lepiej, że się tak bawisz, niźlibyś bąki zbijał. Ino szkoda, że w nocy. Noc Pan Bóg dał do spania. Mało to czasu masz we dnie? Tedy nie marudź, ino pokaż coś gotowego.

Malec wlazł cały pod tapczan i wygarnął kilkanaście drewienek.

— To jest tatuś, proszę waszej przewielebności, a to Jasiek... a to nasza Gwiazdula, a to...

— Widzę, poznaję, kościółek świętego Idziego; wyśmienicie wydarzony, pochwalić się godzi. A to?

— To jest moja matusia. Wasza przewielebność widzi, jaka dobra? Zawdy[347] się na mnie tak patrzy. A jak my się spać kładli, to mnie i pocałowała czasem. Teraz... teraz... to choć taką drewnianą, co wieczór...

Buzia mu się skrzywiła, pociągnął nosem i dalej przebierał w klockach.

— A to ojciec Szymon, a to nasz Znajduś, jak łeb z budy wystawia.

— Pokaż no to coś większe, coś teraz miał w ręku i pod łóżko zasunął.

Wawrzusia jakby warem oblał; zaczerwienił się aż po włosy.

— To... to złamane... nie ma na co patrzeć.

— Pokaż zaraz! Aha... to ja tak wyglądam? No, brwi i nosa cale[348] mi nie żałowałeś. Podaruj mi ten wizerunek, będę nań co dzień patrzał, abym się w pychę nie unosił, żem nadto urodziwy.

Widząc, że ksiądz kanonik śmieje się całkiem szczerze, Wawrzuś zrozumiał, że mu nic nie grozi i jego przewielebność raczy łaskawie żartować. Rezon mu wrócił

[347] *zawdy* (daw.) — zawsze.

[348] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

zupełnie i już śmielej spojrzał ku księdzu kanonikowi. Pocałował go w rękę i także się uśmiechnął.

— Kiedy się waszej przewielebności tak udał, to se go weźcie, daruję wam.

— Bóg ci zapłać. Teraz ano dość tej mitręgi. Spać mi pójdziesz natychmiast. Jak nie usłuchasz, a nalazłbym cię kiedy w nocy tak jak dziś... skóra w robocie.

— Oj nie, nie; dy wolę w dzień, jeśli się nie gniewacie.

UCZEŃ MISTRZA WITA

Wit Stwosz zabija anioła. — Okrutnie dobry brodaty człowiek. — Wawrzuś i święci z ołtarza. — Legenda o Wniebowzięciu. — Po co przyszedł do warsztatu gwardian bernardynów.

Biedny był ksiądz kanonik Długosz[349]; biedny od wczoraj arcybiskup lwowski! W samo południe oczekiwał zapowiedzianego przyjścia księdza podkanclerzego z nominacją, co było dlań kłopotliwym z dwóch względów: pierwszy ten, że Długosz nie lubił wszelkich ceregieli dworskich i urzędowych oracji; po wtóre, osoba Stanisława z Kurozwęk przypominała mu zbyt przykre chwile; przybierać twarz w uprzejmość, prawić słówka wytworne i ostatecznie dziękować — jeżeli nie za dekret, który był dziełem i łaską króla, to za jego doręczenie — wszystko to było Długoszowi bardzo nie w smak. Niepodobieństwem jednak było wymigać się od tej pańszczyzny; obyż ją przynajmniej uczynić jak najkrótszą! Dla chcącego nic trudnego; ksiądz Długosz wynalazł sposób.

Wysokie dostojeństwo arcybiskupa, choćby nawet dopiero co mianowanego, dawało od razu pewne przywileje. Na przykład mógł taki książę Kościoła potrzymać gościa niższego hierarchią w poczekalni małą chwilę. Zaś kto znał pyszałkowatość księdza podkanclerzego, wiedział, że takie minuty oczekiwania dotkną go niemile; skutkiem czego nie roztworzy[350] upustów swego krasomówstwa ani się rozpłynie w komplementach, ino[351] załatwi rzecz krótko i sucho.

Długosz znał Stanisława z Kurozwęk...

Przy tym inną jeszcze sprawę miał na głowie, a załatwienie jej wiązało się zręcznie z przytarciem rożków księdzu podkanclerzemu. Spojrzał na zegar klepsydrowy, dwu godzin brakowało do południa; właśnie czasu wystarczy na wszystko. Zadzwonił. Wawrzek z rozjaśnioną twarzyczką wszedł i stanął przy drzwiach.

— Biegaj do pana Żegoty, pokłoń mu się ode mnie i proś, żeby wstąpił zaraz; mam mu coś powiedzieć.

Jego miłość pan Żegota z Proszowic, daleki krewny Długosza, zajmował dwie izdebki w domu księdza kanonika na dole. Dostawał żywność i opał, stróż miał przykazane obsłużyć go uczciwie, a za to wszystko obowiązany był spełniać polecenia księdza-wuja (tak Długosza nazywał) i być na jego rozkazy. Od czasu do czasu dostawał po kilka złotych, z czego sobie sprawiał skromne ubranie.

Przyszedł naturalnie czym prędzej, a rozmowa trwała krótko, bo się księdzu bardzo śpieszyło.

— Sprawże mi się, waszmość, jak należy, to pomyślimy o żupaniku od niedzieli, bo ten, widziałem, już się przeciera.

— Jeżeli wasza przewielebność raczy zezwolić — rzekł pan Żegota, całując księdza w rękę — to zreasumuję[352] jego instrukcje. (Pan Żegota lubował się w wyrazach

[349] *Jan Długosz herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

[350] *roztworzyć* (daw.) — otworzyć.

[351] *ino* (gw.) — tylko.

[352] *zreasumować* (z łac.) — krótko powtórzyć, streścić, podsumować.

łacińskich). — Tedy mam pilnie oczekiwać *in aula*[353] przybycia księdza podkanclerzego; przyjąć go *honestissime*[354] i *stante pede*[355] lecieć do pracowni księdza-wuja, a w rzeczy weryfikować[356], zali[357] wrócił z miasta alboli[358] nie. Następnie *de noviter*[359] jawić się przed obliczności księdza Kurozwęckiego i o chwilę pacjencji[360] upraszać a dyskursem[361] dwornym[362] zabawiać. Konkluduję[363], że nie zabaczyłem[364] ani słówka.

— Wyśmienicie. Masz więc przyjść dobrze przed południem, by ksiądz podkanclerzy ani momentu sam nie pozostawał. Jędrzej niech nikogo nie odprawia od bramy, wracam niebawem. Wawrzuś!

— Tum jest[365]! — zapiszczało od proga.

— Wybierz spośród onych twoich robótek matusiną główkę, Jaśka, kościółek; pójdziemy na miasto. Grzech, Artysta

Wawrzek otworzył szeroko usta... po co brać to wszystko? Czy ksiądz kanonik zaniesie te drewniane grzechy do Wisły i wrzuci na największą głębię? Czy poprosi ojca Szymona, by odczytał egzorcyzmy nad jego głową? Słusznie; tatuś zawsze powtarzał, że dziecko czarownik urzekł. No dobrze, niech będą egzorcyzmy. Ale topić w Wiśle matusię? Choćby ino podobieństwo matusi!

Wyszli na ulicę.

„Ucieknę abo[366] co? — pomyślał, próbując uwolnić się od trzymającej go ręki księdza. — Jakże uciekać, kiedy mocno trzyma i gdzieś wiedzie".

Zawrócili z ulicy Kanoniczej w Poselską i weszli do narożnego domu po lewej stronie. Sień krótka, wąska, za to podwórze ogromne niczym jaki rynek. Więcej niż połowę tego placu zajmowała obszerna szopa z desek.

Ksiądz przystanął i pytał o coś przechodzącego chłopca w szarym fartuchu aż po szyję, spod którego wyzierały białe rękawy od koszuli. Wawrzuś rzucił obojętnie okiem w prawo, w lewo, zobaczył kilkanaście pni bukowych i lipowych, wspartych o mur wzdłuż jednego boku podwórza. Przy nich leżały ociosane siekierą białe kloce drewniane; trochę dalej, przy drugiej ścianie, znowu kłody jakoś cudacznie pociupane; górą zdawało się, jakby coś trochę podobne do głowy, potem niby jakieś ręce niewyraźne, to znowu kawał drzewa leżał na ziemi, przysiągłbyś, że wielkie skrzydło.

„Na co takie?" — myślało dziecko.

Z boku schody prowadziły na ganek, przez który się szło do mieszkania. Szopa miała trzy szerokie okna i drzwi, w tej chwili na rozcież otwarte. Chłopak w fartuchu wskazał ręką w tę stronę i ksiądz kanonik szedł ku szopie, ciągnąc Wawrzka za sobą. Jeszcze ich kilka kroków dzieliło ode drzwi, gdy usłyszeli głos jakiś niski, donośny, wyraźnie bardzo zagniewany. Ktoś krzyczał ze złością, ktoś drugi odpowiadał, hałas coraz się wzmagał.

— Nie będzie widać, powiadasz? Tak wysoko, powiadasz? — wołał głos pierwszy. Artysta, Sława

---

[353] *in aula* (łac.) — w sali.
[354] *honestissime* (łac.) — bardzo gościnnie.
[355] *stante pede* (łac.) — na jednej nodze, tj. natychmiast.
[356] *weryfikować* (z łac.) — sprawdzić.
[357] *zali* (daw.) — czy.
[358] *alboli* (daw.) — czy też.
[359] *de noviter* (łac.) — znowu, jeszcze raz.
[360] *pacjencja* (z łac.) — cierpliwość.
[361] *dyskurs* (z łac.) — rozmowa.
[362] *dworny* — grzeczny, uprzejmy, wyszukany, elegancki.
[363] *konkludować* (z łac.) — wnioskować.
[364] *zabaczyć* (daw.) — zapomnieć.
[365] *tum jest* — tu jestem.
[366] *abo* (daw.) — albo.

— A juści[367]. Będzie ta kto widział, dwadzieścia łokci[368] od ziemi, zali[369] obie stopy jednako długie — drwiąco wrzeszczał głos drugi.

— Taaak? To gdyby ci o ludzkie oko nie chodziło, partoliłbyś jedno za drugim? A dla kogo robisz? Dla Boga wszechmogącego! do kościoła na ołtarz!...

— Ij... gadanie... co wam ta o to.

— Co? — głos pierwszy aż chrypł z wściekłości. — Co mi o to? Za sto lat, za dwieście, za trzysta ołtarz stał będzie w kościele; moje kości dawno w proch się rozsypią, a chwała mistrza Wita wieki przetrwa. A ten jakiś pyta, co mi o to! Tyle mi o to! Wiesz? Tyle mi o to! Robota z mego warsztatu moją jest; a kiedy niegodna mnie, to ja jej...

We drzwiach szopy ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, z twarzą rozognioną szałem gniewu, ze zwichrzoną brodą; trzymał oburącz za nogi jakąś drewnianą figurkę wielkości kilkoletniego dziecka... Skoczył ku stosowi pniaków leżących na boku, podniósł posążek wysoko ponad głowę, zamachnął się i rznął[370] nim o twarde kloce... Poleciały trzaski na wszystkie strony, z nieudałej roboty nie zostało nic.

— No tak... — rozśmiał się pogardliwie i otarł pot z czoła. Rzucił okiem po podwórzu i spostrzegł Długosza. W tejże chwili złość znikła, twarz rozjaśniła się wielkim zadowoleniem, skłonił się z uszanowaniem i podszedł skwapliwie ku gościowi.

— Dawno oczekuję odwiedzin waszej przewielebności — rzekł zupełnie spokojnym głosem, bez najmniejszego rozdrażnienia. Trzeba mi waszej rady w niejednym względzie, a jakoś w ostatnich czasach skąpicie mi swojej łaski.

— Wybaczcie, mistrzu; duch ochoczy, ciało mdłe[371]; wiadomo wam, że kończyłem ostatni tom mojej kroniki, a w podeszłych leciech[372] opornie praca idzie. Zawziąłem się sam na siebie, że nie pomyślę o czym innym, póki tego zadania, któremu część żywota poświęciłem, nie dokonam. Od dwóch dni jestem wolny, dziś do was przychodzę.

— Każdego dnia rad bym was tu miał; i dla siebie samego jako przyjaciela, i dla pożytku mego dzieła, przy którym nie ino moja myśl, a sprawność ręki wszystko zdoli[373], jeszcze oka mądrze patrzącego mi potrza[374], co by uwidziało[375] to, czego ja sam nie dojrzę.

— Robota musiała postąpić, odkądem tu był? — zapytał Długosz.

— Nie tyle, jakby się należało. Choćby mi się wszystko darzyło po myśli, jeszcze to długie lata upłyną, zanim pierwszą mszę świętą odprawi jego przewielebność ksiądz archiprezbiter przed wielkim ołtarzem u Panny Maryi... Wiadomo wam, że wszystkie osoby głównego wizerunku chcę wykonać własnoręcznie. Zda mi się czasem, że mi życia nie starczy, że to zadanie nad siły jednego człowieka. A znów są dni, gdzie mi robota ptakiem leci i co wczoraj było niepodobieństwem, dziś rośnie w rękach, mnie samemu na podziw. Pomniejsze obrazy robią starsi uczniowie i najzdatniejsi z czeladzi. Ale czy to człek może liczyć na sumienność i dbałość? Partacze są, ducha w nich nie masz; i gdybym ino cugli popuścił... Przed chwilą zabiłem anioła; widzieliście?

Rozśmiał się swobodnie, bez śladu gniewu.

---

[367]*juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[368]*łokieć* — daw. jednostka miary, ok. 60 cm; 20 łokci: ok. 12 m.

[369]*zali* (daw.) — czy, czyż.

[370]*rznąć* (gw.) — uderzyć, rąbnąć.

[371]*duch ochoczy, ciało mdłe* — chciałbym, ale nie mam siły; nawiązanie do słów Jezusa Chrystusa, skierowanych do apostołów a zapisanych w *Biblii* (Mt. 26:41).

[372]*w leciech* (daw.) — dziś popr. forma Ms. lm: w latach.

[373]*zdolić* — zdołać, dać radę.

[374]*potrza* (gw.) — potrzeba.

[375]*uwidzieć* (gw.) — zobaczyć, dostrzec.

— Raczcie wejść, chciałbym wam coś pokazać.

Weszli do szopy, Wawrzuś jak cień za piętami jego przewielebności.

— Tedy, jakom sobie z waszą i Kallimacha[376] pomocą umyślił, ołtarz uczynię w podobieństwie szafy zamykanej. Gdy otwarta, widny będzie środkowy główny obraz, czyli zaśnięcie Panny Maryi otoczonej dwunastoma apostołami. Na drzwiach zasię po trzy mniejsze obrazy, przedstawujące[377] ważniejsze fakta[378] z życia Chrystusa Pana. Gdy się skrzydła drzwiów[379] zawrze[380], umieszczę na nich znowu po trzy wizerunki, a na bocznych nieruchomych tablicach z lewej i z prawej takoż po trzy. Co dalej, a raczej co wyżej, wniebowzięcie i ukoronowanie Panny Maryi jako też anioły, ku jej służbie wzlatujące, odznaczyłem sobie dopiero liniami w abrysie[381]; ale póki rozpoczętych robót się nie skończy, nie tykam tamtego. Zechciejcie tedy zobaczyć: tu jest dwunastoletni Jezusik nauczający w kościele; malutką osóbkę Pana naszego rzezałem sam, jako też postać mędrca z lewej i arcykapłana z prawej. Jakoż się wam zdają?

Długosz klasnął w ręce.

— Bóg wam daj zdrowie, mistrzu… toć Kallimach… omal nie przemówi! A i Zbigniewa Oleśnickiego utrafiliście na podziw.

— Tu zasię na dole, pojrzyjcie, usadziłem dla pamiątki wielebnego Jana Heydeka, przyjaciela mego i protektora. Gdyby nie gorące jego przemowy za mną w komitecie, kto inszy dostałby zamówienie na to dzieło.

— Przecz[382] tak w pomniejszeniu go uczyniliście?

— Sam tego chciał, z pokory. Na tej znów tablicy macie narodzenie Maryi Panny.

— Dziwnie wydarzony wizerunek, zaiste — chwalił Długosz. — O niczym nie zabaczyliście[383], a mimo to natłoku ani zamieszania cale[384] nie masz. I kąpiołkę[385] dziecince gotują, i usługa wedle świętej Anny, i ława z przyborami do wieczerzy; sąsiadka w odwiedziny przyszła… aż radość serce ogarnia, jak to wszystko wyraźnie urobione.

Wawrzuś stał o półtora kroku za kanonikiem, oczy jego stawały się coraz większe.

— Darujcie, wielebny panie, że was tak długo samolubnie własną sprawą trudnię, a spocząć nie proszę. Hej, Krystek… podaj zydle!

Usiedli obaj na uboczu pod oknem; Stwosz, bardzo wesoły i rozgadany, wskazywał ręką szczegóły i ornamenta[386] przez czeladników z grubsza obrabiane, którym on sam nadawał cechę artyzmu ostatnim dotknięciem dłuta.

Ksiądz kanonik obejrzał się za Wawrzusiem i skinął ręką, a gdy się przybliżył, wziął odeń związane w chuście rzeźbione figurki, rozwinął szmatkę i nic nie mówiąc, położył wszystko Stwoszowi na kolanach. Ten brał małe rzeźby jedną po drugiej, przypatrywał się im również w milczeniu, tylko brwi podniósł wysoko i coś mu drgało w twarzy.

— Skąd to macie? — zapytał po chwili.

---

[376] *Kallimach* — Filip Buonaccorsi (1437–1496), przybrał przydomek Kallimach na cześć gr. poety z III w. p.n.e. Włoch, poeta i kronikarz, piszący po łacinie. Nauczyciel synów króla Kazimierza II Jagiellończyka.

[377] *przedstawujące* (daw.) — przedstawiające.

[378] *fakta* — dziś popr. forma B. lm: fakty.

[379] *drzwiów* (gw.) — dziś popr. forma D. lm: drzwi.

[380] *zawrzeć* (daw.) — zamknąć.

[381] *abrys* (daw.) — szkic, zarys.

[382] *przecz* (daw.) — dlaczego, po co.

[383] *zabaczyć* (daw.) — zapomnieć.

[384] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

[385] *kąpiołka* — zdrob. od kąpiel.

[386] *ornament* (z łac.) — ozdoba; tu B. lm: *ornamenta*.

— To są zabawki mego pacholika, tego tu malca. Chciałem się was zaradzić, czy warto go kształcić w rzeźbiarskim kunszcie albo nie.

Wit Stwosz wstał z ławy, podszedł do Wawrzusia, zgiął się niemal wpół i zajrzał dziecku w oczy.

— To nie może być; omyliliście się, wasza wielebność. Nie podobna, aby to dziecko...

— Jakożbym śmiał twierdzić coś, czego bym nie był pewny? — odparł Długosz poważnie. — Widziałem chłopca przy robocie.

Ksiądz kanonik w swym powolnym sposobie nie domówił ostatnich słów, gdy stało się coś nieprzewidzianego; Stwosz porwał Wawrzusia na ręce i pobiegł z nim ku drugiemu oknu, gdzie stała jakaś nie wykończona rzeźba, postać więcej niż naturalnych rozmiarów. Figurę otaczało rusztowanie, trzeba bowiem było wyjść po schodkach, by rzeźbić głowę i ramiona. Długosz patrzał i zdumiewał się, zwłaszcza tym, że dziecko nie miało wcale przestraszonej twarzyczki, owszem, objęło nieznajomego człowieka poufale za szyję. Wit Stwosz skoczył dwoma krokami na deskę i pokazując Wawrzusiowi wspaniałą, wyrazistą głowę apostoła zawołał:

— Powiedz, synku, rad byś umieć wyrzezać takiego świętego?

— O Jezu...

— A rad byś uczyć się u mnie?

— O Jezu...

— No, to umowa zawarta! — zaśmiał się mistrz donośnie. — Z dniem dzisiejszym biorę cię do terminu, a za jakie sześć roków[387], gdy wola Boska będzie po temu, a posłusznie i z wytrwaniem robił będziesz, co ci każę i jak ci każę, to... no, to zobaczymy.

— Zali naprawdę nie żal wam trudu dla takiego maleństwa? — spytał Długosz. — Toć to dziecko, ani dziewięciu lat nie ma.

Stwosz postawił Wawrzusia na ziemi i szepnął księdzu do ucha:

— On dziś więcej wart niż ci wszyscy razem — i wskazał ręką na czterech czeladników... — Obdarzony od Boga... Za niedługie lata, wspomnicie moje słowa, chluba mi z niego urośnie.

— Nie dożyję — rzekł Długosz smutnie.

Wawrzuś z sercem pełnym wdzięczności dla okrutnie dobrego brodatego człowieka, jak sobie Stwosza w myśli nazwał, kręcił się po pracowni i zaglądał w ręce każdemu robotnikowi. Toć on tu już domowy, mistrz go chce uczyć, nazwał go synkiem...

Jeden z czeladzi pokazał mu osła, mającego leżeć przy żłóbku w scenie narodzenia Pana Jezusa, i wołu, któremu właśnie wygładzał rogi.

— Ee... ja by go nie tak zrobił... — zganił malec — zanadto spaśny[388]; prawdziwy wół nie tak wygląda.

— Oho, komu to starszych uczyć! — z szyderczym śmiechem odpowiedział czeladnik; ale Stwosz, który właśnie jakiejś głowy anioła szukał niedaleko dla pokazania jej Długoszowi, usłyszał te uwagi dziecka i podszedł do rozmawiających. Rzucił okiem na robotę i spytał Wawrzusia:

— No, a jakże ten wół ma wyglądać, coby nie był spaśny?

— Trza mu zaznaczyć ziobra[389] na bokach, zaraz przychudnie. Bo tak, jak jest teraz, to ledwie nie pęknie; paskudnie patrzeć na niego. I pysk mu trza przykrócić; ino trochę, niewiela, o, tyćko.

---

[387] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.

[388] *spaśny* — gruby, tłusty.

[389] *ziobro* (gw.) — żebro.

— Jakoż ci się widzi, Jurek, dobrze radzi to dziecko?

Czeladnik milczał nadąsany, a mistrz nie domawiał mu już więcej, tylko powrócił do gościa.

— O raju... Stanko! — zawołał Wawrzuś, biegnąc ku drzwiom z wyciągniętymi rękoma.

— Wawrzuś! — odpowiedział również wesołym okrzykiem wchodzący. Objął dziecko wpół, podniósł w górę i pocałował.

— Cóż za nowina? Skąd się znacie? — spytał Stwosz.

— A to ten pacholik malućki, pamiętacie, ojcze, com to wam opowiadał, że mi zginął na rynku, przy koniku. Cóż ty tu robisz, Wawrzuś?

— Pogadacie se potem — rzekł ojciec. — Teraz pójdź, pokłoń się jego przewielebności. Tak dawno się nie widzieliśmy, nawet nie miałem kiedy pochwalić się księdzu kanonikowi, że mój Stanko już powrócił.

— Aleś też sporo urósł za te dwa lata — rzekł Długosz — ojca dogoniłeś, czy ano i w głowie przybyło?

— Rzetelnie pracował, nie można przyganić —odparł Stwosz. — Świadectwa od Lebrechta ma piękne.

— A to się wam przyda przy robocie ołtarza?

— A jakże. Gdzie ino będzie potrzebne jakie złocenie, to już jemu powierzę. Zresztą i snycerz[390] z niego nienajgorszy.

Pogawędziwszy jeszcze z pół godziny, mniej więcej tyle, aby ksiądz podkanclerzy miał sposobność zniecierpliwić się oczekiwaniem, Długosz powrócił do siebie, zabierając jeszcze Wawrzusia, którego dopiero za kilka dni miał przysłać z przystojną[391] wyprawą w szatkach i bieliźnie.

*

Od tego dnia upłynęło trzy lata, Wawrzuś, choć najmłodszy wiekiem, przerastał uczniów mistrza Wita uzdolnieniem i zapałem. Z początku dostawał niepotrzebne zrzynki[392] drzewa, na których się uczył i wprawiał rękę. Trwało to długo, więcej niż rok, a chłopiec ani się temu dziwił, ani się zniechęcał, że tylko jakieś łuki, wykrętasy, półkola wyrzynać mu każą. Mistrz Stwosz ciągle go miał na oku i zawsze jakimś przychylnym słowem zachęcał do wytrwałości. Po upływie kilkunastu miesięcy malec dożył wielkiej chwały, bo mu powierzono rzeźbienie krokształynów[393] i baldachimów do małych posążków ustawionych w obramieniu głównej części tryptyku[394]. Dumny był, że i jego ręce przyczyniają się do spełnienia wielkiego dzieła. Gdy mu się zadana robota szczególnie dobrze udała, mistrz pozwalał w nagrodę oglądać gotowe obrazy albo stać tuż przy sobie i patrzeć, jak rzeźbił.

Dobrze było Wawrzusiowi u Stwosza; gdyby nie tęsknota za matką, ojcem, za Porębą i najserdeczniejszym Jaśkiem, nic by mu do szczęścia nie brakowało. W godzinach wolnych od obowiązkowej pracy bawił się na dawny sposób wyrzynaniem ptaszków i zwierzątek. Pewnego dnia Krystek mozolił się nad jaszczurką, która miała być użyta w ornamentach predelli (część ołtarza wąska i podłużna, znajdująca się tuż ponad mensą, czyli kamiennym stołem, na którym się msza święta odprawia), spostrzegł to Wawrzuś i błagał go jak o największą łaskę, by mu dał skończyć za siebie tę robotę potajemnie. Przypomniała mu się owa nieszczęsna jaszczurka, pierwsza przyczyna jego wygnania z Poręby, tylu dziwnych wydarzeń i nareszcie tak pomyśl-

[390] *snycerz* — rzeźbiarz.

[391] *przystojny* — tu: porządny, właściwy.

[392] *zrzynek* — okrawek, ścinek.

[393] *krokształyn* — półeczka, na której stoi figura.

[394] *tryptyk* — obraz a. płaskorzeźba, składająca się z trzech części.

nej zmiany w jego życiu. Schował się za olbrzymią figurę świętego Jakuba apostoła i w tej bezpiecznej kryjówce marną, sztywną, prawdziwie drewnianą jaszczurkę zmienił swym czarodziejskim dłutem w stworzonko naturalne w ruchu, z figlarnymi oczkami, pełne życia.

Gdy czeladnik odniósł Stwoszowi skończoną robotę do obejrzenia, mistrz roześmiał się w głos z zadowolenia.

— A toś mi sprawił niespodziankę! — zawołał — pierwszy raz odkąd jesteś u mnie, zasłużyłeś na pochwałę. Ino tak dalej jak dziś, a wart będziesz nazywać się uczniem Wita.

Ale niestety, następne roboty Krystka nie miały w sobie tego piętna talentu co jaszczurka; jak był rzemieślnikiem bezdusznym, tak rzemieślnikiem pozostał.

W ciągu tych pierwszych lat nauki Wawrzusia dwa smutne wydarzenia zapisały się w jego sercu na wieczną pamięć.

Umarł Długosz[395], nie doczekawszy nawet wstąpienia na arcybiskupią stolicę, tak właśnie jak od roku przeczuwał. A w lipcu 1482 roku umarł pierwszy opiekun i dobroczyńca Wawrzusia, Szymon z Lipnicy[396].

Pogrzeb

Pogrzeb Długosza z domu pod Wawelem do kościoła Na Skałce, gdzie jako fundator i dobrodziej klasztoru paulinów, miał być w podziemiach pochowany, odbył się z niezmierną wspaniałością. Ilu było w Krakowie księży, zakonników, braci zakonnych, jakieś kilkaset ludzi, wszyscy się stawili dla oddania ostatniej posługi arcybiskupowi.

Od stóp wawelskiej góry, ulicą Stradomską i Kazimierzem aż do Skałki ciągnęły się podwójnym szeregiem białe komże, habity brunatne i szare, zakapturzone głowy dominikanów, szli członkowie kapituły w żałobnych ornatach; płomień świec w rękach duchowieństwa zdawał się w blasku słonecznego dnia brudnoczerwony... a nad tysiącem światełek, poruszanych wiatrem, unosił się szarawy, przejrzysty dym.

Tuż przed wozem żałobnym szedł Jan Rzeszowski, biskup krakowski, w asystencji najstarszych kanoników; obok niego infułat archiprezbiter, proboszcz kościoła Panny Maryi, i opat tyniecki.

Sześć koni w czarnych kapach ciągnęło wóz czarnym suknem okryty i choiną[397] przybrany, a na nim w wysoko ustawionej trumnie zwłoki zmarłego.

Pierwszy za wozem szedł król Kazimierz z czterema synami, dalej senatorowie i dostojnicy państwa, urzędnicy, dworzanie królewscy i tysiące ludu, po większej części z ciekawości na widowisko zgromadzone. Szedł i pan Żegota, serdecznie stroskany, choć wuj w testamencie zapewnił mu spokojne utrzymanie do śmierci. Szedł Stwosz z synem, a za nimi Wawrzuś, oszołomiony tłumem, światłem i śpiewem, mniej rozumiejący powagę chwili, raczej przejęty wspaniałością obrzędu i malowniczym widokiem.

Gdy w rok później gruchnęła po Krakowie żałobna wieść, że opiekun nędzarzy, pocieszyciel nieszczęśliwych, kaznodzieja i spowiednik najgorliwszy, ojciec Szymon z Lipnicy, zaraziwszy się morowym powietrzem przy pielęgnowaniu chorych, zeszedł z tego świata, cała uboższa ludność Krakowa zakrzyczała płaczem wielkim. Cisnęły się tłumy do furty klasztornej i nie bacząc na straszność zarazy, żądały widzieć po raz ostatni swego dobrodzieja. Zakonnicy z rozkazu wielkorządcy Krakowa nie wpuszczali nikogo, a nawet w obawie o zdrowie braci klasztornych przyśpieszono pogrzeb.

Cud

Był to obchód zupełnie odmienny od poprzednio opisanego. Sami tylko bernardyni

[395] *Jan Długosz herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

[396] *Szymon z Lipnicy* (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, święty Kościoła katolickiego.

[397] *choina* — gałęzie świerkowe.

zajęli się złożeniem do grobu swego zmarłego brata; żaden klasztor nie uczestniczył w nabożeństwie, które odprawione zostało przy drzwiach zamkniętych. Usunięto kilka tafli posadzki tuż przy progu i młodzież zakonna wykopała w tym miejscu dół głęboki, gdyż ojciec Szymon prosił umierając, by go pochowano pod progiem jako najnędzniejszego grzesznika. Posadzkę wprawiono na powrót szczelnie i tylko imię zmarłego wyryto na kamieniu.

W parę dni później rzucili się ludzie pielgrzymką do tego grobowego kamienia; przynoszono chorych a nawet umierających; wracali o własnej sile do domu, ślepi odzyskiwali wzrok, chromi władzę w nogach; utopione dziecko, od kilkunastu godzin zmarłe, matka położyła na grobie Szymona z Lipnicy i obudziło się do życia. Cały Kraków rozbrzmiewał chwałą świętego, co za życia mienił się być najnędzniejszym z grzeszników.

Żałoba

Wawrzuś płakał gorzko. Odczuł śmierć ojca Szymona żałośliwym bólem kochającego serca; wszak pierwszą noc w Krakowie spędził pod dachem klasztornym, wniesiony na miłosiernych rękach świętego. I od tej pierwszej godziny doznawał bez ustanku jego tkliwej, prawdziwie ojcowskiej opieki. On go pocieszał w tęsknocie za matusią i przyrzekał z taką pewnością, że ją za niedługie lata zobaczy; on mu wyszukał dobrego pana, on go uczył świętych prawd wiary, on słuchał pierwszej spowiedzi, on go zachęcał do pokory i wytrwałości, gdy się nudne terminowanie u Stwosza dziecku przykrzyło; do niego biegł Wawrzuś pochlubić się pochwałą mistrza, u jego nóg siedząc, marzył głośno, że sam kiedyś także mistrzem będzie. A teraz nie miał już nikogo na całym Bożym świecie.

Czas biegł szybko, miesiące mijały... W warsztacie mistrza Wita pracowano z natężeniem. Coraz to nowy obraz odkładali czeladnicy, gotowy do obejrzenia i poprawek. Stwosz nadawał ostateczne wykończenie artystyczne mniej doskonałym rzeźbom. Przy olbrzymich zaś figurach wchodzących w skład głównej grupy pomagał ojcu Stanko, obrabiając je z grubsza. Jakkolwiek złotnikiem i pozłotnikiem był z rzemiosła, miał uzdolnienie i do rzeźby i teraz jako tak zwany punktator wielce był przydatny w pracowni.

Wawrzusiowi dawano do roboty czasem jakieś skrzydło anielskie, to znów podrzędne figurki, takie same, jakie wykonywali młodsi czeladnicy, a dopiero spomiędzy kilku jednakich, lecz niejednako dobrze wyrzeźbionych, wybierał Stwosz najlepsze; prawie zawsze wybór padał na pracę dwunastoletniego terminatora. Szczęściem dla chłopca, to wyróżnianie go tak pochlebne nie gniewało współzawodników, jakoś umiał ich od samego początku ująć swym pokornym obejściem; nigdy się nie chełpił ani ponad mniej zdolnych nie wynosił, a co najważniejsze, brał do swej izdebki roboty starszych towarzyszy, gdy który szedł bawić się do gospody lub hulać na weselu. Wawrzuś pracował wieczorami, a nazajutrz po niewyspanej nocy mógł sobie czeladnik drzemać ukradkiem przy warsztacie, robota na tym nie cierpiała.

Figury świętych apostołów, Jakuba, Andrzeja, Piotra, Jana i Tomasza, były już gotowe. Stwosz namozolił się nad nimi kilkanaście miesięcy, ale też nawet sam, tak wiele wymagający od innych, a tak niezmiernie surowy sędzia własnej pracy, z zadowoleniem spoglądał na swe dzieło.

Pewnego wieczora Wawrzuś zakradł się do pracowni, by korzystając z nieobecności mistrza, napatrzyć się do woli wspaniałym posągom pięciu apostołów. Pewny był, że mu nikt nie przeszkodzi; czeladź i uczniowie uciekali z szopy, skoro się tylko dzień ukończył, wcale im nie było pilno tam wracać; Stwosz wybrał się na pogawędkę do Kallimacha i zapowiedział żonie, by nań z wieczerzą nie czekała; Stanko... tego najmniej się można było spodziewać, bo wszystkie wolne wieczory spędzał u stry-

ja Macieja. Miał tam żywy posąg do uwielbiania, czarnooką Jadwisię[398]. Wprawdzie bliskie pokrewieństwo stało wielce na przeszkodzie małżeństwu, ale młodzi ufali, że prawdziwa miłość wszystko zwycięży, zwłaszcza że i ojcowie także sobie tego związku życzyli.

Jakże się miał Wawrzuś oprzeć pokusie, gdy druga taka wyborna sposobność nieprędko się nadarzy! Powyciągał z kątów kaganki olejne, których kilkanaście zawsze było w pogotowiu na wypadek, gdyby mistrzowi przyszła chęć pracować w nocy. Zaświecił ze sześć, żeby widzieć jak najlepiej, i stanął sobie na podwyższeniu, przy świętym Piotrze.

„Oj Boże, Boże... jak też to wyrobione! i włosy, i oczy, i zmarszczków po twarzy tyle!... staruszek widno[399] był... Albo i ta ręka! Cale[400] jak żywa. Ach, miłosierny Panie Jezu, dajże mi też choć za dziesięć lat... choć na podobę[401]... Drugiego takiego mistrza chyba cały świat nie ma. Wielkie szczęście od Boga, żem jego uczniem. Gdyby nie ojciec Szymon... gdyby nie ksiądz kanonik... może bym gdzie zmarniał abo do złych ludzi przystał... Pójdę se teraz po schodach do świętego Jędrzeja.

— A to co za światło w warsztacie? — dał się słyszeć głos z podwórza — wyście to ojcze? Matka mówili, że was nie ma... Wawrzek? Cóż ty tu robisz? Jeszcze ogień zapuścisz!

— Stanko... bój się Boga, nie wydaj mnie!

— Właśnie że poskarżę ojcu. Niechby gdzie, broń Boże, iskierka padła, tyle lat ciężkiej pracy ludzkiej, tyle kunsztownych dzieł poszłoby z dymem. Gadaj, po coś tu przylazł?

— Chciałem się raz napatrzyć do sytości.

— Mało ci dnia?

— We dnie, przy mistrzu, nie śmiem.

— No, dziękuj Bogu, żem ja wcześniej powrócił, a nie ojciec, boby krucho było ze skórą, gdyby cię tu przyłapił.

— A ja sobie rachował, że i ty posiedzisz u stryjka.

— E... byłbym siedział, a jakże; ino stryjnę głowa rozbolała i musiałem się wynosić.

— Stanko, mójeś ty[402]...

— No, co?

— Opowiedz mi, jak to ma być w ołtarzu, bom strasznie ciekawy. Że szafa zamykana, że małe obrazy dokoła, to wiem; ale co więcej? Co ci święci ludzie mają tam do roboty?

— Zaraz ci dokumentnie wytłumaczę, żebyś rozumiał, jak się będzie ołtarz składało, co przedstawiają osoby i co to wszystko razem znaczy. Słuchaj więc. Po wniebowstąpieniu Pana Jezusowym, mówi starodawna opowieść, mieszkała Najświętsza Matka w małym domeczku u stóp góry Syjonu.

— Gdzie ta góra?

— W Ziemi Świętej; tam, gdzie się nasz Zbawiciel narodził, gdzie żył, nauczał i gdzie został ukrzyżowany. Tedy mieszkała tam cicho, w ukryciu, przez lat czternaście[403]. Jednego razu ukazał jej się anioł i oznajmił, że za niedługo żywot ziemski

[398] *Jadwisię* — Syn Wita Stwosza Stanisław ożenił sią ze swą stryjeczną siostrą Jadwigą, córką Macieja Stwosza.

[399] *widno* (daw.) — widocznie.

[400] *cale* (daw.) — całkowicie, zupełnie.

[401] *na podobę* (gw.) — podobnie, w przybliżeniu.

[402] *mójeś ty* (gw.) — jesteś mój.

[403] *mieszkała tam… przez lat czternaście* — Opowiadanie to wzięte z księgi pod tytułem *Złota legenda*.

zakończy. Bardzo się Panna Maryja uradowała, jako że okrutnie za Synem swoim Jezusem tęskniła. Ale prosiła anioła, by jej wyjednał u Pana Boga trzy rzeczy: pierwsze, żeby sam Chrystus Pan przyszedł do niej w godzinę śmierci; drugie, żeby jej przybrane dzieci, apostołowie, byli przy niej także; a trzecie, żeby ani na okamgnienie diabła nie widziała. I stało się wszystko tak, jak żądała. Gdy umarła, święte ciało złożono do grobu i apostołowie przy nim czuwali, modląc się. Trzeciego dnia ukazał im się Pan Jezus i zapytał, jaką ma cześć oddać swej Matce. Odpowiedzieli: „Posadź ją, Panie, żywą po prawicy swojej". Wtedy na rozkaz Boski powróciła dusza do martwego ciała i żywą Pannę Maryję unieśli aniołowie do nieba, gdzie jest od Trójcy Świętej ukoronowana. Tedy już będziesz miał całość w oczach, prawda?

— A jakże. Wielki obraz w środku... no, ale jeszcze osoba Matki Boskiej ani zaczęta?

— Właśnie ojciec mówili, że w tym tygodniu dadzą na mszę, coby[404] godnie mogli rozpocząć ten święty wizerunek i Bożej Matce w niczym nie uchybić.

— Jakże to? W środku łóżko będzie stało czy co?

— Nie; w pośrodku właśnie będzie klęczeć Najświętsza Panna, jako że ją ostatnia chwila przy modlitwie spotkała. Ten wysoki apostoł z wielką brodą, święty Jakub Starszy, będzie ją podtrzymywał, a wszyscy inni najdą się dokoła, płaczący i modlący się. Powyżej Matka z Synem w otoczeniu aniołów, a na samym szczycie Trójca Święta i koronacja.

— Ach... jeszcze tyle roboty! Kiedy będzie koniec? Artysta, Praca, Zwątpienie

— Tego nikt nie przewidzi. Ojciec ma takie dni, co starczą za miesiące, w rękach mu się pali robota; zasię przychodzą tygodnie, gdzie go niechęć ogarnia, zda mu się, że nic nie zdoli, wtedy chce wszystko rzucić i uciekać na koniec świata. Trza wtedy pilno nań zważać i kogoś mądrego upraszać, coby mu te smutki pędził z głowy, a otuchą krzepił. Jego wielmożność pan Kallimach i jego wielebność ksiądz Heydek najlepiej to umieją. Wiesz co, uciekajmy; już późno, dostalibyśmy oba po uszach, gdyby nas ojciec zastał.

Pogasili z wielką ostrożnością kaganki, przewietrzyli warsztat, by swąd knotów dymiących nie pozostał w szopie i nie zdradził nazajutrz niedozwolonych nocnych odwiedzin.

Mijały dni za dniami, podobne do siebie. Mistrz Wit szalał z gniewu o lada drobnostkę, to znów rad był wszystkim i wszystkiemu, a po godzinie znowu go złość ogarniała. Im dalej postępowała robota, tym dobre chwile pojawiały się częściej i trwały dłużej. Jakkolwiek Stwosz nie dowierzał własnym siłom i talentu swego nie cenił zbytnio, co jest zawsze cechą ludzi genialnych, jednak musiał widzieć, że dzieło stworzone przez niego jest potężne. To przeświadczenie równoważyło jego chwiejny, fantastyczny humor.

Obowiązkiem Wawrzusia, jako najmłodszego z uczniów, było sprzątanie warsztatu po skończonej robocie. Zmiatał wióry i trzaski do kąta, zgarniał je na wielką płachtę i odnosił na górę do pani majstrowej, na podpałkę w piecu. Miał także mieszek do odmuchiwania rzeźb z kurzu; gotowe zaś obrazy, odwrócone ku ścianie, jeszcze bywały szmatami okrywane.

Pewnego dnia pod wieczór właśnie był zajęty porządkowaniem, gdy ktoś drzwi pracowni otworzył i wszedł ksiądz Makary, gwardian bernardynów.

— *Laudetur Jesus Chistus*[405]!

— Na wieki wieków — odpowiedział chłopiec, nieświadomy łaciny, i pocałował ojca gwardiana w rękę.

[404] *coby* (gw.) — żeby.

[405] *Laudetur Jesus Chistus* (łac.) — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Nie ma nikogo? Oj szkoda; miałem pilną sprawę, myślałem, że jeszcze któregoś zastanę.

— Raczcie, wasza przewielebność, mnie dać zlecenie, a ja powtórzę, komu rozkażecie.

— Niech Jurek abo Krystek... a może Jacuś przyjdzie do klasztoru wolną godziną rozmówić się ze mną co do jasełek.

— Darujcie, wielebny ojcze, co to takiego?

— Nie wiesz? To są małe drewniane osóbki wyrobione na podobieństwo Najświętszej Panienki, świętego Józefa, Dzieciątka Jezus w żłóbku; potem pasterze z darami, wół — i osioł do stajenki, wszystko pięknie wyrzezane z drzewa i farbami powleczone, coby jak najpodobniej wyglądało. Podczas świąt Bożego Narodzenia ustawia się te figurki w bocznej kaplicy i po nieszporach schodzą się ludzie przypatrować[406] jasełkom, przy czym braciszkowie nasi kolędują, a naród uczy się tych pieśni, słuchając, i potem doma[407], zamiast bezecnych śpiewek, grzesznych rozmów i pijaństwa, śpiewają sobie wieczorami o Maryi i Dzieciątku.

Wawrzusiowi aż się oczy zaiskrzyły.

— A to... proszę waszej wielebności... może bym ja...

— Cóż ty?

— Ja bym zdolił zrobić takie osóbki.

— Idźże idź; aniś jeszcze od ziemi nie odrósł; tobie miotła i mieszek do kurzu, a nie dłuto. Chyba na śmiech ludziom, a nie ku Bożej chwale.

— Czekajcież... pokażę wam coś.

Pobiegł do kącika, gdzie miał złożone swoje narzędzia, i wyciągnął spod szmatki dwa aniołki w locie, trzymające tkaninę ułożoną w kształcie baldachimu.

— No to, to rozumiem. Kto takie śliczności urobił, temu jasełka nie dziwne. Powiedzże mu, niech do mnie przyjdzie w niedzielę, to sobie dokładnie obliczymy, ilu pasterzy, jacy mają być trzej królowie, jednym słowem, trza się umówić. Pewno Jacuś, bo go mistrz chwalił raz przede mną.

— E, coby ta czekać niedzieli; ugadajmy[408] se wszystko choćby i dziś — odparł Wawrzuś i wyszczerzył zęby w rozradowaniu wielkim.

— Szkoda czasu mitrężyć z głuptakiem; mówię ci, niech tamten przyjdzie w niedzielę.

— Ano, wola wasza; mam czas, to przyjdę i w niedzielę.

— Drwiny se robisz z duchownej osoby, zuchwalcu jeden!

— O Jezu... jakoż inaczej mam gadać? Dy[409] ja rzezałem te aniołki; mają ulatować[410] nad Panem Jezusem malućkim[411], gdy Panna Maryja klęczy przed ołtarzem w świątyni.

— Nie może to być!

— Oj, gdyby ojciec Szymon żył, toby poświadczył za mną. Zresztą, jak nie wierzycie, to zapytajcie samego mistrza.

— No, no, sam nie wiem, co o tym mniemać.

— Także wam się to dziwne zdaje? Czwarty rok dobiega, jak się tu uczę. Co bym za matoł był, gdybym do tej pory ino do zamiatania wiórów był dobry.

---

[406] *przypatrować się* (gw.) — dziś popr.: przypatrywać się.
[407] *doma* (gw.) — w domu.
[408] *ugadać* (gw.) — umówić.
[409] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[410] *ulatować* (gw.) — unosić się, latać.
[411] *malućki* (gw.) — maleńki.

— Dziękujże co dzień Panu Jezusowi, Matce Najświętszej i swemu patronowi, bo to ich niezmierna łaska, nie twoja zasługa, że masz taki zmysł w palcach. Tedy wyrzezaj ze dwóch pastuszków na próbę i przynieś mi pokazać. A może nie wolno? Tyle tu macie roboty; jakoż będziesz tracił czas, gdy masz inszą powinność?

— Ani mi to w myśli nawet! Dzień do mistrza należy, to się rozumie; ale wieczory moje. Zresztą, jak się boicie, to poproszę. Mistrz nawet przykazuje, abym se wolnym czasem rękę wprawiał i rzezał, co mi do głowy przyjdzie. Pewno i wasze jasełka pilne, to się będę kwapił[412], co ino zdolę.

— Słuchajże, co ma być: dwunastu pastuszków, starszych i młodszych, Przenajświętsza Rodzina, trzej królowie, wół, osioł, podarunki dla Dzieciątka, i co ci się zdawać będzie ku ozdobie; czy jakie drzewko, czy zwierzę, jednym słowem, piękne jasełka. Pomyśl, rozważ, obrachuj, a w niedzielę przyjdziesz mi powiedzieć, jakiej zapłaty żądasz za tę robotę.

— O, przewielebny ojcze... gdzieżbym ja za pieniądze! Jak żywo jednego grosza nie chcę. Gadaliście tylko co, że mam Panu Jezusowi dziękować; słowami nie zdolę, bom głupi, niechże te jasełka za podziękę staną. Jedna ino rzecz będzie was kosztować: pomalowanie, i gdzieby koniecznie trzeba było, wyzłocenie. Na ten przykład ubiory i korony trzech królów. Tego ja nie umiem, i to by może zrobił Stanko.

— Pogadaj z nim, a co się będzie należało, zapłacę.

JASIEK

„Panu Jezusowi za darmo". — Pan Świrenkowicz z Wilna. — Arcydzieło Wawrzusia. — „Skrzypi wóz, wielki mróz". — Ręka rękę... łapie. — Dole i niedole Jaśka z Poręby. — Straszne spotkanie. — Przez okienko do miasta.

— Proszę waszej wielmożności...

— Czego chcesz??

— Był tu wczoraj pod wieczór ojciec gwardian.

— Jaki gwardian?

— Ojciec Makary od bernardynów.

— No i co?

— No i... — Wawrzuś wspiął się na palcach i pocałował w kolano Stwosza stojącego na schodkach przy świętym Bartłomieju.

— Do mnie miał sprawę? Czego chciał?

— E... nie do was, ino do mnie; kazał rzezać jasełka.

— Gadajże jasno, bo nieskładnie pleciesz; nie wiem, o co chodzi.

— Jedno za drugim gadam, tak jak było. Ojcu gwardianowi trza[413] jasełek na Boże Narodzenie; przychodził do warsztatu popytać się, czyby mu który z nas nie zrobił. Ja obiecałem, ino kazał was pytać, czy pozwolicie.

Jurek, siedzący nie opodal, słyszał każde słowo i złość go chwyciła, że najmłodszy w warsztacie zdmuchnął mu zarobek sprzed nosa. Zerwał się z ławy i poskoczył ku Stwoszowi. Chciwość, Poświęcenie

— Chyba nie dopuścicie, mistrzu, aby głupi terminator[414], co ani dłuta porządnego nie udźwignie, przyjmował zamówienie na robotę, która po sprawiedliwości czeladnikowi się patrzy. Takie to małe, a takie chciwe. Aż wstyd dla warsztatu mistrza Wita.

Stwoszowi nabiegły krwią żyły na skroniach.

[412] *kwapić się* — spieszyć się.

[413] *trza* (gw.) — trzeba.

[414] *terminator* — uczeń a. pomocnik w warsztacie rzemieślnika.

— Milcz... Zali[415] w moim domu ja panem abo[416] ty? Jeszczem słowa nie przemówił, a ty się będziesz odzywał i rozsądzał, co jest ze wstydem dla mistrza Wita? Wawrzek... powiadaj, jak dalej było.

— Ano, nijak już więcej nie było, ino chodzi ojcu gwardianowi, cobyście nie swarzyli[417].

— Nie tylko nie będę swarzył, ale nawet zwalniam cię od inszej roboty, abyś miał czas rzetelnie się zająć zamówieniem i na porę jasełka wykończyć. Ileż ci ojciec gwardian zapłaci za one osóbki?

— Nic.

— Jak to nic?

— Ano chciał płacić, alem go w rękę pocałował i prosiłem, żeby tę pierwszą robotę, co będzie cała moja własna, przyjął za darmo. Panu Jezusowi w stajence narodzonemu na chwałę. Gadałem, co drzewa musi mi kupić, bo sam nie mam za co, i pomalować ani pozłocić nie zdolę, niechby się ze Stankiem rozmówił.

Wit Stwosz położył rękę na głowie chłopca z ojcowską pieszczotą, na Jurka zaś spojrzał surowo i rzekł:

— Mniemam, że jeśli ma być w moim warsztacie chciwy, to chyba kto inszy, nie to dziecko. — I znowu łagodnym głosem przemówił do Wawrzusia: — Wyszukaj sobie na podwórzu klocków, jakich ci będzie trzeba; dajesz ty robotę Panu Jezusowi, niechże ma ode mnie drzewo w podarunku.

— A ja pomaluję i wyzłocę za darmo! — krzyknął Stach, wyskakując z pędzlem ze swego kąta. — Ino się postaraj, pastuszków pięknych wyrób, świętego Józefa...

— Ach, mój Boże... jaki ja głupi! Dy ja w żaden sposób nie utrafię malućkiego Dzieciątka ani Najświętszej Panienki.

— Weźże sobie obraz Narodzenia Pańskiego — rzekł Stwosz — ten z wierzchu, co ich trzy przy ścianie sparte, i wyrzezaj na podobieństwo, a ja ci jeszcze sam poprawię, jakbyś sobie nie mógł dać rady.

Uszczęśliwiony chłopiec wyskoczył na rusztowanie i przypadł do nóg Stwosza, całując jego kolana.

Od tej pory urósł jakby i spoważniał: robota jasełek nie była przecie zabawką dziecinną; jeżeli mu ją powierzono, a sam nawet mistrz nie bronił, owszem zachęcał, to chyba jest się czym cieszyć i z wiarą w siebie pracować z całych sił. Pana Jezusa w żłóbku i Maryję żywcem odrobił z wzoru danego mu przez Stwosza, a tak wiernie, że mistrz pokiwał tylko głową i nic już nie poprawiał. Ze świętym Józefem łatwiej mu poszło, a pastuszków rzeźbił literalnie[418] śpiewający[419]. Podawał im twarze czeladników mistrza Wita, a że i Stanka nie ominął, owszem, bardzo go zrobił podobnym, przeto i tamci nie mieli za co się obrażać. Jednego małego pastuszka nazwał Jaśkiem i posługując się główką robioną z pamięci przed czterema laty, palnął portret swego najmilszego druha z Poręby.

Trzej królowie za to zabili mu klina w głowę; bał się, że nie dość będą wspaniali i bogaci. Ale i w tym wypadku znalazł wzory w bocznych tablicach ołtarza. Właśnie gdy już wykończył wszystkie osoby i oddał Stankowi do pomalowania, już nawet z wołem i osłem się uwinął, Jurek i Paweł, najstarsi z czeladzi, odstawili do poprawki gotowy obraz adoracji trzech króli. Już się więc nie pytał nikogo ani narzekał, że nie potrafi, tylko czym prędzej odrobił Melchiora, Kaspra i Baltazara z najdrobniejszymi

[415] *zali* (daw.) — czy.
[416] *abo* (daw.) — albo; tu: czy.
[417] *swarzyć* (gw.) — gniewać się, krzyczeć.
[418] *literalnie* — dosłownie.
[419] *śpiewający* — dziś: śpiewająco, tj. doskonale, biegle.

szczegółami. Murzynowi, jako przynależy, mlecznobiałego konia sprawił, giermków, paziów, dworzan i pachołków nasypał jak z rękawa, by święci królowie z przepychem do stajenki zajechali, a przed Bożym niemowlątkiem kornie czołem uderzyli.

— Przyjrzyjcie się ino, matko — rzekł Stanko, przynosząc cichaczem kilka figurek do mieszkania rodziców — czyby kto uwierzył, że te śliczne osóbki to małego Wawrzka robota?

— Ojciec chwalił go nieraz, że zmyślny nad wiek — odparła pani Stwoszowa — ano, prawdziwie mówisz, wierzyć się nie chce. Ileż on ma lat, ten kunsztmistrz?

— Trzynaście kończy, ale drobno się trzyma; kto nie wie, dziesięciu by mu nie dał. Ojciec wielkie nadzieje w nim pokłada.

Jakoś w połowie grudnia Wawrzek z Wojtkiem, drugim terminatorem, zajechali tryumfalnie w dwoje wyładowanych taczek przed furtę oo. bernardynów. Brat Melchior musiał ich wpuścić ze wszystkim na krużganek, bo nadto zimno było wypakowywać figurki na ulicy i wnosić po jednej do klasztoru. Furtian pobiegł do ojca gwardiana spytać, gdzie te rzeczy mają być tymczasem złożone; a ksiądz Makary stoczył się ze schodów, pędzony srogą ciekawością, bowiem sam mistrz Wit zabronił mu półżartem zaglądać na robotę, zanim będzie ze wszystkim wykończona.

— Najlepiej od razu do kościoła i do kaplicy, gdzie ma być szopka — dysponował gwardian — kaplica i tak kratą zawarta, da się kukły pod ścianę aż do świętej Wilii, gdzie je na podwyższeniu ustawimy.

— O nie... proszę waszej przewielebności — odważnie zaprzeczył Wawrzuś — uczyńcie mi wielką łaskę, cobym ja sam własną ręką każde najmniejsze drewienko położył tam, gdzie mu być należy. Tego nikt dobrze nie zrobi, ino ten, co wszystko w swej głowie obmyślił.

— Ale owszem, poślę cię zawiadomić i pod twoje rozrządzenie się poddamy. No, ale pokaż, pokaż choć jedną osóbkę! Nie... to chyba Stanka robota? W cudze piórka stroisz się, chłopcze!

— Jako żywo! Niczego tu cudze dłuto nie tknęło, ino moje — gorąco wykrzyknął Wawrzuś. — Li[420] oczka Panu Jezusowi mistrz sam poprawił, bo były za malućkie i przymknięte, jakoby Dzieciątko spało. Mistrz powiedzieli, że cale zwyczajne dziecko nie usnęłoby w tym gwarze i śpiewaniu, a nie dopiero Boski Syn.

Za powrotem do domu zetknęli się chłopcy w sieni ze strojnie odzianym niemłodym człowiekiem, a ten ich o mistrza Wita pytał.

— Jest we warsztacie — odpowiedział Wawrzuś.

— Prowadźcie mnie, bom ja tu pierwszy raz.

Weszli.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki — odparł Stwosz, nie przerywając pracy; ale spojrzawszy na gościa, rzucił pośpiesznie dłuto i z rozweseloną twarzą postąpił ku niemu.

— Czy mnie oczy mylą? Jego miłość pan Andrzej Świrenkowicz! Witajcie, witajcie! dawno w Krakowie?

— Gdzie dawno! — przeciągając z litewska, odpowiedział przybyły. — Taże rozstawnymi końmi[421] z Wilna gonię; gnatów się człek nie dorachuje... Wczoraj wieczór

[420] *li* (daw.) — tylko, jedynie.

[421] *rozstawnymi końmi* — metoda podróżowania, polegająca na przesiadaniu się na świeże, niezmęczone konie, rozmieszczone uprzednio w karczmach lub innych punktach na trasie.

zajechałem, dziś gwoli[422] rozkazania najmiłościwszego królewicza do was się kwapię[423], nawet uczciwie śniadać[424] nie pośpiałem[425].

— Cóż za sprawa tak nagła? — spytał Stwosz z uśmiechem.

— I nagła, i ważna zaiste — odpowiedział pan Andrzej poważnie. — Spraszałbym[426] się ja od tej posługi jego królewiczowskiej miłości, bom już w leciech[427] i nie pilno mi zdrowia tyrać, gdyby właśnie o najdroższe nam życie książęcia Kazimierza[428] nie chodziło.

— Zaciekawiacie mię[429] srodze — rzekł Stwosz — powiadajcież.

— Tedy rozpocznę *ab ovo*[430]. Jego królewiczowska mość niedomaga już od dłuższego czasu, lecz się słabości nie poddawa[431], zwłaszcza w modlitwach a postach, a rannych nabożeństwach pilnie trwając. Zrazu i my dworzanie mało sobie ważyliśmy owe mdłości, brak smaku do jadła i inne symptomata[432], nawet nadworny medyk ino[433] mu ziółka jakoweś warzył na wzmocnienie. Gdy wszakoż chorość nie ustępuje, sił z każdym dniem ubywa, najmilościwszy kniaź spadł z ciała[434] i bladość śmiertelną w twarzy nosi, lęk nas ogarnął niezmierny. Zebraliśmy się dworzanie *in gremia*[435], i ostro do medyka, co sobie myśli, że książęcej osobie w naszych oczach ginąć pozwala. Gada ano, co raił[436] skuteczne leki najmiłościwszemu królewiczowi, tenże je z gniewem odrzucił[437]. Tak my znowuż hurmem do księdza jałmużnika. Rada w radę stanęło, że cały dwór, począwszy od podkomorzego a skończywszy na ostatnim kuchciku, złoży się, na co kogo stać, i sprawimy *votum*[438] na intencję umiłowanego kniazia. Jako się przynależy, wysłaliśmy księdza w deputacji, czy jego królewiczowska mość zezwoli na ten uczynek. Odpowiedział, że śmierć go nie trwoży, owszem, za łaskę największą u Boga sobie poczyta, jeśli go w młodym wieku raczy wziąć z tego świata, a nie dopuści, by Jego Majestat jakowym ciężkim grzechem obraził. Życzeniu jednak naszemu cale się nie sprzeciwia, owszem, i sam się do onego *votum* przyłożył, z tym atoli zastrzeżeniem, by się tak stało, jako jest z największym pożytkiem dla jego duszy. Tu się kończy pierwsza część, jakoby *prologos* tej ważnej sprawy, którą nie na co inszego opowiedziałem, ino ku wyrozumieniu całości.

— A dalej? — pytał Stwosz.

— Ta, cożeż długo rozpowiadać? Ołtarz fundujem do prywatnej kaplicy najmiłościwszego królewicza, a wy go, ma się rozumieć, wykonacie.

Mistrz Wit zerwał się z ławy i chwycił się oburącz za głowę.

---

[422] *gwoli* (daw.) — z powodu, zgodnie z.

[423] *kwapić się* — spieszyć się.

[424] *śniadać* (daw.) — zjeść śniadanie.

[425] *pośpieć* — pospieszyć się, zdążyć.

[426] *spraszać się* — odmówić, wykręcić się.

[427] *w leciech* (daw.) — dziś popr. forma Ms. lm: w latach; tj. stary.

[428] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

[429] *mię* — dziś popr.: mnie.

[430] *ab ovo* (łac., dosł.: od jaja) — od początku.

[431] *poddawa się* — dziś popr. forma 3.os. lp cz.ter.: poddaje się.

[432] *symptomata* (łac.) — objawy.

[433] *ino* (gw.) — tylko.

[434] *spaść z ciała* — schudnąć.

[435] *in gremia* (łac.) — zbiorowo, wszyscy razem.

[436] *raić* — radzić, polecać.

[437] *tenże je z gniewem odrzucił…* — *Żywoty Świętych* Piotra Skargi.

[438] *votum* (łac.: ofiara, dar, obietnica) — nabożeństwo błagalne.

— Człowiecze... zdrajco... wolej[439] mi kamień młyński u szyi uwiążcie i na dno morza wrzućcie! Czyż nie wiecie, jaką robotę nad siły niemal podjąłem i ta mi pierwsza nad wszystko! Hańbą się okryję, gdy na czas ołtarza mariackiego nie wykończę. Krótkie lata ptakiem zlecą, a ledwie trzecia część gotowa.

Mówiąc te słowa, biegał po pracowni i targał się za brodę. A pan Andrzej podchwycił tylko jedno zdanie i powtórzył je.

— Nad wszystko wam pierwsza ta robota? Nawet nad życie królewicza Kazimierza? Niech mnie kołem łamią, jeżeliście nie zełgali, mistrzu Wicie!

Stwosz stanął, przeciągnął ręką po twarzy i spytał ze złością:

— Cóż ma być w onym ołtarzu? A raczej, jakiż mieć chcecie?

— Nu, ta czego się tu było siepać[440]? Wiedziałem, że mi nie odmówicie. Ma być szafka; nieduża, nieduża. Czego skaczecie nade mną jak ten kat? Szafka, powiadam, pół wielkości człowieka; w pośrodku Matka Boża z Dzieciątkiem.

— Stać ma czy siedzieć?

— W stojącej postaci wolelibyśmy.

— Szczęście wasze; mam ich tu z pięć w pracowni, wybiorę najlepszą. No, a potem co?

— W bocznych skrzydłach archaniołowie Michał i Gabriel, a gdyby można, i małych aniołków kilka.

— Co uznam za konieczne do ozdobienia ołtarza, dodam bez waszej rady — mruknął Stwosz niechętnie; a pan Świrenkowicz, uszczęśliwiony, że dopiął swego, miał się ku odejściu, by swym widokiem nie drażnić niepotrzebnie mistrza. Wyciągnął doń rękę i rzekł nieśmiało:

— Królewic bardzo chory...

— Na pierwsze dni lutego wykończę, nie wcześniej.

— Ostańcie z Panem Jezusem.

— Odejdźcie z Bogiem.

Pan Świrenkowicz odszedł, a Stwosz zawołał natychmiast chłopaków, by mu wyszukali i przynieśli wszystkie posążki Matki Boskiej, jakie były w pracowni. Oglądał, mruczał, ruszał ramionami, przykładał miarę i notował coś kredą na czarnej tabliczce, wreszcie wybrał jedną figurę i zaraz ją dał Stankowi do pomalowania i wyzłocenia.

Brat Melchior zapowiadał każdemu, co w jakimkolwiek interesie przychodził do klasztoru, że w tym roku będą przedstawienia jasełkowe w kaplicy świętej Anny, począwszy od pierwszego dnia Bożego Narodzenia aż po koniec stycznia, we wszystkie niedziele i święta po nieszporach[441]; przy czym dodawał z tajemniczą miną:

— Cale[442] nowe kukiełki; jeszcze tak pięknych Kraków nie widział.

Już 23 grudnia rano posłano po Wawrzusia, który też jednym tchem biegł z Poselskiej do bernardynów, jakby się paliło. I dobrze ksiądz gwardian uczynił, że chłopcu wolną rękę zostawił, bo tak zgrabnie jak Wawrzuś w stajence Świętą Rodzinę umieścił i pastuszków, jakoby na wyścigi bieżących z darami, malowniczo porozrzucał, nikt z braci nie byłby w żadnej mierze potrafił.

Tłumy pobożnych i niepobożnych cisnęły się co święto w lewej nawie kościoła, której zakończeniem właśnie była kaplica świętej Anny. W samych drzwiach kaplicy, na drewnianym rusztowaniu osłonionym jaskrawymi kobierczykami, wśród zieleni żywych świerczków i jodełek, przez księdza podkustoszego z Tyńca przysłanych, szarzała uboga stajenka, niedbale z deszczułek sklecona i słomianą dziurawą strzechą

[439] *wolej* (daw.) — lepiej, raczej.
[440] *siepać* (gw.) — złościć się, krzyczeć.
[441] *nieszpory* — śpiewane nabożeństwo wieczorne.
[442] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

pokryta. Jednej połowy bramy wcale nie było, druga wisiała krzywo na zepsutej zawiasie[443]. U samego niemal wejścia, by widzowie mogli się dobrze napatrzyć, stał na ziemi żłóbek siankiem wysłany, w nim Dzieciątko szmatkami owinięte. Z lewej Najświętsza Panna pochylona, ze złożonymi rękoma, z prawej święty Józef u drzwi stojący, jakby miał wyjrzeć, co za kroki i głosy coraz się zbliżają. W głębi wół i osioł na klęczkach, według słów kolędy, oddechem swym zziębłe niemowlątko ogrzewały. Nie dwunastu, jak żądał ojciec gwardian, ale ze dwudziestu pasterzy biegnie powitać Mesjasza, a każdy z podarunkiem w rękach. Są tam bochenki chleba i jaja w kobiałkach, jabłka, orzechy, kiełbasy, kurczęta; jeden pastuszek pędzi przed sobą prosiątko uwiązane na powrózku za tylną nogę, aż dziwo, że głośno nie kwiczy, bo wygląda jak żywe.

Poza szopką, ukryci za choinami braciszkowie klasztorni i żacy szkolni kolędują pięknie; jest na co patrzeć, jest czego posłuchać.

Ten obraz trwał do szóstego stycznia, w którym to dniu usunięto pastuszków, a na ich miejsce zjechali tłumnie i szumnie trzej królowie monarchowie.

Od samego początku, od pierwszego dnia, Wawrzuś nie opuścił ani jednego przedstawienia. Sam nie wiedział, co się z nim działo; taki jakiś był dumny, pyszny, aż go wstyd ogarniał. Ukrywał jak najusilniej te brzydkie uczucia, ale choć nikt nie zauważył ani się domyślił hardości Wawrzusiowej, ona siedziała w głębi serca i nie chciała ustąpić. Toż te wszystkie śliczne osóbki, które się tak bardzo ludziom podobały, on zrobił, on, nie kto inny!

W samo święto Trzech Króli, wmieszany jak zwykle w tłumie, słuchał uwag i żartów, wtrącał się do rozmowy, wszędzie go było pełno.

— Dwóch ino królów widzę. Gdzież trzeci? — spytała młoda wysoka mieszczka, bogato strojna, drugiej starszej, również złotymi łańcuchami obwieszonej, w prześlicznym czepcu, misternie perłami szytym.

— A stoi na samym przedzie i hełmu przed Paniątkiem uchyla.

— Co? Ten Murzyn obmierzły[444]? Zębiska wyszczerzył... Ja zrozumiałam, że to sługa którego z tamtych.

— Ale! Nie widzicie to, że koronę ma złotą na hełmie i zbroicę takoż wyzłacaną? Król jest, ino czarny.

— Prawda, prawda, nawet w pieśni stoi, że „Kasper z gorącego jechał kraju".

— Ano, widzicie — wmieszał się do rozmowy poważny jakiś człek, w sutej kierei[445], lisami podbitej. — Zbawiciel najmiłosierniejszy dopuszcza do siebie wszelakie stany i ludy, przygarnia nędzarza i koronata, — nie czarną skórą się brzydzi, ino czarną duszą.

— Słusznie mówicie, panie Marcinie; wasze słowa niczym kazanie ojca Bonifacego.

— Matusiu... a tenże śmieszny pachołek, cudacznie przybrany, to kto?

— Ten w czapie z dzwonkami? Toli błazen; przywlókł się i on w orszaku któregoś z monarchów.

— Także robota! — bąknął Wawrzuś półgłosem — co tu ma błazen przed obliczność Pańską?

— Ot, głupie gadanie głupca znamionuje — skarcił go pan Marcin — widzisz przecie, co tu za tłum dworzan, jakie konie, giermkowie... nawet tam dalej wóz wyładowany stoi. Z daleka idą, to se też pobrali wszystko, co chcieli, ku potrzebie; tedy

[443] *zawiasa* — dziś: zawias; *na zepsutej zawiasie* — dziś: na zepsutym zawiasie.
[444] *obmierzły* (czyt.: obmier-zły) — wstrętny.
[445] *kiereja* (daw.) — płaszcz ocieplany futrem.

błazny dla zabawki być muszą. Sprawny i roztropny był, co te śliczne osoby i królewskie orszaki rzezał, o niczym nie zabaczył.

— Ee... — ruszając ramionami, drwił Wawrzuś — co mi to za cuda! Ino bym palcem ruszył, jak raz takie same potrafię, jeszcze i piękniejsze.

— Dziękuj Bogu, że święte miejsce; gdyby nie kościół, sprałbym cię za takie zarozumialstwo, ażbyś rok popamiętał.

Spoza szopki chór młodych głosów śpiewał wesoło nutę:

Święci trzej królowie,
Od wschodu mędrcowie
Idą witać Pana,
Przed Nim na kolana
Padają.
Skarby ofiarują,
Miłość okazują.
Siebie z poddanymi
Narodami swymi
Wyznają.

— Kukły, jak kukły — podśmiewał się dalej Wawrzuś — terminator je robił, tyli co i ja.

— Im puściej w głowie, tym szumniej w mowie. Dy[446] słyszałem od kumotra, co wpodle mistrza Witowej kamienicy mieszka, że całe te jasełka nie kilku, nie dwóch, ino jeden rzezał, umiłowany uczeń mistrza Stwosza, którego on za oko w głowie sobie ceni.

Wawrzuś urósł w dumie i radości. „Umiłowany uczeń, oko w głowie, o Jezu... to ja!"

Chór żaków rozpoczął nową kolędę:

Skrzypi wóz — wielki mróz;
Wielki mróz — skrzypi wóz.
Trzej królowie jadą — złoto, mirrę kładą;
A komuż takiemu? — Dzieciątku małemu.
Cóż to za Dzieciątko? — Musi być Paniąlko,
Któremu królowie — służyli panowie...

Niektórzy z widzów łączyli swój głos z chórem, nuta jakby taneczna rozbrzmiewała po kościele, Boskiemu Dzieciątku na uciechę. Uwagi o szopce, jakiej naprawdę Kraków dotąd nie widział, ciągle się powtarzały; nie było jednego słowa przygany.

Gruba mieszczka w bursztynach zasłoniła widok Wawrzusiowi, czekał spokojnie, aż odejdzie lub się nieco usunie. Cóż to?... Czy dobrze widzi?... Może mu się zdaje?... Ręka opalona wysuwa się w ścisku powolutku, wysuwa się cicha jak wąż, palce sięgają skórzanej kaletki[447] wiszącej u pasa grubej niewiasty, otwierają guziczek, co torebkę zamyka... Tego już za wiele! Druga ręka, raczej rączka, ale pracą wyćwiczona, więc silna, skrada się za tamtą, porywa ją i zgniata jak żelazną obręczą. Złodziej drgnął... chce się wyrwać... uciekać... niesposób: twarda rączka trzyma niczym kleszcze. Cóż to znaczy? taki malec...

Złodziej, Spotkanie

[446] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[447] *kaletka* (daw.) — torebka.

— O matko... Wawrzuś! — wyrywa się okrzyk z ust schwytanego. Ludzie śpiewają kolędy, nikt nie słyszy.

— Wawrzuś... ulituj się... puść mnie!

— Co masz do mnie, złodzieju! — wzgardliwie odpowiada chłopiec i podnosi mimo woli oczy na wyrostka w baranim kożuszku.

— Jezu... Jasiek!

W jednej chwili staje mu przed oczyma Poręba, tatuś, matusia najsłodsza i ten Jasiek, ten Jasiek, towarzysz, przyjaciel, prawie brat!... Zaciska rękę jeszcze silniej, usta mu się krzywią obrzydzeniem, przez zęby wyrzuca z trudem jedno słowo:

— Pójdź...

I ciągnąc za sobą Jaśka, Wawrzuś przepycha się ku drzwiom kościelnym. Wyszli na plac pusty zupełnie, bo przedstawienie jeszcze nie skończone, więc się ludzie nie rozchodzą.

— Nie bój się, nie trzymaj mnie, ja ci nie ucieknę — odzywa się Jasiek cicho. — Czym się spodziewał, że cię w Krakowie napotkam!

— Wolej bym cię w życiu nigdy nie zobaczył, niźli tak... — odpowiada Wawrzuś gorzko. — O mój Boże... mój Boże... a ja cię tak co dzień wspominałem, tylem się napłakał za matusią i za tobą! Wstydno mi teraz, żem złodzieja miłował.

— Mójeś ty złoty, nie plwaj na mnie! Już mi ta nie doczyniaj... Toli w ziemię rad bym się zapaść. Widzi Pan Jezus nowonarodzony, że nie łżę.

— Co komu przyjdzie z takowego gadania? Wlazłeś w błoto, boś chciał...

— Żebym ci wszystko powiedział...

— To gadaj. Ano, czy zdolisz zaprzeczyć, żem cię złapał na bezecnym uczynku?

— Pójdźmy gdzie indziej; za chwilę zaczną się ludzie rozchodzić z kościoła.

— Gdzie pójdziemy?

— Chodźmy. Ino ulicę wszerz przebiec, zaraz bagniste łąki; tam pustkowie, nikt nam nie przeszkodzi.

Przeszli paręset kroków wzdłuż murów miejskich i zawrócili na prawo. Była to istotnie najbardziej odludna część przedmieścia. Przed nimi rozpościerała się grząska nizina, teraz pokryta grubym, puszystym śniegiem, spod którego gdzieniegdzie sterczały suche, sczerniałe badyle wodnych traw i trzciny. Mokradła te między wschodnią stroną miasta a „starym korytem Wisły zwały się łąką świętego Sebastiana, od kościółka, który tam stał na płaskim wzniesieniu, otoczony wiązami. Dalej ciągnęły się oparkanione składy drzewa, szopy na siano, sklecone jakby od niechcenia, mała opuszczona cegielnia, zaułki, gdzie tuliły się do siebie nędzne domostwa. W dali zaś widniał cmentarzyk, otoczony na wpół rozwalonym murem, i kapliczka świętej Gertrudy. Dziwnie ponure było to miejsce; bo też w owej kaplicy wystawiano ciała straconych złoczyńców i po egzekwiach grzebano je na owym cmentarzyku. Cała ta okolica podmiejska pospołu[448] z łąką świętego Sebastiana nosiła nazwę Brzegi.

Słońce zapadło poza miasto; na rozjarzonym niebie odcinały się czarno szczyty kościołów, wieże, baszty i mury Krakowa, ponad którym górował z jednej strony strzelisty gród wawelski, z drugiej wieżyca mariacka.

Chłopcy szli w milczeniu; pod ich nogami chrupiał śnieg. Wydłużone cienie ich postaci i starych garbatych wierzb siniały na śnieżnej równinie, zaróżowionej łuną zachodu.

Wawrzuś przystanął.

— Co masz gadać, to gadaj — rzekł szorstko. — Ani ci bieda, ani ci głód; kożuch masz pański, buty nowe i gębę czerwoną. Kto ci kazuje[449] kraść?

[448] *pospołu* — razem.

[449] *kazować* (gw.) — kazać; *kazuje* — dziś popr. forma 3.os. lp cz.ter.: każe.

— Właśnie takeś powiedział i tak jest: służę u pana, co mnie przymusza do złodziejstwa.

— To go rzuć. Jednej godziny ci u niego nie być.

— Juści[450]; tak się da łacno powiedzieć, a ruszyć się odeń nie mogę. Posłuchaj mnie, Wawrzek, cierpliwie, opowiem ci wszystko po porządku.

— Ady[451] nie można być cierpliwszym, skorom tu przyszedł z tobą. Gadaj.

— Jakoś w zimie, tego roku, coś to uciekł z Poręby...

— Nie uciekałem cale[452], inom się zgubił w puszczy, a potem... no, niechta; więc?

— Więc onej zimy matusia pomarli.

— Jezus, Maryja! Moja złocista matusia!

— Ale nie twoja, moja.

Wawrzuś odetchnął ciężko.

— No i co?

— No i na wielkanocne święta już macocha była w domu. Z początku, jakieś parę tygodni, nie zważała na mnie; buchnęła w kark o lada co, ale to wspominku nie warte. Później ano, jak się rozpanowała w chałupie, tak od rana do nocy tatusiowi głowę klektała, coby mnie dać do służby abo do terminu. Dla świętej zgody zaprowadzili mnie tatuś do Mirowa i dali do kowala.

— Takiego małego?

— Jakże? Dy przeszło dwa roki[453] starszym od ciebie; juzem wtedy dziesięć był skończył. Co prawda, siły wielkiej nie miałem, kowal bił, czeladź szturchała, uciekłem do domu. Nie na wiele się zdało, macocha znowu swoje. A cobym już nie wracał, sama wyszukała mi służbę, daleko, aże[454] w Łobzowie[455], u wójta. Tamem krowy pasał bez[456] rok. Dobrego pana miałem, głodu nie było, przyodziewa[457] była, złego słowa mi nie powiedział. Ale mi się cnęło[458] za czym lepszym. Jechali gospodarze z Poręby do Krakowa na odpust, od nich się dowiedziałem, co i tatuś poszli na tamten świat, a macocha całą puściznę zagarnęła dla swego synka. Już mi nie wracać do dom — myślę se — już tam nic po mnie. Podziękowałem od Nowego Roku wójtowi i poszedłem do Niegoszowic. Wzięli mnie do stajni; byłem tam blisko trzy roki. Od małego do większego, nauczyłem się sprawnie powozić. Pan miecznik był młody, żona też, często jeździli w sąsiedztwo abo do Krakowa; lubili, cobym ich woził, bo zawdy[459] młode do młodego ciągnie, a siwy Łukasz jakoś im nie tak wygodził jako ja. Sprawili mi białą sukmankę, czapkę z pawimi piórami i tak my sobie jeździli choć dwa razy w tygodniu. Jak pan był dobrej myśli, to mi często rzucił kilka denarów[460] abo i cały czeski, pani też nieraz obdarzyła, gościowi się konia podprowadziło, znowu co wpadło do garści, a na Nowy Rok zasługa; wszystkom se składał do szmatki i pod siennikiem trzymał.

— Widzisz, chciwość zawdy na zły koniec przywodzi.

— A nie. Chciałem se uskładać i choć za jakie długie lata kupić se gruntu gdzie na wsi i kmieciem wolnym być jako i tatuś. Ano, pojechali my znowu raz do Krako-

---

[450] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.
[451] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.
[452] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.
[453] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.
[454] *aże* (daw.) — aż.
[455] *Łobzów* — dziś dzielnica Krakowa, wówczas wieś pod miastem.
[456] *bez* (gw.) — przez.
[457] *przyodziewa* — ubranie, odzież.
[458] *cnić się* — tęsknić.
[459] *zawdy* (daw.) — zawsze.
[460] *denar* — najdrobniejsza moneta w czasach Jagiellonów.

wa na jakiejsi starościanki wesele. Umyłem kolebkę jak się patrzy, koniem obrządził — i na miasto. Walę od razu do Sukiennic, bo tam kramy bogate, jest na co oczy wypatrować. Chodzę, chodzę, aliści podsuwa się do mnie jakiś człek dostatnio ubrany i zaczyna pogwarkę. „A skąd, a po co, a na długo do Krakowa?" Grzeczny był, mowny, szliśmy razem od kramu do kramu. Wreszcie gada, co mu się strasznie pić chce, i pociągnął mnie za sobą do miodowni. Rozpowiada, że kupcem jest, ale nie zwykłym kramarzem, ino jeździ do Gdańska, do Moskwy, nawet do Carogrodu po towary i te wielkimi pakami na furach od miasta do miasta wozi i pomniejszym handlarzom z dobrym zarobkiem odstępuje. W ten sposób z jednego grosza ma czasem dziesięć i spodziewa się na starość wieść spokojny żywot w dostatkach. — Mój Boże — myślę se — i świata dalekiego się napatrzy, i majętności uciuła, a ja co? Parobek do koni, sierota, bez własnego dachu nad głową. — I tak jakoś przy miodzie rozpowiedziałem mu wszystko, co miałem na sercu, nie skrywając, że chcę być kiedyś wiejskim gospodarzem. Ośmiał się ze mnie jak z dziecka i gada: „Ani za pięćdziesiąt lat nie złożysz tyle, ile trza na ziemi kawał; starym dziadem będziesz, a nie gospodarzem. Ja bym wiedział lepszy i prędszy sposób". — „A jaki? Powiedzcież mi, zlitujcie się!" —„Przystań do mnie; na początek w domu się przydasz do usług, a i tak cię lepiej zapłacę niż ten twój pan miecznik. Później, jak poznam, żeś sprawny i rozgarniony, to i w drogę cię wezmę, i handlować nauczę. Czasem, jak dobrze pójdzie, to w jednym roku zarobisz tyle, co w służbie za dwadzieścia lat". I tak gadał, gadał, a mnie aż coś szarpało do onego prędkiego zarobku. Ugodziliśmy się przez pół[461], bo nie wiedziałem, czy mnie mój pan ze służby zwolni. Poszedł ze mną do dworca pana miecznikowego i w sieni czekał, jaką odpowiedź przyniosę.

— Bodaj go była ziemia pochłonęła owej godziny! — zaklął Wawrzuś.

— Pan miecznik był ludzki i cale[462] niesrogi; wyrozumiawszy, że mnie kupiec chce brać do terminu, nie przeciwił się temu i po owym weselu musiałem jeszcze tylko odwieźć państwa do domu. Za jedną drogą zabrałem swoje łachy i szmacinę z pieniędzmi. Mego nowego pana łatwo znalazłem, bo kazał pytać w tej samej gospodzie, gdzieśmy raz byli, o Hincza Bartnika. Prawie co dzień pod wieczór zwykł był tam chadzać na kubek.

— Jakże, nie połapałeś się od razu, że to rzezimieszek szkaradny? — przerwał mu opowiadanie Wawrzuś.

— Nigdy w świecie nie byłbym wyrozumiał z początku, co on za jeden. Twarz miał co prawda niemiłą i prosto w oczy nie lubił patrzeć; alem się prędko z tym oswoił i nic mi nie wadziło, że ponuro poglądał. Z początku, jako mi zapowiedział, inom był do posług. Izby zamiatałem, w piecum palił, żur albo kluski na śniadanie warzył, buty i przyodziewę czyścił. W południe szliśmy se oba do gospody na obiad. Parę razy pan wyjeżdżał z domu na kilka lub kilkanaście dni, wtedy mi sute strawne[463] zostawiał, wszystkie izby prócz kuchni na kłódki zamykał, a i tak upominał, żebym się nie włóczył po mieście, ino domu strzegł, bo o złodziei nietrudno. Drzwi od ulicy także na dwa spusty zamykał i żelaznym drągiem zasuwał, ino mi klucz od podwórzowej furtki zostawiał. Okna gęsto zakratowane, siedziałem jako w twierdzy. Musi mieć różne drogości i złote pieniądze, kiej się tak boi — myślałem. Namówił mnie, cobym i swój oszczędzony grosik dał mu do przechowania; odświętną przyodziewę także mi zamknął do komory, żeby prochem nie przepadała, anim się opatrzył, już mi wszystko zabrał, inom to miał, co na sobie. Po jakimś czasie zaczęła się nauka. Dziwuję się

[461] *przez pół* — połowicznie, nie na pewno.
[462] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.
[463] *strawne* (daw.) — pieniądze na jedzenie.

dzisiaj, co mię[464] zaślepiło, żem nie odgadł, jakie to było terminowanie; wtedym się ino śmiał i niczego nie rozumiał.

— Cóż ci kazał robić? — spytał Wawrzuś.

Nauka, Złodziej, Pozory

— Kazał mi znieść ze strychu kukłę wielką, na podobieństwo człowieka urobioną i przyodzianą. Kaletek, torebek było na niej z dziesięć, a po całym kubraku ponawieszane dzwoneczki. Do każdej kieszeni wkładał denary i kazał mi je wyjmować ostrożnie, coby którego dzwoneczka nie potrącić. „Jak się zręcznie sprawisz — powiada — grosiki twoje; zadzwoni dzwonek, pójdziesz spać o głodzie". Długom się nie mógł nauczyć; inom dotknął onego cudaka, oho, juści wszystkie dzwonki dyndały na larum[465]; pan łajał i wieczerzy nie dawał. Ale też uciechy było, uciechy, jak dobrze poszło! I coraz częściej szło dobrze, aż po jakich dwóch miesiącach tom ci wypróżniał kaletki jedną za drugą, a bałwan[466] cicho stał, ani jęknął. Klnę ci się na rodzicielów... ani mi przez myśl nie przeszło, co to wszystko ma znaczyć. Mniemałem, że ot taka sztuka, na pokaz ludziom. Ani jednego dnia mi nie przepuścił, abym wprawy nie stracił. Któregoś wieczora każe mi się pan ubierać i iść za sobą. Ucieszyłem się; Bogiem a prawdą, cnęło mi się strasznie za jaką odmianą. Dosyć dalekośmy szli, aż stanęli przy jakimś wysokim murze. W murze była furtka; pan wyjął z kieszeni pęk kluczy, ale ze siedem próbował, zanim się udało. Ciemno — myślę se — nie może znaleźć dobrego. Patrzcie, ludzie, co za bogacz, jaki to ogród ma okrutny. Weszliśmy po cichu, piękny dworzec wśród drzew, ale ciemno. „Stój tu — mówi do mnie — poglądaj i nasłuchuj, a gdyby kto szedł wedle domu, to gwizdnij ostro".

— Będziesz może gadał, co i wtenczas nie rozumiałeś, że to złodziej, szubienicznik? — z gniewem krzyknął Wawrzuś.

— Jak Pana Boga miłuję, nie rozumiałem! Ale czekaj, niedługo już mojej głupoty. Postałem tak z godzinę, może krócej, ale mi się czas bardzo dłużył na onym czekaniu po ciemku. Wreszcie pan wyszedł z niedużym zawiniątkiem i dał mi je nieść za sobą. Ciężkie było i twarde, ledwiem dźwigał. Wróciwszy do domu, zasunął się w swojej izbie, a mnie kazał iść spać. Choćby mnie ciekawość brała wyjść na podwórze i oknem zaglądać, nic bym nie uwidział, bo dzień i noc grubą derą było zasłonione. Kilka razy powtórzyła się taka wyprawa, ma się rozumieć coraz to w inszej stronie: zawsześmy wracali szczęśliwie. Aż jednej nocy, będzie temu ze trzy tygodnie,

Złodziej, Sumienie

gdy tak stałem na straży, a deszcz ze śniegiem prószył gęsty, widzę, że się brama od ulicy otwiera, dwóch panów idzie rozmawiających głośno, za nimi pachołek. Jak ci nie gwizdnę co ino sił, umarły by usłyszał; ale stoję w miejscu i czekam na pana. Ani pół pacierza nie zeszło, leci ku mnie jak ten wicher, tłumoczek na ręce rzuca... „Biegaj do domu w te pędy!" — My obaj do furtki, za mur, zawróciłem się w swoją stronę, gnam cwałem, bo mi tak przecie kazał, aż tu wyraźnie słyszę: „Łapaj, łapaj... złodziej!" Jakby mi kto kosą nogi podciął, runąłem na ziemię. Matko Boska... święty Janie, patronie... u złodzieja służę! Złodziejskie łupy dźwigam! Pozbierałem się cały trzęsący i chciałem iść naprzeciw owych, co krzyczeli, oddać im skradzione rzeczy. Ale się widno gdzie indziej zawrócili, bo coraz ciszej głosy mnie dochodziły. Co robić? Zostawić tobół na ulicy, byle jaki dziad abo pijak porwie jak swoje. Odnieść do ratusza? Dy miejskie bramy pozamykane. Jutro rano zaniosę i powiem wszystko — rzekłem se w duchu i lżej mi się zrobiło. Przychodzę do domu, a pan przy drzwiach czeka na mnie. „Udało ci się? — gada —gracki chłopak; sowitą nagrodę dostaniesz". — I śmieje się łotr całą gębą. „Nie trza mi waszej nagrody! — wrzeszczę ze złością — ani mi palcem tykajcie tego tłumoka! Skoro świt idę z nim na ratusz". — „Jak

[464] *mię* — dziś popr.: mnie.
[465] *larum* (z łac.) — alarm.
[466] *bałwan* — tu: kukła, figura.

wola, jak wola — odpowiada i jeszcze lepiej się śmieje — a tymczasem wejdź do izby, nie musisz moknąć na deszczu". Co miałem robić! Wszedłem. Dopiero on mi gada, żem głupi jak dwuletnie dziecko. „Idź na ratusz, idź, synku. Ładnieś zrobił, żeś mi się przyznał. Niech cały dom do góry nogami przewrócą, jednego czerwieńca nie powąchają, jednego pierścionka nie najdą. Wszystko w bezpiecznym schowaniu. Sam się w ziemię zapadnę, zje diabła, kto mnie chyci. A ciebie, złodziejskiego pomocnika, wsadzą do lochu, za czym się sprawa rozjaśni. Posiedzisz tam rok albo dziesięć, różnie się zdarza; a panowie w trybunale mają setki spraw do sądzenia, łacno i zapomną takiej drobnostki, że tam jakiś psi syn czeka zmiłowania. Hincza Bartnika nie dostaną, ale Jasiek zgnije pod ziemią." Śmiał się, ino mu te zębce łyskały w gębie, a ja stałem i patrzyłem nań jak na samego diabła. „Nawet cię zamykać nie będę — gada — wolno ci chodzić do miasta, kiedy zechcesz, i wracać, kiej ci się podoba. Wydasz mnie, pójdę na hak[467], wiem o tym, ale skoro na sądzie opowiem, żeś u mnie służył, żeś z dobrej woli stróżował, jakem na robotę chadzał, żeś tłumoki za mną dźwigał a gwizdaniem o niebezpieczeństwie ostrzegał, to jakoż ci się zda, co z tobą zrobią? Może powieszą, a może się twej młodości ulitują i wsadzą do takiej ciemnicy, że do samej śmierci złotego słoneczka nie uwidzisz. A cobyś nie umknął, na łańcuszku cię do ściany przykują. Idź, synku, wydaj mnie, jeszcze ci sam drzwi otworzę". Już ci dalej nie powiem... co będę gadał! Teraz muszę spieszno do domu, czekać na pana, bo lada chwila powróci.

— To nie może być, żeby się na twoją biedę lekarstwo nie znalazło! — zawołał Wawrzuś.

Jasiek ruszył ramionami.

— Choćbym uciekał na kraj świata, i tam mnie dostanie. Podprowadź mnie, muszę już iść.

— Co? Na cmentarz pójdziemy?

— Bez mała — z gorzkim uśmiechem rzekł Jasiek. — Dworek Bartnika ustronny i zaciszny, a podwórze do cmentarnego muru przypiera. Uciekaj, mógłby nadejść; lepiej, żeby tu nikogo nie zastał. Zresztą, będą już miasto zamykać. Bierz się ku Nowej Bramie, bliżej ci niż do Grodzkiej.

— Chciałbym przyjść do ciebie.

— Co dzień z południa siedzę w domu sam.

— Dobrze.

— Dobranoc.

Wawrzuś pośpieszył ku Nowej Bramie, a po drodze rozmyślał, jakby tu wyrwać nieszczęśliwego przyjaciela z rąk zbrodniarza.

Śpiewy, krzyki, śmiechy, głos piszczałek i bicie w bęben wyrwały go z zadumy. Parobeczek z gwiazdą na przedzie, za nim trzej królowie w pozłacanych koronach i jaskrawych szmatkach, rogaty diabeł prowadzący na powrozie turonia o kłapiącym koźlim pysku, dwóch muzykantów z fujarkami, trzeci z małym bębenkiem; słowem, przebrani żacy uganiający od domu do domu po kolędzie zabiegli mu drogę.

— Wawrzek od mistrza Wita! Jak się masz!

— Co mnie zaczepiasz? Dy ja cię nie znam!

— Nie znasz? — Król Baltazar odwiązał sznurek i zdjął na chwilę długą siwą brodę z konopnego przędziwa...

— Florek!

— A widzisz? Dawnoś nie był u pana Żegoty, toś i zapomniał o mnie. Chodź z nami!

[467] *Wydasz mnie, pójdę na hak...* — W średnich wiekach surowo karano za kradzież, nawet śmiercią.

— Bramy zamykają...

— Wielkie rzeczy, przenocujemy razem, ot tutaj, w gospodzie.

— Nie mogę, mistrz by strasznie swarzyli.

— A to bywaj zdrów!

Trzej królowie z orszakiem wpadli, piszcząc dziko, do szynkowni, drzwi nie zamknęli za sobą, światło błysnęło. Wawrzuś przystanął bezwiednie i patrzał ze śmiechem na niezgrabne skoki turonia.

Ktoś przeszedł obok prędko i nagle się zatrzymał. Chłopiec obejrzał się: wysoki człowiek jakiś, w kożuchu i barankowej czapie, stał dwa kroki od niego i bacznie mu się przyglądał. Coś, niby wspomnienie snu przykrego, przeleciało przez głowę Wawrzusia... dreszcz go wstrząsnął... kto to? Czego tak patrzy na mnie? Och, te oczy... Jezus Maryja, pielgrzym!...

Z otwartych drzwi gospody wyszedł, zataczając się, obdarto odziany człek i uderzył sobą tamtego...

— Czarny Rafał!... Śmiercim się pierwej spodziewał... A ty co robisz w Krakowie?

Wawrzuś skorzystał ze sposobności, że pijak czepił się ramienia pielgrzyma, i nie oglądając się już poza siebie, pędził ku Nowej Bramie. Nie ubiegł dwudziestu kroków, zdało mu się, że ktoś go goni.

— O rety... zamknięta!

Zaczął bić pięściami we wrota i wołał:

— O dobrzy ludzie... o moiściewy[468]... otwórzcie!

Kroki zbliżały się, potem ucichły, ktoś czekał.

Okno na piąterku tuż ponad szkarpą otwarło się; wachmistrz ceklarzy wychylił głowę.

— A ty raku przeklęty... jak śmiesz burdy czynić po nocy? Zaraz mi się precz wynoś!

— O miłościwy pułkowniku... zlitujcie się nade mną biednym... Gdzież ja się na noc podzieję? Co wam szkodzi otworzyć?

— Juści, we trzech zleziemy na dół dla usługi waszej wielmożności. Pan starosta wczoraj się spóźnił, musiał nocować w zajeździe, a to kocię każe se bramę otwierać! Uciekaj, pókim dobry.

— A oknem wolno? — zapiszczał chłopiec.

Wachmistrz parsknął śmiechem.

— Ojoj... coby nie? Nawet ci całe otworzę.

— Bóg wam zapłać!

Odsadził się dla rozpędu... coś czarnego stało pod murem na boku... Wawrzuś przeżegnał się i pomknął jednym tchem, jak szalony po pochyłej szkarpie[469]...

Złapał się futryny.

— Wciągnijcie mnie do izby, jeśli łaska!

— Jak Pana mego... nie trzeba po cudach chodzić!

Wachmistrz trącił nogą drzwi do drugiej izby.

— Onufer... Jacek... Pokazać wam wiewiórkę?

[468] *moiściewy* (gw.: moiście wy) — zwrot do słuchaczy, wyrażający emocje; dosł. jesteście moi, tj. moi drodzy.

[469] *szkarpa* — skarpa, przypora muru w kształcie wystającego na zewnątrz filaru.

ŚWIĘTY KAZIMIERZ[470]

Do Wilna. — Piwna polewka u pani Salomei. — Kąpiel Wawrzusia w Narwi. — O czym Bystry gadał z Kudrasiem. — Strzała Stanka i nóż pielgrzyma. — Żółte ciżemki. — „Omni die dic Mariae[471]". — Zgon królewicza.

Listy z Wilna przynosiły coraz to smutniejsze wieści o chorobie królewicza Kazimierza. Ostatni posłaniec przywiózł tylko kilka wierszy, z trudem widocznie napisanych, a osobno list od przybocznego i ulubionego dworzanina, pana Świrenkowicza, donoszący, że chory do cna z sił opadł i ledwie z przymusem szklaneczkę mleka trzy razy dziennie wypija. Ciężko zasmucony król posłał czym prędzej dwóch najpierwszych lekarzy z Krakowa, pokładając w nich lepsze nadzieje niż w nadwornym medyku królewicza.

Wit Stwosz dowiedział się o tym wszystkim od Kallimacha i kwapił się z wykończeniem ołtarzyka; Stanko, Jurek i Wawrzuś pracowali nad rzeźbieniem figur i ornamentów, mistrz doskakiwał do chłopców co godzina, krzyczał, że robota stoi, wzywał pomsty od nieba i piekieł nad próżniakami, za czym przyjrzawszy się bliżej, klepał ich po plecach z zadowoleniem. Dni całe aż do zmroku pracowano z takim natężeniem, że mowy nie było o swobodniejszej chwilce; pozostawały czeladnikom na wypoczynek tylko niedziele. Wawrzuś wyglądał każdej jak kania deszczu, by się zobaczyć z Jaśkiem i obmyślić wspólnie plan wyswobodzenia go ze szponów Hincza Bartnika. Tymczasem, ilekroć w niedzielę po południu biegł do przyjaciela, za każdym razem zastawał drzwi zamknięte i okiennice pozasuwane.

Trzydziestego stycznia posążki Matki Boskiej, archaniołów Michała, Gabriela, jako też pół tuzina skrzydlatych dzieciaków, stały w pracowni pomalowane, wyzłocone, gotowiuteńkie. Można się było spodziewać, że wysłańcy z ołtarzem dojadą na miejsce za jakie trzy lub cztery tygodnie. Zwłaszcza że szafę miano robić już w Wilnie, by nie tracić czasu i nie przysparzać ciężaru.

Zaopatrzywszy Stanka w pieniądze potrzebne do długiej podróży, mistrz Wit wyprawił go z Jurkiem i Wawrzkiem w drogę. Woźnicę mieli doświadczonego bywalca, ruszyli z Krakowa pełni otuchy, radzi, że taki kawał świata zjadą, Wilno zobaczą, a co najważniejsze, pokłonią się miłościwemu królewiczowi, którego żaden z nich, jako żył, nie widział.

W ostatnich dniach stycznia spadły wielkie śniegi; przezorny Błażej był na wszelaką pogodę przygotowany, od razu więc po pierwszym popasie zdjęto koła i włożono wóz na płozy, za czym jechali sporzej[472] dobrą sanną. Nie mogli jednak zbytnio męczyć koni, nie mając innych do zmiany; woźnica tedy, a zarazem naczelny wódz wyprawy, przeznaczał popasy i noclegi, jechano krótkimi dniówkami. Pierwszy nocleg przypadł w Proszowicach, nazajutrz w Nowym Mieście Korczynie, potem przez Tursko, Sandomierz, Kraśnik do Lublina.

W Lublinie kierować się mieli wprost do dworku pana Mikołaja z Proszowic, brata pana Żegoty.

— A wiecie którędy? — spytał Stanko Błażeja.

— Nie wiedziałbym? — odparł stary. — Ady[473] w święta woziłem tu pana Żegotę; miał zostać dwa tygodnie, ale piątego dnia my się zabrali z powrotem.

---

[470] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

[471] *Omni die dic Mariae* (łac.: każdego dnia chwal Marię) — hymn maryjny, przypisywany dawniej św. Kazimierzowi.

[472] *sporzej* (daw.) — więcej, obficiej; tu: lepiej.

[473] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

— Zachorzał czy co się stało?

— Ee... nic ważnego... wszędy dobrze, a doma[474] najlepiej. — Błażej machnął ręką ze śmiechem. — Ot, zaraz, w tej ulicy na lewo.

Strzelił z bata dwa razy, podjechał i zatrzymał konie. Stanko skoczył z wozu, ale nim zdążył zastukać do bramy podwórzowej, wrota same się otwarły, drobniutki, zawiędły człeczek w szarym żupanie wybiegł z pośpiechem i ręce ku niemu wyciągnął:

— Witam, witam... wiem wszystko... na ścieżaj bramę jako i serce moje ku przyjęciu miłych gości otwieram!

Bryka wjechała, gospodarz zamknął czym prędzej, przeciągnął drąg przez drewniane klamry i rzucił się drugi raz witać podróżnych.

— Bóg zapłać waszej miłości za tak skwapliwą gościnność — rzekł Stanko z ukłonem. — Do królewicza Kazimierza ołtarzyk wieziemy.

— A jakże, a jakże, brat mi rozpowiadał dokumentnie o wszystkim; daj Bóg, cobyście jeszcze na porę zajechali. Wejdźcie do izby, proszę.

Usiedli na ławie, pan Mikołaj rozpytywał o nowiny: czy król miłościwy nie zamierza syna odwiedzić, czy ołtarz mariacki ma się już ku wykończeniu, co porabia brat Żegota, nagle... urwał w pół zdania i skoczył na równe nogi, rumieniąc się jak żaczek.

Żona

We drzwiach ukazała się podobnie chuda i zasuszona jak mąż, ale o głowę odeń wyższa pani Salomea Proszowska. Pan Mikołaj pobiegł ku żoneczce.

— Nie było cię doma, dziewko najmilejsza, gdy Opatrzność Boska zesłała nam gości.

— Widziałam już — odparła pani zimno — bryka, cztery konie, parobek...

— Aha, com to chciał rzec — wpadł jej mąż pośpiesznie w mowę — pozwólcie, wasze miłoście, że was zapoznam: syn mistrza Wita z towarzyszami; a to mój przyjaciel dozgonny, sercem ukochana Salusia. Od rana mróz cierpią, dziewko najmilejsza, przydałaby się piwna poleweczka na rozgrzanie.

Dozgonny przyjaciel uśmiechnął się słodziutko.

— Już się warzy; właśnie sama przyprawiłam — a w ucho mężowi syknęła — na jeden krok z domu niesposób się ruszyć, wiecznie jakichś darmozjadów naprowadzasz, ino ja za progiem.

— Z twarogiem świeżym, powiadasz, Salusiu? Z twarogiem? Dziewkoż ty moja! Widzicie, wasze miłoście, czego ino myślą zażądam, z oczu mi chęć odgaduje, na każdym kroku mię psowa[475], jedynaczka moja!

— Dla asana ani kropli... żebyś mi się nie ważył tknąć! Masz być chory... — zaszemrało ukochanie jedyne.

— Aż dwa gąsiory[476], drogości moje? Wiesz przecie, że od wczoraj niedomagam, nawet nie pokosztuję. Tym ci lepiej, goście nie wzgardzą, niech będzie i dwa. Grzanek misę kopiastą, nie zapomnij, ptaszyno.

Salusia wymknęła się z izby spiesznie, nie chcąc karcić małżonka przy obcych, i wlała kwartę wody do piwa gwoli[477] dopełnienia zapowiedzianych dwóch gąsiorów.

Po wieczerzy podróżni pożegnali gościnnych gospodarzy, bowiem przed świtem jeszcze mieli wyruszyć dalej.

[474] *doma* (gw.) — w domu.
[475] *psować* (daw.) — psuć.
[476] *gąsior* — duże naczynie na wino a. piwo.
[477] *gwoli* (daw.) — w celu.

Bez przygód zajechali do Kocka, następnego dnia do Białej, cały dzień wypoczęli w Drohiczynie, gdzie warowny zameczek, przez Konrada Mazowieckiego[478] wzniesiony, z wysokiej góry w błękitnawoszarych wodach Bugu się przegląda. Z Drohiczyna pośpieszyli do Bielska na obiad i zaraz dalej.

Dojeżdżają do Narwi, rzeka w lód się zakuła, śnieg na niej; patrzą w prawo, patrzą w lewo, mostu nigdzie ni znaku... Błażej podrapał się w głowę, zlazł z wozu i chodzi nad brzegiem.

— Cóż myślicie — spytał go Stanko — przebierzemy[479] się chyba na drugą stronę? Ślady sani, kopyt, widno wszyscy tędy jeżdżą.

— Ta, ano niby tak, alebym wolał...

— Rzeka stoi, lód mocny, kiedy wozy przechodzą.

— Ale nasza bryka ciężka, a piąty już dzień mrozu nie masz. Ano, co robić... nic tu nie wystoimy, trza jechać.

Przeżegnał konie batem, poszły. Lód cichy, nie dudni pod kopytami... Błażej strasznie chmurny idzie przy koniach i chłopakom zleźć kazał, żeby jak można ulżyć saniom.

— No widzicie, było się czego bać — śmieje się Jurek — już więcej niż pół drogi!

Błażej nic nie odpowiedział, oczyma śledził każdy krok koni. Nagle... zachrzęściło coś głucho, woda bryznęła spod kopyt, trzask się rozległ okropny, chlupot... pierwsza para koni zapadła się po brzuchy w wodę.

— O Jezu... nie mówiłem! Hej, chłopaki... co tchu!... biegajcie na tamtą stronę... światełka niedaleko... wołajcie ludzi z drągami, niech śpieszą konie ratować. Ino duchem! Na prawo... na prawo... tam bezpieczno!

Konie, zanurzone w wodzie, chrapały ze strachu i drżały od zimna; druga para za nimi szarpała się i przysiadała na zadach, a lód pękał coraz dalej... po kilku minutach zapadły się i one. Sanie przechyliły się na bok, jedna paka zesunęła się w wodę; szczęściem nie poszła pod lód, tylko wsparta jednym kantem na zielonej roztrzaskanej tafli, sterczała do góry, grożąc z każdą chwilą osunięciem się w głąb.

Biednemu Błażejowi zdawało się, że trzy godziny czeka, choć naprawdę wieś była blisko, chłopcy gnali bez opamiętania, a ludzie we wsi, dowiedziawszy się o przygodzie, w okamgnieniu się zabrali i biegli z pomocą.

— O mój Boże... świętości wiozą dla chorego królewicza! — dziwował się wójt, pędząc przed sobą ośmiu parobków z tęgimi drągami. — Zbierajcie nogi, chłopcy, a żywo, wszakci naszemu umiłowanemu kniaziowi służymy!

Dobiegli.

— Najpierwsza rzecz odciąć konie; inaczej nie damy rady — komenderował wójt. — Dobrze. Teraz po trzech z każdej strony, drąg pod brzuch i dźwignąć z wody!... Fiedor... tumanie jeden... gdzie stajesz? Nie masz oczu? Pójdziesz pod lód i kto cię będzie szukał? Hawryło... Semen... ku brzegowi ciągnąć; koń mądry, sam się ano gramoli... do góry drągi! Przysadzić się! No! To już, sława Bohu, jeden! Wańka, pędem z nim do mojej stajni, wytrzeć wiechciami do sucha, całego derami owinąć i powrozami owiązać pod brzuchem, coby się zagrzał. Nic mu nie będzie. Macie drugiego? Ot, mołojcy[480]! Pietia, prowadź i tego do wsi, a zrób tak, jakom Wańce przykazał.

Wyciągnąwszy szczęśliwie konie, wzięto się do wozu. Wawrzusiowi straszno się zrobiło, że paka od godziny w wodzie stoi, a posągi choć jak najtroskliwiej grubym

[478] *Konrad I Mazowiecki* (ok. 1187–1247) — syn Kazimierza Sprawiedliwego, książę kujawsko-mazowiecki. Walczył z pogańskimi Prusami, sprowadził na ziemie polskie zakon krzyżacki.

[479] *przebrać się* (daw.) — przedostać się.

[480] *mołojcy* (z białorus.) — zuchy.

płótnem owinięte, wiórami i sianem poprzetykane, zamokły na pewno; świeża farba odstanie, złoto się zetrze... nieszczęście. Miałże stać darmo i przypatrywać się, jak inni pracują? Inni, obcy ludzie, co ani wiedzą, jaki tam cudny archanioł Michał z mieczem ognistym albo Gabriel z lilii gałązką... Choć podźwignąć, choć na suchym lodzie zeprzeć... Schylił się, namacał kant paki pod lodem, ujął go silnie, szarpnął i wpadł głową naprzód do wody. Gdyby nie Błażej, który go w tej samej chwili za połę od kożucha pochwycił, byłby niechybnie poszedł na dno; a tak tylko czoło zakrwawił o spiczasty odłam lodu, łyknął zimnej wody więcej, niżby chciał, i przemókł do nitki. Poczciwy Błażej zatulił go we własną opończę i na rękach zaniósł do ciepłej izby w chałupie wójta.

Parobcy wynieśli obie paki z pomocą Stanka i Jurka na brzeg, sanie cofnięto na twarde miejsce i ostrożnie doprowadzono na drugą stronę. Po tej ciężkiej robocie zaprosił wójt podróżnych i całą młodzież, co się tak dzielnie spisała, do siebie na poczęstunek.

Nawet Wawrzusina przygoda zakończyła się całkiem pomyślnie, bo tylko guzem na czole. Wieczór spędzili podróżni na gawędzie z wójtem, który słuchał ciekawie opowiadań o Krakowie, o wspaniałościach dworu królewskiego i o wiezionym do Wilna ołtarzu na ofiarę za zdrowie królewicza. Nocleg pokrzepił wszystkich i nazajutrz rano, podziękowawszy gorąco za ratunek i gościnność, ruszono wprost już do Białegostoku na obiad.

Aż tu w drodze pokazało się, że jeden z koni przy załamaniu otarł sobie nogę do krwi, spuchła mu i kulał porządnie. A Wawrzuś, rano jeszcze zdrów i wesół, ku południowi zaczął narzekać na głowę, chwyciły go dreszcze, wczorajsza kąpiel dziś dopiero dawała się we znaki.

Z kulawym koniem i chorym chłopcem nie docierali już do samego miasta; radzi wjechali do pierwszej lepszej gospody, jaka im się tuż przy rogatkach nawinęła. Karczmarka usłała Wawrzusiowi wygodne spanie na przypiecku; ciągle narzekał na głowę, gorączka go rozbierała[481]. To drzemał, to się budził, to jakby rozmawiał, śmiał się, to stękał i znowu zasypiał, by za chwilę zerwać się z krzykiem.

Poleciwszy go opiece gospodyni, Błażej poszedł opatrzyć konia, a Stanko z Jurkiem wybiegli po obiedzie na miasto.

Chory chłopak uspokajał się z wolna, gorączka ustępowała, usnął twardo i smacznie.

Obudził się przytomny i trochę rzeźwiejszy; powiódł zdziwionym wzrokiem po izbie, jakoś nie mógł sobie przypomnieć, skąd się tu wziął i dlaczego leży za piecem. Spostrzegł siedzącego przy stole człowieka w grubym kubraku, przepasanego skórzanym pasem; zajadał smacznie jajecznicę z kiełbasą. Karczmarka przyniosła mu dzbanek piwa, popił, otarł olbrzymie wąsy i odsapnął z zadowoleniem. Gospodyni wyszła do piekarni, a gość wstał z ławy, przeciągnął się, ziewnął i wyjrzał do sieni. Zaklął w sto diabłów, splunął i usiadł na powrót. Coś go musiało niecierpliwić, bo przytupywał nogą i bębnił palcami po stole. To wstawał, to siadał, to na ulicę wychodził, a spluwał przez zęby raz za razem.

Drzwi skrzypnęły, wszedł młody człowiek o gęstej kędzierzawej czuprynie; usiadł przy drugim stole, nie patrząc w lewo ani w prawo i oparł głowę na rękach.

— Ij... cóż znowu za figlasy... — półgłosem rzekł starszy — widzisz przecie, że ani psa nie ma w izbie, możesz mówić śmiało.

— Zostanę tu — odparł młody — wejdzie kto, lepiej, że się nie znamy.

— I to racja. Gadaj, coś sprawił?

[481] *rozbierać* (gw.) — tu: brać, osłabiać.

— Dużo i mało; a Majster niech z tego kleci, co zdoli.

— No, Bystry, nie marudź. Otwórz kłódkę.

— Otwieram, a i tak nic nie będziesz wiedział. Słuchaj. Jedzie ich dwóch ze Lwowa; Ormiany[482] są. Jeden kobierce z Persji wiezie, makaty złotem przerabiane, balsamy i wonności wschodnie. Jest tego bryka wyładowana, cztery konie ją ciągną, piąty przodem doprzężony, hajduczek[483] na nim. Drugi kupiec zasię ino dwie skrzynki ma na tymże wozie, ale w nich perły i wszelakie najdroższe kamienie; jedna ich garść starczy za tamto wszystko.

— Jakoż trza rozumieć te kręte słowa „dużo i mało"? Dwie skrzynie klejnotów jeszcze ci nie dosyć?

— Mądry odgadnie snadnie, głupiemu na myśl nie wpadnie.

— Miejże se uciechę, żem głupi, a gadaj wyraźnie, bez przypowiastek.

— Oj, Kudraś, Kudraś, wstydno mi za cię! Gdybyś był kupcem, a jechał na kraj świata z bryką pełną drogości, nie przysposobiłbyś wszystkiego, co ino można, ku obronie swych towarów, hę?

— Teraz mi świta...

— Po dwóch stronach bryki z kuszami łuczniki[484]; tedy se porachuj: dwóch kupców, hajduk i woźnica, czterech pachołków, to razem ludzi osiem; i mieczyki zacne mają u boku, dobrzem się przypatrzył.

— Prawda twoja. Ciekawość, co Majster na to?

— Gdyby nas zarówno było, aniby mrugnął; ale ich ośmiu, nas pięciu, trochę kuso.

— Czy tak, czy owak, z opowieścią biegaj. A wspomnij i o tym, że jakiś wóz od Krakowa z dwiema pakami jedzie, trzech ludzi i malec, półdziecko. Nie zabacz, że tych ja zwietrzyłem.

— Nie omieszkam, nie omieszkam — odparł Bystry, szyderczo się uśmiechając. — A co w tych pakach?

— Czort wie, nie ja.

— Do piekła za daleko, ja ci powiem: w pakach figury drewniane, święte kukły malowane, wiezie do Wilna dla królewicza Kazimierza czeladź z warsztatu mistrza Wita.

Kudraś splunął ze złością.

— Takem się radował, że choć ten jeden raz mi się udało.

— Nie frasujcie się, kumoter — pocieszał go Bystry — jeden ma w głowie, drugi ma w rękach. Jak przyjdzie grzmocić, twój jeden palec więcej wart niż moje obie pięści. No, komu w drogę, temu czas, idę w las; a ty, jako Majster przykazał, staw się jutro rano pod trzema dębami.

Młody wyszedł, starszy został jeszcze z godzinę, a Wawrzuś wiązał w myśli zrozumiałe i niezrozumiałe słowa tych dziwnych ludzi, którzy niby się sprzeczali, niby żartowali, a których mowa przejmowała go strachem, sam nie wiedział czego.

Pod wieczór zeszła się czeladź pana Wita w izbie gospodniej i Wawrzuś, któremu z całej choroby już tylko katar pozostał, opowiadał szczegółowo wszystko, co widział i słyszał.

— Abo[485] to zbóje i rzezimieszki — zawyrokował stary Błażej — aboś, chłopcze, miał ciężką gorączkę i wszystko ci się ino śniło.

— Sam nie wiem. Do tej pory w głowie mi się zawraca; może mi się i śniło.

---

[482] *Ormiany* — dziś popr. forma M. lm: Ormianie.

[483] *hajduczek* — służący w węgierskim stroju, lokaj.

[484] *łuczniki* — dziś popr. forma M. lm: łucznicy.

[485] *abo* (daw.) — albo.

Tupanie koni, dzwonki przy saniach, gwar głosów zwrócił ich uwagę. Po chwili drzwi się otwarły i ktoś odezwał się od proga:

— Niech będzie pochwalony...

Odpowiedzieli „na wieki".

— Stanko... widzisz ty? Żydy[486]... A Pana Jezusa chwalą... Chyba chrzczone? A to ci nochale mają aż ku brodzie, włosiska ciemne, kręte...

— Cicho, smyku... gotowi cię usłyszeć. Chrześcijanie to są, katoliki porządne i dobre ludzie[487]. Z ormiańskiego narodu pochodzą.

— Aha, a Błażej gadali, że mi się śniło. To pewnikiem owi kupcowie[488] ze Lwowa.

— Zaraz się to wykryje — rzekł Stanko.

Nastąpiło wzajemne poznanie, kazano sobie podać przy jednym stole wieczerzę i w pogawędce, skąd kto jedzie i w jakiej sprawie, pokazało się, że tak było co do joty, jak opowiadał Wawrzuś.

— Łaska Boża — rzekł starszy z kupców — że jesteśmy tak zawczasu powiadomieni; trza się mieć srodze na baczności.

Umówiono się, że nazajutrz rano wyjadą wszyscy razem, bo im więcej rąk do obrony, tym bezpieczniej.

Ledwie szarzało, co w lutym oznacza mniej więcej szóstą godzinę, ruszyła karawana: kupcy ze zbrojnymi pachołkami przodem, bryka mistrza Wita tuż za nimi. Droga była niezła z początku, bo mrozik przytrzymał sannę, wypoczęte konie szły żywo i parskały wesoło, a furmani za każdym razem odpowiadali „na zdrowie!"

— Kuźnicki bór — rzekł jeden z pachołków, pod Bielskiem donajęty — tutaj trzeba dawać pozór; niejeden się tu już z Majstrem, czyli Hetmanem spotkał.

— Czemuż starosta nie zrobi obławy, kiedy wie, że w tym lesie zbójcy grasują? — spytał kupiec.

— Nie raz i nie dziesięć my ich szukali — odpowiedział chłop — ino zimny popiół z ogniska i poogryzane zajęcze kostki po nich najdowali; a psie syny pod Białowieżą dokazywały. Dalejże za nimi, oho... ani znaku, poszli w pińskie błota i rób, co chcesz.

— No... ale też tu wertepy mają... czort ich bierz — zaklął Błażej. — Zleźcie, chłopcy, z wozu i podpierajcie drągami; lada chwila się wywali.

Bryka ormiańskich kupców jeszcze bardziej się chyliła; cała lewa strona wąwozu, podmyta spływającymi deszczowymi strumykami, o jakie dwie stopy niższa była od prawej.

— A może by nam w tę leśną dróżkę się obrócić? — spytał któryś. — Tam nie ma wybojów.

— Jedziemy do Grodna, nie do Świsłoczy — odparł parobek krótko.

— Oho, cóż to za koń przy drodze uwiązany? — zawołał Wawrzuś.

— Gdzie, gdzie?

— A ot, tam wyżej, na lewo.

Wszyscy mimo woli zwrócili głowy w te stronę, a to był właśnie fortel sławnego Majstra, bo jak na komendę w tejże chwili z przeciwnej strony lasu wybiegło pięciu ludzi, zbrojnych w noże i siekiery, prosto na brykę z towarami.

Wawrzuś rozpoznał od razu Bystrego i Kudrasia; tak był oszołomiony z przerażenia, że w pierwszej chwili nie rozumiał nawet rozkazu Błażeja.

— Trzymaj konie mocno, bo się strachają!

---

[486] *Żydy* — dziś popr. forma M. lm: Żydzi.

[487] *katoliki porządne i dobre ludzie* — dziś popr. forma M. lm: katolicy porządni i dobrzy ludzie.

[488] *kupcowie* — dziś popr. forma M. lm: kupcy.

Przytomny woźnica rzucił mu lejce, poskoczył kupcom na pomoc, Stanko i Jurek za nim.

Nie było czasu ni miejsca naciągać kusz: parobcy porwali za mieczyki, rzezimieszki wywrócili z łatwością sanie do rowu, tłumoki się rozsypały, dowódca krzyknął ostro:

— Ino te dwie skrzynie żelazne chwytać i w las! — Sam zaś, widząc nadbiegające posiłki, wskoczył na koń i stanął, tamując im przejście. — Ani kroku, bo siekierą w łeb!

Wawrzusiowi aż w oczach pociemniało... Majster zbójecki to pielgrzym świętokradca, to Czarny Rafał spod Nowej Bramy! Nieprzytomny ze strachu, wypuścił z rąk wodze, konie spłoszone krzykiem jęły wierzgać i dęba stawać. Równocześnie jeden z kupców, porwawszy żelazną szkatułkę, uciekał z nią poza sanie rzeźbiarzy. W skok za nim pędził Bystry i z krzykiem już go dopadał, gdy Wawrzuś oburącz zdzielił go biczyskiem pomiędzy oczy i twarz mu całą zakrwawił.

Na wrzask Bystrego Majster, który borykał się ze Stankiem i Jurkiem, odwrócił głowę; w oczach mignęło mu coś dzikiego, poznał chłopca; lecz ten, nie tracąc chwili, rzucił się z wozu i co sił w nogach puścił się drogą wstecz. Pielgrzym spiął konia ostrogami i gnał za nim. Chłopakowi śnieg migał pod nogami, tchu w piersiach nie czuł, niósł go szalony strach... Kopyta dudniały w ślad za nim po grudzie; nagle poczuł na karku rękę, która go porywa od ziemi, i sam nie wiedział, kiedy znalazł się na siodle. Chciał wrzeszczeć, taż sama ręka usta mu zatkała jego własną czapką.

— Mam cię! — zachrypło mu nad uchem. — Co inom nie wisiał z twojej łaski... rzekłem ci do widzenia... no, twoja śmierć teraz!

Stanko widział, co się dzieje... Dlaczego zbój wszystko rzucił, a porwał chłopaka?

— Rany Chrysta! — krzyk mu się wyrwał z piersi — chwycił kuszę z rąk pachołka, naciągnął, strzała świsnęła, koń Majstra, ugodzony w kolano, dał szczupaka i zwalił się na ziemię.

Wawrzuś pierwszy się zerwał i byłby umknął szczęśliwie, gdy wtem straszny nieprzyjaciel, leżąc jeszcze na ziemi, szarpnął go za nogę. Chłopiec runął jak długi. Wydzierającego się i kopiącego nogami w jednej chwili obezwładniły potężne dłonie i tuż nad sobą ujrzał pochyloną ohydną, dziką twarz z nożem w zębach... Jedno mgnienie oka, nóż błysnął w powietrzu, w zaciśniętej pięści zbrodniarza. Chłopak ostatnim wysiłkiem wyrwał jedną rękę i podstawił ją pod cios śmiertelny. Żelazo wbiło się w ramię. Zbój syknął bezecne przekleństwo, wyrwał nóż z rany i zamierzył się po raz drugi.

„Matko Boska z matusinego obrazka..." — przemknęło błagalnie Wawrzusiowi przez głowę... zmrużył oczy...

„Co?... Nie zabija?... Puścił?... Ręce wolne?..."

Otwarł oczy zdumione.

Na karku Majstra przysiadł Stanko i z garści nóż mu wydzierał. Mocowali się rozpaczliwie. Zbój, od Stanka silniejszy, lewą chwycił go za włosy, prawą usiłował zadać mu pchnięcie. Wawrzuś poskoczył jak żbik raniony i pielgrzymowi zęby wpił w rękę. Ukąszony puścił Stanka i uderzeniem kolana powalił chłopca. Wawrzuś potoczył się i padł bez zmysłów. Ale Stanko zdołał tymczasem nóż wyłamać z garści mordercy.

Majster, bezbronny, widząc, że Jurek z Błażejem nadbiegają na pomoc, pomknął z nieopisaną szybkością i znikł w gęstwinie. Stanko zawahał się: ścigać czy ratować chłopca? Spojrzał... leży na śniegu blady... krwią zalany... martwy. Czy dycha[489] jeszcze? Z trudem docucił się malca, nacierając go i zwilżając mu skronie.

[489] *dychać* (daw.) — oddychać.

Niebawem nadciągnęli z lasu woźnica z Jurkiem po nieudałym[490] pościgu...

Przez ten czas kupcy i zbrojna ich czeladź po zaciętej walce zdołali wziąć górę nad hultajstwem pozbawionym wodza; zwłaszcza że Bystry, najzmyślniejszy z opryszków, niezdolny był do boju, na wpół oślepiony biczyskiem Wawrzusia. A że mocarny Kudraś dostał także mieczykiem przez ramię, przeto pierzchli na lasy i bory, unosząc jednego z kamratów z przetrąconą golenią.

Długo jeszcze trwało, zanim podróżni puścili się w dalszą drogę. Obalony wóz musiano stawiać i naprawiać, wiązać uprząż potarganą, ładować rozrzucone tłumoki, w których na szczęście nic nie brakowało. Słudzy kupieccy opatrywali sobie nawzajem cięższe i lżejsze rany, a Wawrzusia złożyli towarzysze na wóz, umościwszy mu wygodne legowisko na sianie.

Po tej strasznej przygodzie gładko już przeszły dalsze dni drogi przez Grodno, Olkieniki do Wilna.

Rana Wawrzusia, acz bardzo bolesna, nie była niebezpieczna; zapuchło mu wprawdzie całe ramię, ale na szczęście nie wdała się gorączka. Chłopczyna, zarzucany pytaniami, zrazu bezładnie, potem od początku do końca rozpowiadać musiał towarzyszom podróży całą swoją historię z tajemniczym pielgrzymem. Mówił o świętokradztwie, o spotkaniu w Krakowie podczas „konika zwierzynieckiego", o pościgu do Nowej Bramy. Całymi dniami był Majster niewyczerpanym przedmiotem ich rozmów. Zachodzili w głowę, czy bardziej zemsta, czy chęć sprzątnięcia niebezpiecznego świadka kierowała zbrodniarzem.

Dnia drugiego marca przed samym zachodem słońca oba wozy wjeżdżały do Wilna. Starszy kupiec drzemał, otuliwszy się w kożuch, młody przysiadł się na sanie do Stanka i rozpowiadał chłopakom o dalekich krajach i miastach, które zwiedzał w swych podróżach handlowych.

— W Wilnie też pewno nie pierwszy raz jesteście? — spytał młody Stwosz.

— Już czwarty — odparł kupiec. — Dobry targ, zwłaszcza na bławaty i bisiory[491]; niewiasty, jak wszędzie, tak i tutaj strój lubią, a na targowicy wileńskiej ino powszednie sukna i chłopskie samodziały przedają. Widzieliście, co wiozę, za tydzień wszystko pójdzie między ludzi.

— A to co za kopuły tak jaskrawo pomalowane i wyzłacane? — zadziwił się Wawrzuś. — Po trzy, po cztery w kupce, chyba nie kościoły? Takich nawet w Krakowie nie ma.

— A bo to, widzisz, we wschodniej stronie miasta mieszkają Rusini i tu mają swoje cerkwie. Wzdłuż Wilii zasię, ku zachodowi i północy, katolicka dzielnica. Tam i my zdążamy. Kupcy mają tam targowy dom, gdzie się z towarami zajeżdża.

— A na gród kędy[492]?

— Dwie rzeki pod Wilnem się łączą: Wilna i Wilia. W samych tedy widłach, które tworzy ujście Wilny, wznosi się góra, nazwana Turza. Na niej zbudował jeszcze kniaź Gedymin[493] twierdzę obronną, ale na mieszkanie ona niedogodna, więc u stóp góry mają drugi zamek, raczej pałac; tam królewicza najdziecie. Złażę już, bo się nasza droga rozchodzi, wy na gród, a my do targowego dworca.

— Jedźcie zdrowo, dobrego zysku!

— Zdrowia nawzajem!

---

[490] *nieudały* (daw.) — nieudany.

[491] *bławaty i bisiory* — delikatne, kosztowne tkaniny.

[492] *kędy* (daw.) — gdzie.

[493] *Gedymin* a. *Giedymin* (1275–1341) — wielki książę litewski, dziad Władysława Jagiełły.

Popytawszy jeszcze przechodniów, za kwadrans zatrzymali się nasi podróżni u bramy Niżnego Zamku. Był to gmach olbrzymi, dwupiętrowy, uwieńczony zębatymi blankami, ponad które sterczały czworoboczne baszty.

Powitali odźwiernego boskim słowem; spojrzał na sanie badawczo.

— Z dalekiego kraju... prawda? Mowa odmienna, ubiór odmienny, zaprząg odmienny...

— Z Krakowa — odpowiedział Stanko — do samego królewicza sprawę mamy.

— Wolno, wolno, czemu nie? — rzekł odźwierny, kiwając głową smutnie — ino was nie dopuszczą. *Kniaź chocze uże umeraty*[494].

— Wiemy, że ciężko chory, toteż pierwej z panem Świrenkowiczem radzi byśmy się widzieć.

— A ot, właśnie przez dziedziniec idzie; podejdźcie k'niemu[495].

Stary dworzanin, ujrzawszy ich, rozkrzyżował ręce i łzy mu nabiegły do oczu.

— Dziękuję ja Tobie, Panie Wszechmogący! Tak się kniaź biedneńki pyta i dopomina, aż serce żałość uciska, nie mogąc chorego pocieszyć. Ołtarz gotowy? Dawajcie! Kniaź jeszcze nie śpi.

— Prosimy waszą wielmożność choć o dwa dni zwłoki — odparł Stanko. — Szafę trza zbić i pomalować. Przydałaby się izba obszerna i suche deski bukowe.

— Tego momentu wszystko dostaniecie, i sypialnię z wszelką wygodą wam obmyślę; ino jak wam kniaź Kazimierz miły... duchem, duchem! Niechby raz jeden pomodlił się Panu Bogu przed upragnionym ołtarzem.

— Dzień i noc będziemy robić, za trzy dni zdążymy.

Nazajutrz rano niezwykłe w pałacu odgłosy zbudziły królewicza. Jakkolwiek mieszkalne jego komnaty znajdowały się w głównej części zamku, a pan Świrenkowicz umieścił robotników w lewym skrzydle, jednak do drażliwych uszu chorego dolatywało coś niby stukanie, jakieś zgrzyty, jakieś kroki po korytarzu.

Zadzwonił. Wszedł paź. Królewicz pytał słabym głosem, nie podnosząc głowy od poduszki:

— Co się tam dzieje?

— Nie wiem, o co raczycie pytać, miłościwy kniaziu — odpowiedziało pacholę.

— Jakieś szmery... uderzenia młotem... co to jest?

— Robotnicy deski piłują i heblują, miłościwy kniaziu.

— Na co?

— Szafę robią na ołtarz do waszej kaplicy.

Woskowo blade lica księcia zabarwiły się lekkim rumieńcem; otworzył oczy szeroko, z wyrazem dziecinnego rozradowania.

— Co? Przyjechali z Krakowa?

— Tak jest. Wczoraj wieczorem.

— Przecz[496] Świrenkowicz nie zawiadomił mię[497] o tym?

— Czeka w antykamerze[498] waszego przebudzenia, miłościwy kniaziu.

— Niech wejdzie... albo nie... chcę wstać.

— Miłościwy...

— Wstanę; zdrowszy dziś jestem; wołaj Wincka, pomóżcie mi się odziać... lektyka!

---

[494] *Kniaź chocze uże umeraty* (z białorus.) — książę chce już umierać.

[495] *k'niemu* (daw.) — do niego.

[496] *przecz* (daw.) — dlaczego.

[497] *mię* — dziś popr.: mnie.

[498] *antykamera* (daw., z wł.) — przedpokój.

Stanko z Jurkiem, gnani serdeczną chęcią sprawienia ostatniej może uciechy umierającemu, uwijali się i pracowali za czterech. Wawrzuś, niemocny[499] jeszcze, rozpakowywał wyjęte ze skrzynki posążki; przecinał sznury, odwijał płótno i stawiał na boku figury, otrzepawszy je miękką szmatką z kurzu. Przymusowa kąpiel w Narwi nie sprawiła na szczęście większej szkody: jednemu aniołkowi farba z nóżki oblazła i miecz świętego Michała przyczerniał od wody, ale to były drobnostki, nawet Wawrzuś mógł temu zaradzić, a farba i złoto były naturalnie pod ręką.

Ktoś drzwi szarpnął z pośpiechem, wpadł paź, wymachując rękoma.

— Cicho... zaprzestać roboty... odmieść trochę wiórów, cobym miał gdzie zydel ustawić... królewic[500]!

Rzucili się uprzątnąć trzaski, paź wsunął krzesło z poręczami, ze wszech stron poduszkami wyłożone. Po małej chwilce wszedł Świrenkowicz, otwarto podwoje, czterech ludzi wniosło ostrożnie lektykę do izby i ustawili ją na podłodze.

Jeden z dworzan objął królewicza wpół, drugi pod ramię — stanął. Uroda

Dużego był wzrostu, a wychudzony do ostatnich granic chorobą, wydawał się jeszcze wyższym. Ciemne włosy nosił dość długo, opadały mu do ramion; czoło szerokie, szlachetne, a pod owalnie zarysowanymi brwiami jarzyły się gorączką cudne czarne oczy. Cała dusza świętego królewicza mieszkała w tych mądrych, słodkich, miłosiernych oczach. Nos trochę za długi i wysunięta dolna warga Habsburgów czyniły nieco ujmy w jego urodzie.

Snycerze stali pokornie na boku, czekając, aż raczy przemówić, a Wawrzuś, schowany za skrzydłami anioła Gabriela, wpatrywał się w bladą jak opłatek twarz księcia.

— Posadźcie mnie, znużonym jest — rzekł Kazimierz cicho.

Powiódł oczyma po izbie.

— Gdzież są te święte wizerunki? Może jeszcze nie cale[501] gotowe?

— Owszem, najmiłościwszy królewicu — odpowiedział Stanko, przystępując i chyląc mu się do kolan — wszystko zrobione, ino ustawić i umocować. Wawrzuś, przynieś Świętą Panienkę! To jest główny obraz, proszę waszej książęcej miłości; własna robota mego rodzica.

Kazimierz oparł łokieć na poręczy krzesła a policzek na dłoni i patrzył długo w milczeniu. Błogi uśmiech rozjaśnił jego twarz zmęczoną, rzeczywiście wydawał się jakby zdrowszy. Czeladnicy podsunęli figury dwóch archaniołów, a Wawrzuś stanął o krok od księcia ze skrzydlatym maleństwem na rękach. Królewicz patrzał i chwalił, a wciąż powracał wzrokiem do statuy Matki Boskiej.

Wawrzuś zakaszlał się srodze i naturalnie dopiął celu.

— A... jeszcze coś więcej? Mniemałem, że ino te trzy posągi mają być w ołtarzu.

— W środkowej części, nad głową Matki Boskiej, unosić się będzie sześć aniołków — objaśnił Stanko.

— Słusznie... słusznie... jakoż mogłoby być inaczej! *Regina angelorum*[502]... tak właśnie będzie najlepiej. Przybliż się, pacholiku, pokaż... Gębusia mileńka, oczka patrzą; gdyby nie skrzydełka, rzekłbyś niemowlątko żywe.

— Tego... ja rzezałem — wyszeptał Wawrzuś zająkliwie.

— Jakoż to być może? — królewicz spojrzał pytająco na Stanka.

— Prawdę gada, miłościwy książę. Rodzic mój najlepszym swym uczniem go mieni.

---

[499] *niemocny* — osłabiony, nie całkiem zdrowy.

[500] *królewic* (daw.) — dziś: królewicz.

[501] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

[502] *Regina angelorum* (łac.) — królowa aniołów; jedno z określeń Matki Boskiej.

— I u Boga w łasce być musisz, skoro cię tak szczodrze obdarował. Uciechę mi wielką sprawiłeś. Proszę was — dodał, zwracając się do czeladników — umocujcie tę właśnie figurkę w samym środku, abym ją dobrze widział. A tu masz parę złotych pieniążków; kup sobie co, abyś i ty miał pamiątkę ode mnie.

Chłopiec objął królewicza za nogi i nie wiedząc, jak dziękować, rozpłakał się. Święty, Grzech

Wychudła ręka pogłaskała go pieszczotliwie.

— Cóż za ciężkie smutki? Co ci dolega?

— Nic... nic... takiście dobry!

— Ale gdzie tam! zdaje ci się ino — zaprzeczył królewicz, rozweselony. — Nie jestem wcale dobry; nawet w tej chwili popełniam grzech ciekawości... przyznaj mi się, powiedz, co sobie kupisz za te pieniądze?

Chłopiec spuszczał oczy, to znów podnosił je, szukając czegoś na powale, przygryzał dolną wargę, a wciąż obracał dukaty w palcach.

— Rad bym wiedział, czego ci się zachciewa; no, nie bój się... powiedz, co sobie kupisz?

— Żółte ciżemki! — zapominając o szacunku dla książęcej osoby, wrzasnął Wawrzuś.

— Jak powiedziałeś? Żółte ciżemki?

— Bo... bo Margośka takie miała... i na jarmarku widziałem... i... i... strasznie mi się podobają!

— Czy takie jak moje? — to mówiąc, królewicz wysunął koniec trzewika spod ciepłej chusty okrywającej mu nogi.

— Aha, aha, takusieńkie! Już pięć lat mi w głowie siedzą.

— Tedy trzeba zrobić, coby siedziały na nogach; mam i na to rychłe lekarstwo. Janusz, biegaj do mojej sypialni, w skrzyni na samym spodzie leżą żółte ciżmy, co mi ich szewc nie utrafił, za krótkie były. Nadadzą się, tym lepiej; a nie, to poczekasz z jaki roczek, zanirn ci noga podrośnie. Wincek... niech dają lektykę; bywajcie zdrowi, chłopcy!

Wyciągnął ku nim rękę, ucałowali ją ze czcią i żałością. Po raz pierwszy, a może i ostatni w życiu widzieli królewicza.

Przemówił do nich jeszcze; zmęczenie głos mu rwało.

— Uczyńcie... sercem was proszę... uczyńcie... by jutro mogła się odbyć msza święta przed nowym ołtarzem.

— Według woli waszej książęcej mości, na ósmą rano — odpowiedział Stanko, a do Jurka szepnął: — Cały dzień i cała noc przed nami, będzie gotowe.

*

Dzień czwarty marca zapowiadał się pogodny i słoneczny. Ksiądz jałmużnik skończył właśnie poświęcenie ołtarza, zakrystian zapalił sześć grubych świec w srebrnych lichtarzach a po dwadzieścia małych w wiszących od stropu świecznikach... Kapliczka zamkowa o wąskich gotyckich oknach, dość zazwyczaj ponura i ciemna, wyglądała dziś rano uroczyście i wesoło. Płomyki świec odbijały się stokrotnie w ognistym mieczu Michała archanioła, w rozszerzonych jakby do lotu skrzydłach Gabriela, lśniły w koronie Matki Boskiej i Dzieciątka...

Ukryci za organkami czeladnicy teraz dopiero zrozumieli, jak pięknym jest dzieło w myśli mistrza Wita poczęte a pracą ich rąk powołane do życia.

Przyboczny lekarz księcia wszedł spiesznym krokiem do zakrystii.

— Wasza wielebność zechce pomówić z jego książęcą miłością; od północy nic w ustach nie miał; serce milknie, duszność go dławi, głosu prawie dobyć nie może... niechby choć małmazji[503] kubeczek dla wzmocnienia.

[503] *małmazja* — słodkie, ciemne wino; kosztowny rarytas.

— Właśnie od północy do tej pory siedziałem przy jego łożu — odpowiedział ksiądz — zaklinam i błagam, by się choć odrobinę posilił; Ciało Pańskie i tak mu przy mszy podam, choremu wszystko wolno. Ani sobie mówić nie pozwolił. Upiera się, że jest o wiele rzeźwiejszy niż wczoraj, uniósł się nawet w końcu i milczeć mi kazał. Prawda, że w tej samej chwili, płacząc, swej porywczości żałował, ale... wybaczcie, wasza miłość, już mu dam spokój.

— Pośpieszcie ze mszą przynajmniej, a ja w zakrystii przysposobię kordiały[504].

Wbiegł pan Świrenkowicz.

— Kniazia niosą!

— Już ubrany jestem — odparł ksiądz. — Z wejściem kniazia nabożeństwo rozpoczynam.

U drzwi zatrzymała się lektyka i niesiony niemal przez dwóch silnych dworzan, wszedł Kazimierz do kaplicy. Posadzono go naprzeciw ołtarza w takim samym wygodnym krześle jak wczoraj. Szepnął coś paziowi do ucha, ten zarumienił się, zawahał, lecz na rozkazujący ruch głowy królewicza pobiegł do zakrystii i wyniósł klęcznik, który postawił u stóp chorego.

Rozpoczęła się msza święta. Pan Świrenkowicz stał tuż przy umiłowanym kniaziu, baczny na każde skinienie. Cienie śmierci słały się już coraz wyraźniejsze na twarzy księcia; zapadłe oczy traciły blask chwilami i jakby mgłą zachodziły. Na skroniach szarzały ziemiste plamy. Mimo śmiertelnego osłabienia modlił się gorąco i z rozkoszą utkwił gasnące oczy w obliczu Królowej Aniołów; bezsilne usta szeptały słowa hymnu, który co dzień kilkakrotnie od lat wielu odmawiał:

Śmierć, Pobożność, Święty, Obyczaje

Omni die dic Mariae
Mea laudes anima[505]...

Podczas ewangelii kazał się dźwignąć i stał z opadającą na piersi głową. Przed samym podniesieniem zesunął się na kolana...

Lekarz i Świrenkowicz uklękli przy nim i błagali go na miłość Boską, by usiadł. Spojrzał na nich surowo:

— Ja, marny proch, grzesznik nędzny, mam się rozpierać wygodnie, gdy mój Pan z nieba zstępuje? Usuńcie się precz... dręczycie mnie.

Pochylił czoło w kornym pokłonie, oczy się zawarły... zemdlał. Bezwładnego posadzono na krześle i cucono...

Ksiądz odwrócił się twarzą ku zgromadzonym, trzymając puszkę z Przenajświętszym Sakramentem, i schodził powoli ze stopni.

— *Ecce agnus Dei*[506]...

Królewicz spojrzał przytomnie; radość niebiańska rozpromieniła twarz jego przedziwnym blaskiem...

— Nie jestem godzien, abyś...

— Niech strzeże duszy twojej do żywota wiecznego... — szeptał ksiądz, podając mu komunię świętą.

W tej chwili zabrzmiały organy, i dworzanie, jak to co dzień na życzenie księcia pod koniec mszy czynili, zaczęli chórem jego hymn ulubiony:

Już od rana,

[504] *kordiał* (daw.) — lek wzmacniający serce a. trunek.

[505] *Omni die dic MariaeMea laudes anima* (łac.) — każdego dnia głoś chwałę Maryi, duszo moja; autorstwo tego hymnu przypisywano dawniej właśnie świętemu Kazimierzowi Jagiellończykowi.

[506] *Ecce agnus Dei* (łac.) — oto Baranek Boży.

Rozśpiewana,
Chwal, o duszo, Maryję,
Część Jej świątkom
I pamiątkom
Co dzień w niebo niech bije!
Cud bo żywy,
Nad podziwy
Jej wielmożność u Boga.
Panna czysta,
Matka Chrysta
Przechwalebna, przebłoga!

Kapłan odczytał ostatnią ewangelię. Idąc do zakrystii, spojrzał bacznie na królewicza, potem z przerażeniem na medyka.

Lekarz skłonił głową potakująco.

Ksiądz jałmużnik dał znak ręką dworzanom, by się uciszyli, ukląkł na stopniach ołtarza i modlił się z płaczem:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki. Amen.

TAJEMNICA DWORKU POD CMENTARZEM

Co krakowski burmistrz kazał ogłosić pod ratuszem. — Okienko we drzwiach. — Człowiek o pięciu imionach. — Kto pod kim dołki kopie. — Na co się zdała ciężka beczka. — Przez mur cmentarny.

— Jasiek... Jasiek... stój! Gdzie lecisz?

— Wawrzuś! Jak mi Bóg miły, myślałem, żeś umarł.

— Mogłeś tak samo umrzeć i ty; com się nałaził wedle waszej chałupy i onego cmentarza, to strach.

— A com ja się ciebie naczekał w każdą niedzielę!

— Aha, czekałeś ta, gadaj zdrów; drzwi na kłódkę, okiennice zaparte.

— Juści[507]. Przecieżem ci gadał na wyrozumienie, że skoro pan wyjeżdża, wszystko na moc zamyka; ino[508] kuchenkę od podwórza wolną zostawia i tam po całych dniach siedzę. Czemużeś we drzwi nie walił? Byłbym usłyszał i z tamtej strony cię wpuścił przez furtkę w parkanie. Tyle niedziel, tyle niedziel...

— Ij... cobyśmy lamencili po próżnicy; dobrze się stało, żeśmy się dziś spotkali, to się już tak umówimy, że nie będzie bałamuctwa. Gdzie idziesz?

— Na Kleparz do zajazdu. Już czwarty dzień stary mnie tam pędza, kupca jakiegoś pilno wyczekuje. Ów go zawiadomił przez wędrownego Słowaka czy Cygana, że w tych dniach będzie w Krakowie i „Pod Czerwonym Koniem" zamieszka. Widno kumoter z jednego cechu, mają ze sobą sprawki. Tak mnie też posyła i posyła, nie może się doczekać. A ty gdzie?

— Ja po złoto do mistrza Macieja, brata panowego.

— To mistrz Wit mają tu brata?

— Jakże, starszy cechu złotników; z jego córką nasz Stanko żeni się niebawem. Słyszysz ty? Cóż tam za krzyki?

— Aha... w bęben biją!

[507] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.
[508] *ino* (gw.) — tylko.

— Ludzie biegną ku ratuszowi... już wiem, wiem, pewno zgubę jaką wielką obwołują albo jakie zarządzenie lub rozkaz pana burmistrzowy.

— Chodźmy i my posłuchać!

Pod wieżą ratuszową była niewielka przystawka o trzech kamiennych arkadach i schodkach, przed którymi leżały dwa rzeźbione lewki. Teraz gmach ratusza, przystawkę i schodki otaczał zbity tłum ludzi; na schodach sługa miejski bił co siły w taraban[509], chwilami zupełnie przestając. Ciągle napływały nowe gromady, przechodnie biegli z ulic ku rynkowi i stawali przed ratuszem. Wawrzuś i Jasiek przepychali się przez ścisk i znaleźli się niebawem przy jednym z kamiennych lewków. Pod arkadami przystawki stanął mąż poważny z siwiejącą brodą.

— Znaczny pan jakiś; podwójci czy co? — szepnął Jasiek w ucho Wawrzusiowi.

— Cicho, cicho — mruknął Wawrzuś — będzie cosik czytał.

Urzędnik miejski zwiniętym w rulon papierem dał znak, by uciszyć wrzawę, po czym rozwinąwszy pismo, czytał:

„My, burmistrz, konsulowie i rajcy świetnego królewskiego miasta Krakowa na polecenie uizędu starościńskiego ogłaszamy wszem wobec i każdemu z osobna uniwersał niniejszy:

Zbrodzień bezecny, niewiadomego miana, zwany *Czarny Rafał*, vulgo *Majster* alias *Wojewoda*, alias *Piskorz*, grasujący *armata manu*[510] po różnych ziemiach tego najjaśniejszego królestwa oraz po krajach litewskich; czyniący łupiestwa, grabieże, mężobójstwa[511] po gospodach, drogach i lasach, podan jest zaocznie wyrokiem sądowym na karę pręgierza i śmierci szubienicznej, gdziekolwiek w Koronie czy w Litwie pojman będzie. Który *recente*[512] w trockim województwie, w lesiech[513] między Białymstokiem a Kuźnicą, na kupce Ormiany[514] ze Lwowa jadące do Wilna z hultajstwem swoim z zasadzki wyskoczył, pachołki[515] onych poranił, towar ich odbić usiłował, tak że mu się ledwie obronić zdolili. Za czym, starościńską siłą zbrojną ścigan, przepadł bez wieści.

Ktobykolwiek jego ukrycie urzędom królewskim czy miejskim wiadomym uczynił, w nagrodę czerwonych złotych dwadzieścia, kto by go zasię żywym czy umarłym onymże urzędom wydał, czerwonych złotych pięćdziesiąt otrzyma. Który, choćby spólnikiem łotra tamtego być się okazał, byle jeno krwie ludzkiej na rękach jego nie było, wszelakiej kaźni wolen będzie, niemniej i nagroda wyliczoną mu zostanie."

— Ano, przyjdzie łotrowi na koniec; ino kto go złapie? Wawrzek... a tyś co tak oczy wytrzeszczył? No, trzymaj, bo ci na bruk wypadną. Żal ci zbója czy co takiego? Ruszże się, gadaj... a może cię kto urzekł? Stoi jak ten kamień...

Wawrzuś zamrugał oczyma, jakby ze snu zbudzony, obejrzał się bojaźliwie i szepnął Jaśkowi do ucha:

— Ja go znam...

— Kogo? Tego opryszka?

— Cicho... nie krzycz... może on tu gdzie stoi niedaleko...

— Nie plótłbyś głupstw!

— Żebym ci wszystko opowiedział, tobyś zapomniał śmiechu. Pójdziemy, odprowadzę cię ku Kleparzowi, pogadamy.

---

[509] *taraban* — bęben.

[510] *armata manu* (łac.: uzbrojoną ręką) — zbrojnie.

[511] *mężobójstwo* (daw.) — zabójstwo, morderstwo.

[512] *recente* (łac.) — ostatnio.

[513] *w lesiech* (daw.) — dziś popr. forma Ms. lm: w lasach.

[514] *na kupce Ormiany* (daw.) — dziś popr. forma B. lm: na kupców Ormian.

[515] *pachołki* — dziś popr. forma B. lm: pachołków.

Idąc Floriańską ulicą, opowiedział Wawrzuś przyjacielowi całą swoją historię, od pierwszego spotkania z pielgrzymem w puszczy aż do napadu w kuźnickim lesie.

— Dzisiaj krótko, piąte przez dziesiąte napomykam, bo mi pilno wracać — kończył, zatrzymując się przed bramą. — Jak się zejdziemy którego dnia spokojnie, dowiesz się więcej. Ino to najważniejsze, że ów *Majster*, a *Czarny Rafał*, a *Wojewoda*, to wszystko jeden i ten sam człowiek, mój wróg okrutny, com go w myśli zwał *Pielgrzymem*. Ach, sprawiedliwy Panie Jezu, dozwól, aby go już raz złapano, coby więcej ludzi nie krzywdził. No, a ty z twoim gospodarzem nie próbowałeś skończyć? Przecie się już ciebie nie boi, niech cię puści, i tak go nie wydasz.

— Ani sposób gadać do niego, zły jakiś jak sto diabłów. Zresztą, nie było nawet kiedy, jak pojechał po Nowym Roku na Węgry, to go blisko dotychczas nie było. Jacyś ludzie łazili raz po raz popod nasze okna. Widno się bał, że się jego uczynki wydały, więc dał nura na kilka tygodni. Teraz niby wrócił, ale nosa za drzwi nie wystawia, umartego[516] udaje.

— A tyś co robił, jak go nie było?

— Pomyśl ino, grosza mi na życie nie zostawił. „Zarób se — powiada — będziesz miał co jeść".

— Ano, bo i prawda; próżnować grzech wielki.

— Ino niech wasza wielebność, ojcze kaznodziejo, wyrozumie, jaką to robotę Hincz Bartnik swojemu słudze doradza...

— I tyś go słuchał? Znowu kradłeś?

— Niech jutra nie doczekam, jeżelim aby jedną nitkę komu wziął! Od tego dnia w kościele... Jak Boga najświętszego miłuję! Wawrzuś, ty mi wierzysz?

— Wierzę.

— Chodziłem od domu do domu, od zajazdu do zajazdu, rąbałem drwa, nosiłem wodę, dźwigałem wory z mąką piekarzom. Co pod ręce popadło, niczegom nie minął, ino tego... co wiesz... tego nigdy. Pan przyjechał i plecy mi zerżnął w porządku, że jednego grosza dla siebie z mojej pracy nie dostał.

— Biegnijże w swoją drogę, a ja w swoją. Zmitrężyliśmy niemało czasu, dostaniemy oba po uszach... bądź zdrów.

— Czekaj, czekaj, kiedyż przyjdziesz?

— Wszystko jedno; mogę i jutro po robocie.

— A mego pana się nie bój, nie taki on straszny. Cóż mu to wadzi, że czasem jakowyś kamrat zajrzy do mnie? Zresztą, kręcił się będę po sieni, ino zbyrkniesz klamką, otworzę ci, pójdziemy se do kuchenki, ani cię ujrzeć nie musi. Jedno źle się składa, że odkąd z Węgier powrócił, furtkę z podwórza także zamyka i klucz w kieszeni nosi. Będę go musiał prosić jutro, może mi da.

— No, to do widzenia! Już lecę.

*

Widno jeszcze było, gdy Wawrzuś dochodził do dworku Bartnika. Tatarak na mokradłach zaczynał się już zielenić; pierwsze kwiatki wiosenne, jaskrawożółte kaczeńce, rozsypały się gęsto po łące świętego Sebastiana, wierzby okryte puszystymi baziami i aksamitnymi kotkami drżały poruszane wietrzykiem. Nawet cmentarzyk świętej Gertrudy ze swą zaniedbaną kapliczką nie budził takiej grozy w sercu przechodnia, bo na bezlistnych jeszcze gałęziach drzew i na ramionach pochyłych krzyżów rozsiadały się chmary wróbli i świergotały zawzięcie, przeskakując z gałązki na gałązkę. Niski mur cmentarny, wyszczerbiony w wielu miejscach, przyodział się jak mógł nikłymi trawkami: na gontowym daszku bramy zieleniły się kępki mchu.

[516] *umarty* (gw.) — umarły.

„Przecie co wiosna, to wiosna — myślał Wawrzuś oparty łokciami na wyrwie w murze — jak też tu straszno było wtedy w zimie, gdym chodził z Jaśkiem po łące. Straszno było, a teraz ino[517] smutno... Och, Boże, Boże, co tu krzyżów, jeden wedle drugiego... Dlaczego tyle złych ludzi na świecie? O Matko Boska... święci aniołowie, dopomóżcie mi wyratować Jaśka!"

Przeżegnał się, jak po pacierzu, i spojrzał na niebo.

Ściemnia się, pójdę; on tam już pewno w sieni nasłuchuje. Za nic bym tu nie mieszkał; domosko[518] w ziemię wpadłe, cmentarz pod bokiem... i to jeszcze *taki* cmentarz! Pustka przestraszna... iłem tu razy przychodził, nigdy żywego ducha."

Poruszył ostrożnie klamkę — nic. Wziął młotek wiszący na sznurku i zakołatał z cicha. Ktoś uchylił okienko w górze drzwi, światło latarni błysło chłopcu w oczy.

— Jasiek... czy to ty?

Klucz zgrzytnął, drzwi otwarły się z nagła. Wawrzuś wszedł. Łojowa świeczka w latarce, postawionej na podłodze, ledwie tyle dawała światła, że można było widzieć postać wysokiego mężczyzny.

— Jaśka nie ma? — spytał Wawrzuś znowu.

W odpowiedzi ów ktoś obrócił klucz w zamku dwa razy i schował go do kieszeni. Zrobiło się chłopcu trochę nieswojo.

— Do Jaśka chciałbym... — powtórzył nieśmiało.

Gospodarz schylił się i podniósł latarnię na wysokość swej twarzy.

— Je... Je... Je... Jezus Maryjaaa! Pielgrzym! — wrzasnął Wawrzuś nieludzkim głosem.

— Krzycz, krzycz, synku; nie żałuj sobie, krzycz co sił — z ohydnym śmiechem rzekł Bartnik — gdybym ja był na twoim miejscu, tobym wył jak pies. Aaa! — odetchnął pełną piersią. — Teraz mi jest dobrze na świecie... a cale[519] błogo mi będzie, gdy tobie gardło poderżnę. Ino ci się jeszcze muszę napatrzyć do syta, szczenię przeklęte! — Zawiesił latarnię na ścianie i wziął się pod boki. — Przysiągłem sobie tego wieczora, co mnie za twoją sprawą do miejskiego lochu zamknięto, że kropli wina nie przełknę, póki cię w moje ręce nie dostanę. Pięć lat czekam... ale za to dziś tak się spiję, aż pod ławą leżał będę, cha! cha! cha!

Wawrzuś milczał. Straszne wstrząśnienie przemijało, a z powracającą przytomnością budziła się naturalnie myśl obrony, ucieczki, wyrwania się z mocy dzikiego zwierza. „Za mną sień, drzwi od podwórza... mur cmentarny niski... jednym susem przeskoczę..." Nie było czasu na długie myślenie; a nuż porwie noża i zabije... uciekać... uciekać w tej chwili.

Czarny Rafał przechylił głowę na bok i wpijał w chłopca wzrok coraz nabiegający wściekłością.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdzie. Spod kościołaś mi uciekł, na krakowskim rynku inoś mi się mignął; w Kuźnicy wierciłeś się pod moim nożem, jak robak pod butem, i wyratował cię psi syn jakowyś, bodaj z piekła nie wylazł! Dziś sprawię sobie łaźnię z krwi gorącej... cały się twoją posoką umyję... od dziś ja Czerwony Rafał, nie Czarny! Cha! cha! cha!

Wawrzuś nie spuszczał oka z potwora i nieznacznie usuwał się w głąb sieni. Rafał nie zauważył tego, ryczał dalej dzikim śmiechem... nagle wyciągnął ręce i rzucił się na chłopca. Lecz nie dosięgnął go, Wawrzuś bowiem równocześnie dał olbrzymiego susa wstecz i już miał wpaść na podwórze, gdy wtem zdało mu się, że ziemia się pod nim rozstępuje, wleciał w jakąś czeluść... i zemdlał.

---

[517] *ino* (gw.) — tylko.

[518] *domosko* (gw.) — domisko, domiszcze; wielki, ponury dom.

[519] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.

Kiedy się ocknął, poczuł ból w kolanie i ręka zadrapana do krwi piekła go trochę. Pomacał dokoła siebie: futra, tkaniny grube... powietrze zalatywało stęchlizną.

„Wpadłem do jakiegoś lochu — pomyślał — dlaczegoż ten okrutnik nie zabił mnie jeszcze? Ciemno, cicho... a może on tu jest w kącie i czeka mego zbudzenia?... — Przycisnął usta rękoma, by oddechu nie było słychać. — Za mało mu uciechy pchnąć nożem zemdlałego; chce się najeść mego strachu, mego krzyku, będzie mnie żywcem na kawałki krajał... wszystką krew ze mnie wypuści.. Dy[520] mówił, że... o Jezu... ani się obronić, ani uciec... A może z tego zakamarka jest jakie drugie wyjście?"

Wstał powoli, bojąc się wyprostować, żeby głową o jaki mur nie uderzyć; stawiał malutkie kroki, a ręce wyciągał przed siebie. Natrafił na jakiś schodek... drugi, trzeci, było ich z piętnaście... Jakaś zapora...

„Aha, drzwi w podłodze! Pewno były otwarte i dlatego wpadłem; szczęściem, że na kożuchy, tom się nie potłukł... Zamknął mnie... ma zabawkę, jak kot z myszą; raduje się, że ja tu zębami dzwonię i smierć przede mną straszna stoi".

Usiadł na przedostatnim schodku i zgiety wpół, nasłuchiwał.

„Cichusieńko... wyszedł z domu? Już wiem... Zabrał Jaśka i wyjechał, a mnie tu w ciemnicy zostawił. Powróci za dwa tygodnie".

*

„Boże, dzięki Ci!... jakies kroki! ktoś bliziutko drzwi otwiera... Gdzie idzie? Aha... brząka kluczami, otwiera drugie, wychodzi? Nie!

— A ty darmozjadzie, trutniu jeden, gdzie się włóczysz do tej pory? — dał się słyszeć gniewny głos Czarnego Rafała.

— Posyłacie mnie tyle pędy na Kleparz, a potem się dziwujecie, że ptakiem nie wracam — odpowiedział głos Jaśka. — Rano „Pod Czerwonego Konia", wieczór „Pod Czerwonego Konia", ile już dni łażę! Psu by się sprzykrzyło. Kupiec przyjechał, ale go nie ma w gospodzie.

— Ale go nie ma, ale go nie ma — szyderczo powtórzył Rafał. — Od kiedy już u mnie siedzi! Biegaj do zimnej komórki, przynieś miodu gąsiorek, tego, co w kącie na lewo. O kubkach nie zapomnij! Słyszysz?

— Abom to głuchy? Zaraz idę.

— Próżniaczysko... musiałem sam napalić w alkierzu, bo ręce grabieją.

— W kwietniu? Zimnica się wam wraca, ja temu nie winien.

— No, śpiesz się, cobyśmy nie czekali długo.

Ucichło.

„Jezu najmilejszy... gdybym go mógł przywołać... Idzie!" — drżącą z niepewności i strachu ręką zapukał kilka razy w drzwi od piwnicy.

— Jasiek... słyszysz mnie? To ja... Wawrzek...

— O rety...

Jasiek przyklęknął, schylił się i przyłożył usta do szpary.

— Na miły Bóg... cóż ty tam robisz?

— Chciał mnie zabić, uciekłem, drzwi były otwarte, wpadłem w dziurę.

— O łajdak! Zamknął cię na kłódkę!

— Nie potrafisz otworzyć?

— Jakżeż? Klucze zawdy[521] trzyma w kieszeni.

— Zlituj się... ratuj!

— Czekaj no... dobra nasza! Abom to na darmo na dzwoniącej kukle terminował? Niosę im napitek, żrą się tam oba z kupcem w alkierzu, aż tu słychać. Sprzątnę mu klucze, ani się opatrzy. Siedź spokojnie, zaraz wracam.

[520] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[521] *zawdy* (daw.) — zawsze.

— Ach, ino się śpiesz, bo mi się serce potarga od strachu...

„Królowo nieba i ziemi, nie daj mi ginąć tak marnie! Siedzi i siedzi... może mu się nie udało... zbój go za rękę przyłapił... przyjdzie z nożem... o... kroki słychać... nareszcie!"

Jasiek otworzył kłódkę.

— Poprzyj sobą krzynę, bo drzwi ciężkie... wyśliźnij się... O matko, gdzież ja cię schowam?... O rety... już idą! Wtul się do kąta za beczkę, przykucnij... uciekam do kuchni... może cię jako później wypuszczę.

Ledwie że Wawrzuś połę od kożuszka ku ścianie podsunął, głosy rozmawiających zbliżyły się ku drzwiom od pierwszej izby, naprzód wyszedł kupiec, za nim Hincz Bartnik — Czarny Rafał. Sprzeczali się głośno i wymachiwali rękami.

— Myślicie, że ja kuję czerwone złote? — krzyczał brodaty kupiec ze złością — sto dukatów za trzy sznury pereł! Śmieszno posłuchać.

— U Balcera w bogatym kramie zapłacilibyście dwa razy tyle abo i więcej — dowodził gospodarz zachrypłym głosem.

— Sprawiedliwe słowo... idźcie se do Balcera, niech od was kupi. Piękny towar, bez przygany, ino go się przedaje w nocy, nie w dzień, i w zamkniętym alkierzu, nie w Sukiennicach.

— Ostatnie słowo?

— Dwadzieścia czerwieńców.

— Bodajeś siedem lat konał na jednym boku i skonać nie mógł, Judaszu!

— Za takie dobre życzenie należy się jeszcze lepsze: Niech pan Bartnik ma letkie[522] skonanie, i to nie za siedem lat, ale na ten przykład za siedem dni. Dobranoc.

— Dawaj dukaty, zdrajco, bierz perły.

— Nu, po co było tego hałasu? Ja wiedział, co wasza miłość bardzo zgodliwy człowiek, ino sobie czasem lubi pożartować z Abramkiem. Żebym tak zdrów był, ile ja już lat z panem Bartnikiem handluję!

— Skórę ze mnie drzesz, niewiaro jedna! Teraz się wynoś, mam ważną sprawę do załatwienia.

Wyciągnął z bocznej kieszeni wielki, ciężki klucz, otworzył i silnym uderzeniem w plecy wyrzucił kupca za drzwi.

— Jasiek!

— Czego chcecie? — rzekł chłopak niechętnie, wychodząc z kuchni powoli i udając zaspanego.

— Przynieś mi nóż z izby sypialnej; na skrzyni leży.

— Nie pójdę... boję się... w waszej izbie straszy.

— Głupiś; zresztą, wszystko jedno, mam ich kilka i w lochu. Weź z kuchni kaganek, poświecisz mi na dół... albo nie, daj mi latarnię, sam pójdę. — I mruknął przez zęby: — Mazgaj gotów by... słuchaj no — mówił dalej głośno — idź zaraz na strych, przy ostatnim kominie za krokwią wisi worek nieduży, przynieś mi go. No, czego stoisz?

— Takim zmęczony... jutro rano przyniosę.

— Idź mi w te pędy, bo rzemień zedrę na tobie, smyku jeden!

Nie było rady, musiał iść na strych. Szczęściem schody znajdowały się blisko drzwi od piwnicy, po drugiej stronie ściany. Poszedł. Czarny Rafał ukląkł i syknął z podziwu:

— Tysiąc diabłów! Byłbym przysięgał, że klucze mam w kieszeni, a one przy kłódce... no, no, starzeje się człowiek czy co!

[522] *letki* (gw.) — lekki.

Odłożył kłódkę na bok, z trudem dźwignął drzwi do góry i oparł je o ścianę. Stąpał powoli, świecąc sobie kagankiem.

Jasiek zawrócił czym prędzej; czupryna Wawrzusia i pałające oczy wyrosły ponad beczkę. Starszy chłopiec dał znak ręką i zsunął się po poręczy na ziemię. Z głębi piwnicy słychać było drwiący głos Bartnika:

— Ptaszeczku, a gdzieżeś? Najdę cię, najdę, nie bój się, zakamarków tu nie ma; jak cię pogłaskam po gardziołku, to zaśpiewasz niczym słowik...

Szarpnęli drzwi od ściany, zapadły z trzaskiem i łomotem...

— Hej... A tam co się dzieje? — krzyknął Rafał z lochu. — Jasiek, zleź no ze strychu. Jasiek!

— Rety... trzęsą mi się ręce... kluczyk się zaciął czy co? — szepnął Jasiek, duże krople potu wystąpiły mu na czoło. — Poświeć prędko... o Jezu... nie mogę... już jest!

— Czegóż te drzwi zleciały? Dźwignij trochę, ja pomogę z dołu; no, cóżeś tak zesłabł, durniu jeden?

— Matko... a jak wyważy plecami? Chłop silny, a zawiasa jedna zardzewiała.

— Przystawić czym ciężkim — odparł Wawrzuś.

— Ha... łotry... hultaje... złodzieje! Toście sobie zadrwili ze mnie! — ryczał pod ziemią zbój. — Nie radujcie się jeszcze przed czasem... choćbyście zdolili uciec, zanim drzwi wyważę, nie skryjecie się przede mną. Mam w Krakowie dwudziestu na usługi; na jutrzejszą noc dostawią mi was obu.

— Jasiek... przepadliśmy! Wywali drzwi, jak Bóg na niebie.

Istotnie, pchane mocarnymi plecami Rafała dębowe deski zaczęły się jakby wzdymać, zardzewiała zawiasa chrzęściła.

— Beczka! — zawołał Jasiek.

— Ale czy ciężka?

— Nie ruszałem jej nigdy, stoi w tym miejscu, odkąd tu jestem.

— Ani mi się ważcie tykać beczki! — wyło spod ziemi.

— Nie mogę ruszyć.

— Dawaj zaraz!

Przysadzili się obaj i z trudem dotoczyli ciężar na środek drzwi. Czas już był wielki: gwoździe od zawiasów ruszyły się.

— No... ale mi też ulżyło! — westchnął Jasiek. — Jednego nie rozumiem, czego on chciał od ciebie? Pierwszy raz chłopca widzi i zaraz zabijać. Chyba cię chciał postraszyć dla śmiechu?

— Ależ, Jasiek, słuchaj, kiedyżem ci miał tłumaczyć? Twój Hincz Bartnik to mój Pielgrzym, to... Czarny Rafał!

— Jezusie Nazareński! Co za szczęście, żeś wpadł do lochu!

— A jużci; już leciał na mnie, jak wtedy przed laty pod kościołem.

— Chłopcy, puśćcie... jacy wy głupi, to śmiechu warte, doprawdy! Odwalcie beczkę, drzwi otwórzcie, dy wam nic nie zrobię! — prosił więzień, śmiejąc się. — Ten mały niech se idzie spokojnie do domu; tobie by się należały baty, ale ci ten raz daruję. Stchórzyliście z głupoty, nie ma za co karcić tak srodze.

— Aha, gadajcie, ile wola; na nic się to nie przyda; nam życie miłe.

— Jak Boga kocham, puszczę was zdrowo!

— Ty Boga kochasz? — wrzasnął Wawrzuś, schylając się do szpary — ty Boga kochasz? A święte kielichy kto pokradł Panu Jezusowi?

— Alem oddał co do jednego.

— Chi, chi, chi!... a to ci dobrodziej! Rzucił do rowu świętości, a gada, że oddał.

Świętoszek, Złodziej

— Uciszcie się, posłuchajcie. Na moje życie przysięgam, że wam włos z głowy nie spadnie, ino mnie puśćcie! Zapomnę o wszystkim. Daruję i tobie, Jaśku, i tobie, co nawet miana twego nie znam. Skończone rachunki, ani was palcem tknę!

— A słyszeliście ogłoszenie pana burmistrzowe?

— Milion tysięcy diabłów!

— No widzicie. Mnie ta na złotych pieniądzach nie zależy; do tej pory podarunek od królewicza nietknięty w kalecie[523]. Ino trząść się ze strachu przed wami już dłużej nie chcę, Jaśka mi pilno wyratować, i cobyście ludzisków nie rabowali i nie uśmiercali.

— Głupiś, boś młody — łagodnie perswadował Rafał. — Ino wyjdę z lochu, to wam dam po worku dukatów, że je ledwo udźwigniecie.

— Dziękujemy; nie trza nam.

— Po dwie garści drogich kamieni... diamentów iskrzących, szmaragdów zielonych jak trawa, szafirów jak niebo w nocy, rubinów czerwonych jak krew.

— Takich jak moja, coście się w niej myć chcieli? Dziękujemy za wszystko; już darmo nie gadajcie, odchodzimy. Patrzaj no, Jasiek... tu, gdzie beczka stała, dziura okrągła.

— Widzicie, ludzie! To on pewnikiem miał tędy drugie wyjście abo schowek!

— Zobaczymy. Poświeć ino; nie można tak schodzić lekkomyślnie; a nuż to studnia z wodą? Kto go wie, na co takiej dziury potrzebował.

Zajrzeli w głąb; drabina stroma.

— Nie łaźcie tam! — krzyczał Rafał — przy samych schodach niedźwiadka trzymam na łańcuchu. Mnie ino zna... was podusi i pożre!

— O rety!... — wrzasnął Jasiek i cofnął się.

Wawrzuś parsknął śmiechem.

— Właśnie teraz pójdziemy śmiele. Nie rozumiesz, że plecie byle co, aby nas odstraszyć? Zejdźmy powoli, ja naprzód, nie boję się niedźwiedzia.

Spuścili się po drabince na dół i szli wąziutkim, niskim korytarzykiem.

— Słyszysz, jak pięściami o drzwi tłucze?

— Ojoj... drzwi na kłódkę zamknięte!

— Masz tobie! A teraz co?

— Ukręcić.

— Nie da się; za mocna.

— Ano, to wracajmy jak niepyszni.

— A nie. Kiedy się tak bał, widno jest sposób dotrzeć... aha! Jakeś piwnicę zamykał, widziałem kilka kluczy na rzemyczku.

— A prawda! To te będą.

— Skocz i przynieś.

Z łatwością dobrali klucz i drzwi otwarli; znowu korytarz bardzo długi, na końcu drzwi żelazem okute, z dwoma zamkami.

— Są większe klucze?

— Są.

— No, to otwieraj. Spiżarnia czy co?

Na ziemi, dokoła ścian stały szklane gąsiory i ciężkie baniate kamionki; pewno ze starym winem albo miodem. Wyżej dwie długie półki; na jednej mniejsze i większe woreczki ciasno trzema rzędami ustawione. Zajrzeli do któregoś: same złote pieniądze. Na drugiej półce kilka drewnianych szkatułek. Jasiek postawił latarnię i podniósł wieko jednej skrzyneczki.

[523] *kaleta* (daw.) — torebka, sakiewka.

— O dlaboga świętego!... To te kamienie drogie, co je nam obiecował! Phi... teraz bez pozwolenia nabierzemy se, ile dusza zapragnie.

Wawrzuś splunął z obrzydzeniem.

— Tom ja się cieszył jak głupi, żeś ty ino z musu źle robił, a w sercu poczciwość chowasz, a tobie łupy złodziejskie pachną? Bierz... kradnij... najedz się onych skarbów... znać cię nie chcę!

Przypadł twarzą do ziemi i zaniósł się płaczem.

— O Jezu, Wawrzuś! Cichaj... to nieprawda... to ino pokusa diabelska... nie płaczże tak strasznie... bodaj te drogości smołą się rozpłynęły! Już nigdy, przenigdy ździebełka cudzego nie tknę! Niech mnie Pan Jezus tutaj zaraz śmiercią skarze, jeślibym miał słowa nie dotrzymać. O, Wawrzuś, Wawrzuś, ino tego nie gadaj, że mnie znać nie chcesz! Ja cię tak okrutnie miłuję.

— A ja ciebie jeszcze bardziej, dlategom płakał. Idźmy stąd; trza dać znać na strażnicę.

Idąc z powrotem, spostrzegli w korytarzu mały kuferek, którego poprzednio w pośpiechu nie zauważyli.

— A to co? Zobaczymy.

— Dziękuję Ci, Panie Boże... moja odświętna przyodziewa. Sukmanka od pana miecznika, a tu kożuch, buty, koszula, o... i pasik z trzosem, wszystko! Pozwolisz mi to zabrać?

— Dy twoje własne, uczciwie zapracowane, bierz.

— Oj, Wawrzuś... bieda...

— Jaka? Tak nam się wszystko po myśli składa, jakby aniołowie stróże za rękę nas wiedli.

— Ta ono prawda. Ale drzwi od ulicy na dwa spusty i na sztabę zamknione, klucz u... onego, od furtki tak samo, parkan wysoki, jeszcze i gwoździami najeżony. Którędyż się wydostaniemy z tego więzienia?

Cmentarz, Zabobony

— Niechże cię głowa nie boli o takie drobiazgi! Parkan wysoki, za to mur cmentarny niski i poszczerbany; przejdziemy jak po schodkach.

— O Matko... przez cmentarz? W nocy?

— Ij... durnyś ty. Za żywota źle robili, wtedy byli straszni. Pod krzyżami cichuśko leżą, nic nam nie zrobią. Nawet koniecznie nam przejść tamtędy, bo swoich rzeczy nie możesz tu ostawić[524].

— Abo co?

— Abo to, że jak po zbója przyjdą, wszystkie jego sprzęty i majętności do sądu oddadzą; jakożbyś im dowiódł, które rzeczy są iwoje? A tak, przerzucisz przez mur, schowasz w jakim kątku, a jutro albo pojutrze zabierzesz tobołek i mnie oddasz do przechowania, póki sobie służby nie najdziesz.

— Kto przyjmie złodziejskiego parobka! — szepnął Jasiek.

— Idź do pana miecznika, opowiedz mu wszystko, ani słówka nie zataj, przyjmie cię na powrót, zobaczysz.

Jasiek zabrał swoje zawiniątko, przeleźli z łatwością na cmentarz i szli w milczeniu ku przeciwnemu murowi.

— Coś się rucha...

— Wiatr gałęźmi rzuca.

— Coś szepce...

— Suche liście pod nogami.

— Jezus. Maryja, ktoś idzie ku nam!

[524] *ostawić* (daw.) — zostawić.

— Wstydź się, tchórzu! Gdzie? Kto idzie?

— O... tam od kapliczki...

— Stańże spokojnie i patrz śmiało. Daj mi rękę; jak nas upiór chyci, to obu razem. Cóż? Jeszcze ci się zwiduje?

— O... tam... takie długie, czarne...

— Cień od tego wysokiego krzyża; prawieś jak dziecko trzyletnie, co się strachów boi! No pójdź, nie ma czasu do stracenia. Pewno wszystkie bramy miejskie pozamykane.

— Już nam ani święty Boże nie pomoże; nie wpuszczą nas — westchnął Jasiek.

— Ee... gdzie tam, z muzyką, bębnami i chorągwiami na ratusz nas zawiodą — żartował Wawrzuś. — Toli wczoraj dopiero czytał ów pan list o Czarnym Rafale, a dziś naszą ciężką pracą przyłapaliśmy zbója.

— No, to drała do Nowej Bramy!

Pobiegli.

— Stukajmy oba na raz, prędzej nas usłyszą.

Załomotali kołatką. Strażnicy, przyzwyczajeni do tego rodzaju figlów pijackich, nie odpowiadali wcale, a chłopcy dobijali się natarczywie. Wreszcie pan Onufer otworzył pamiętne dla Wawrzusia okienko i krzyknął ze złością:

— Precz mi stąd, urwipołcie przejęte! Wracajcie pod wiechę[525], kiedyście jeszcze nie dopili, a nam dajcie spokój!

— Pod nijaką wiechą nie byliśmy ani nie pójdziemy; gadaj do niego, Wawrzuś, może se przypomni.

— Kiedy to nie wachmistrz. Otwórzcie, wasza miłość. Pożądaną wieść niesiemy. Czarny Rafał w naszym ręku!

Ceklarz[526] rozśmiał się głośno.

— Mogłeś co mędrszego wymyślić, tobym cię może wpuścił. Czarny Rafał... proszę ja kogo! Jak już łgać, to dobrze, prawda? Starostowie se zęby na nim połomili[527], a dwóch wyrostków go trzyma! Idźcie se do Rafała, może was przenocuje.

— Zaklinamy waszą miłość, wpuśćcie nas do miasta! Sprawa tak wielkiej wagi...

— Będziemy się póty tłukli, aż nas...

— Wawrzuś... straż miejska pod murami... prosto ku nam...

— Co tam za gwałty o północy? Bramę chcecie rozwalić? Stój! Ani kroku! — zawołał rotmistrz ceklarzy.

— Nie w głowie nam uciekać; łaska Boska, żeście, wasze miłoście, nadeszli, może się przecie doprosimy jakiej pomocy.

— Bierzcie chłopaków na strażnicę. Jak dostaną po dwadzieścia pięć odlewanych, to im się odechce burdy robić. No, marsz!

— Ależ ulitujcie się, wasza miłość...

— Idziesz czy nie, łobuzie jeden z drugim!

— Złapaliśmy Czarnego Rafała! Bóg świadkiem, że prawdę mówię! — zawołał Wawrzuś, podnosząc rękę jak do przysięgi.

— Jeszcze imienia Boskiego wzywa, zuchwalec jeden!

— Pójdźcież się przekonać, macie nas w ręku. Wyliczycie nam po pięćdziesiąt, nie po dwadzieścia pięć, jeśli nie jest tak, jako mówimy.

— Uczciwie chłopcu z oczu patrzy; cóżeś ty za jeden? — spytał dowódca.

— Mistrza Wita uczeń. Chciejcież uwierzyć i pójść z nami.

---

[525] *pod wiechę* — do karczmy, której znakiem rozpoznawczym była wiecha, tj. wiązanka gałęzi lub małe drzewko, przybrane i przybite nad wejściem.

[526] *ceklarz* — strażnik.

[527] *połomić* (gw.) — połamać.

— Daleko?

— Na Brzegach; pod cmentarzem świętej Gertrudy.

— Prowadź.

Przez drogę chłopcy opowiedzieli, co tylko wiedzieli o Czarnym Rafale, bez ładu i składu; to jedno mógł rotmistrz zrozumieć, że człowiek zamknięty przez nich w piwnicy musi być jeśli nie tym samym, przez sądy poszukiwanym, to w każdym razie zbójem godnym szubienicy.

Gdy zaszli na miejsce, żołnierze wyważyli furtkę od podwórza, bo nie było inaczej dostępu, i cały oddział wszedł do sieni. Jasiek wskazał beczkę na drzwiach, za czym obaj z Wawrzusiem cofnęli się do kuchni, by tam pod dozorem strażnika czekać, aż się rotmistrz przekona, że całe ich doniesienie było prawdziwe.

Słyszeli wrzaski, szamotanie się, przekleństwa, ciężkie kroki żołnierzy niosących skrępowanego zbrodniarza; potem brzęk kajdan i rozkazy wydawane przez dowódcę straży.

— Ja sam z Piotrem, Kubą i Mateuszem odprowadzę ptaszka do klatki, a jutro rano wręczę klucze od skarbów panu burmistrzowi. Choć jednak drzwi od korytarzy pozamykane, mógłby kto, świadomy onej barci[528], chcieć się wedle niej zakrzątnąć pod nieobecność bartnika; tedy Marcin, Tomasz, Krzysztof i Paweł zostaną tu na noc. A ty, Szymek, odstawisz chłopców do cekhauzu[529].

Wawrzuś aż podskoczył, słysząc to rozporządzenie.

— A cóżeśmy to okradli czy zabili kogo, że nas więzić chcecie? — krzyknął, zrywając się z ławy. — Pójdę do rotmistrza; za co nam taką krzywdę wyrządza?

— Nie bądźże głupi i siedź spokojnie — tłumaczył mu strażnik. — Gdzieś przecie nocować musicie, a tu was nie ostawią i pewno sami byście nie chcieli. Rano się pośle do mistrza Wita, a skoro zaświadczy, żeś jego czeladnik, a ten drugi twój przyjaciel, tej godziny będziecie wolni. Nijaka wam się krzywda nie dzieje.

— Wyjrzyjmy do sieni — szepnął Jasiek — chciałbym pojrzeć na onego.

Wawrzuś się wzdrygnął.

— Za nic w świecie!

— Dy skrępowany...

— Jużem się mu napatrzył aż zanadto; mam dość na całe życie.

*

Proces Czarnego Rafała trwał długo, coraz to nowe zbrodnie wychodziły na jaw, udało się złapać kilku z jego bandy, sąd przesłuchiwał świadków, okazało się, że popełnił rabunków, kradzieży mnóstwo; grabił kościoły, mordował podróżnych bez litości, słowem, dziesięciokrotnie na karę śmierci zasłużył.

We dwa miesiące po strasznej przygodzie i szczęśliwym ocaleniu Wawrzusia przybył nowy biały krzyż na cmentarzu świętej Gertrudy.

PORĘBA

Podstarości z Niegoszowic i jego miłość pan Wawrzyniec. — Drewniany konik, brat drewnianej jaszczurki. — Do Poręby! — Skowronek w gnieździe. — Jasiek nie je klusek, Marysia skubie róg zapaski.

Czeladnicy mistrza Wita poskładali narzędzia, odpasali fartuchy, kilku wykwintnisiów skoczyło do sypialni za pracownią zmienić podniszczoną odzież i przeczesać zapylone włosy, inni wybiegli na miasto, nie umywszy nawet rąk po robocie, a wszystkim pilno było uciec z warsztatu. Ci, co się postroili, zawrócili z ulicy Poselskiej

[528] *barć* — dziupla z gniazdem pszczół w pniu drzewa w lesie; tu przen.: miejsce pełne skarbów.

[529] *cekhauz* (daw., z niem.) — arsenał, strażnica.

w Grodzką i podążyli spiesznie do gospody „Pod Srebrną Gruszą", gdzie właśnie odbywał się poczęstunek wyzwolinowy[530] Pietrka z Myślenic, pozłotnika, na którą to zabawę solenizant zaprosił kilku dobrych znajomych z innych pokrewnych cechów.

W pustej i wyjątkowo cichej czeladnej izbie siedział przy stole Wawrzuś i rysował kredą na tabliczce jakąś postać wysmukłą w powłóczystej szacie. Pocierał czoło lewą ręką, to znów zmazywał rysunek mokrą szmatą, nie szła mu robota.

„Ściemnia się, dam spokój; trza będzie jutro próbować, może lepiej pójdzie. Kto tam? Czego?"

W uchylonych drzwiach od sieni ukazała się jakaś jasna głowa.

— Chciałbym się wi... jesteś w domu!

Wysoki, ogorzały chłopak po wiejsku ubrany wskoczył do izby, nie prosząc o pozwolenie, i chwycił siedzącego z tyłu za ramiona.

— Cóż tam za głupie krotochwile?... Puszczaj! — odwrócił się i skoczył na równe nogi z krzykiem: — O rety... Jasiek!

— A ja!

— Skądeś się wziął?

— Przyjechałem z końmi na jarmark. Chłopców i Kaspra zostawiłem w stajni, a sam co tchu do ciebie... Aj, Wawrzuś, Wawrzuś... tyle lat, jakem poszedł z Krakowa! Gadaj no... to już będzie... chyba...

— Ano, ni mniej, ni więcej, ino[531] pięć roków[532] i trzy miesiące.

— Jak ten czas leci, aż się w głowie zawraca! Ale skądże tak dokumentnie pamiętasz? Nawet miesiące?

— Bo widzisz, ów ten rok srodze był dla mnie ważny. Cała przeprawa z Czarnym Rafałem... jeszcze mi dziś włosy stają na głowie...

— Oj i mnie!

— No, a przedtem nasza droga do Wilna z ołtarzem dla królewica. Widziałem go tak z bliska, jak ciebie teraz; kolana jego całowałem, do śmierci tego dnia, tego miesiąca i tego roku nie zapomnę. No... ale co z tobą się dzieje? Czemużeś nigdy nie zajrzał?

— Nie mogłem; jakoś we dwa czy we trzy tygodnie... wiesz, Wawrzuś, do dzisiejszego dnia ci dziękuję, żeś mię[533] namówił wrócić się do pana miecznika.

— Dobrze, dobrze; cóż było we dwa tygodnie?

— Pojechali państwo pod Piotrków, do ojców[534] pani, ma się wiedzieć, ja z nimi. Tamem się bardzo prosił, coby mi wolno było przy gospodarzu posługować.

— Przy jakim gospodarzu?

— Tak się nazywa najstarszy z parobków, co dozór ma nad żniwem, orką, siejbą; nieco karbowy[535], nieco podstarości, ot, politycznie[536] się go zowie gospodarz. Pan miecznik, zawdy[537] jednako łaskaw na mnie, zezwolił chętnie, bom się mu też i przyznał w pokornej poufałości, że całe myślenie mam ino ku temu, by se gdzie na wsi gruntu kupić i kmieciem być, jako dziad i pradziad.

— A daleko ci jeszcze do tego?

---

[530] *wyzwolinowy* — z okazji wyzwolin, tj. zakończenia służby u majstra, momentu, od którego młody rzemieślnik z terminatora staje się czeladnikiem, może już pracować sam i decydować o sobie.

[531] *ino* (gw.) — tylko.

[532] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.

[533] *mię* — dziś popr.: mnie.

[534] *ojcowie* (gw.) — rodzice.

[535] *karbowy* (daw.) — nadzorca robotników rolnych; nazwa pochodzi od kija, na którym nacinano karby, zapisując w ten sposób ilość wykonanej pracy.

[536] *politycznie* (daw.) — grzecznościowo, uprzejmie.

[537] *zawdy* (daw.) — zawsze.

— Niewiela już braknie; ściskam każdy grosz, jak ino mogę, na przyodziewę jak najmniej wydaję, ot, byle oberwano nie chodzić. To się i zasług[538] za kilka lat sporo uskładało. A dodawszy one dwadzieścia dukatów, co mi w ratuszu za schwytanie Czarnego Rafała wypłacono, to już bez mała wystarczy. Ino Bogiem a prawdą, nie mnie się one czerwieńce[539] należały, ino tobie; przeciem ja ani we śnie o tym nie pomyślał, że Hincz Bartnik a Czarny Rafał to jedność.

— Baj baju; tobie grosz potrzebniejszy, kiedy se na gospodarstwo zbierasz, ja już na wieś nigdy nie wrócę… — urwał, machnął ręką i odetchnął głęboko.

— Juści[540], do roli toś ty, prawdę rzekłszy, niewydarzony; stań no przy mnie; po ramię mi ino sięgasz, a ręce małe i niespracowane, niczym u panny miecznikówny. Ale w tych rękach rzemiosło masz piękne, za jeden tydzień więcej zarobisz niż ja za rok. Tedy nie mamy se co przyganiać, obu nam dobrze na tym świecie.

— No tak… Aleś nie skończył o tym Piotrkowie?

— Ano, krótko, nie długo dokończę, że mię w owym Grodzisku państwo ostawili[541], abym się wszystkiego, co mi trzeba, w porządku wyuczył, jako że u pana podstolego, rodzica pani miecznikowej, gospodarka na dziesięć mil wkoło była sławna, a u nas w Niegoszowicach więcej mokrych łąk i bajorów[542] niż ornej ziemi; państwu zasię zabawa bardziej w głowie i jazdy do Krakowa, a nie co inszego. Tedy całe te lata wybyłem w Grodzisku, dopiero na wiosnę dali mi państwo rozkaz wrócić do dawnej służby i jakom się u nich nauczył, u pana miecznika próbować. Pismo dostałem od pana podstolego okrutnie chwalące, no i… zgadnij, Wawrzek, co dalej?

— Ożeniłeś się abo[543] co?

— Ee… zaraz bym się ta żenił… ciekawość, z kim i za co? Nie zgadłeś, więc ci powiem: od świętego Jana jam ci jest podstarościm albo, jeśli wolisz, gospodarzem w Niegoszowicach!

— Ojoj… to ci się muszę w pas kłaniać i „wasza miłość" gadać?

— Pewno, pewno, zbytnio se nie pozwalaj ze mną.

Objęli się za szyję jak bracia i pocałowali się ze śmiechem.

— No, a ty? Gadaj o sobie.

— Cóż powiem? Ino rok śmierci królewica zapisany mam w sercu; potem dzień za dniem, tygodnie, lata mijały, ani nawet nie było sposobności korzystać z podarunku od kniazia.

— Z jakiego podarunku?

— Nie spominałem ci?

— Jak żywo!

— Ano, to czekajże, zacznę od początku. Trzeciego marca to było, wszystko mi stoi przed oczyma, jakby się wczoraj działo. Trzeciego marca tedy, czyli nazajutrz po przyjeździe do Wilna, roztwieramy[544] paki, wyjmujemy święte figury. Stanko z Jurkiem na wyrypy[545] ołtarzową szafę zbijają, aż tu drzwi służba na rozcież otwiera i wnoszą królewica Kazimierza[546]. Srodze się radował Panienką Najświętszą i przecudnymi

[538] *zasługa* (daw.) — wypłata, wynagrodzenie za wykonaną pracę.

[539] *czerwieniec* — czerwoniec, czerwony złoty: nazwa złotego pieniądza o wartości zbliżonej do dukata.

[540] *juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[541] *ostawić* (daw.) — zostawić.

[542] *bajorów* — dziś popr. forma D. lm: bajor.

[543] *abo* (daw.) — albo.

[544] *roztwierać* (daw.) — otwierać.

[545] *na wyrypy* (gw.) — tu: w pośpiechu.

[546] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

aniołami, aż pokraśniał na obliczu i ręce raz wraz w górę wznosił z podziwienia. Wszystko mu Stanko musiał tłumaczyć, jak będzie ustawione, a ja mu się podsuwam przed oczy z maluśkim aniołkiem, com go sam rzeźbił. Tak się też onym dzieciątkiem ucieszył, aż strach. Wraził rękę do kieszeni, podarował mi dwa czerwieńce na pamiątkę i pyta: „Cóż se kupisz za te pieniądze?" Anim się zająknął, ino krzyczę: żółte ciżemki! A on, choć niemal umierający, jeszcze się moją głupotą ozweselił[547], śmiał się nawet. Kazał paziowi przynieść ze sypialni[548] swoje własne, co mu były niewygodne, i mnie je podarował. Do tej pory nie miałem ich na nogach.

— Na wesele je chowasz czy co?

— Nie; na nabożeństwo u Panny Maryi w dzień poświęcenia naszego ołtarza. Ale gdy o to pytasz, było i wesele, a jakże.

— Czyje?

— Stanka Stwosza z Jadwisią, Macieja Stwosza jedynaczką.

— Zaprosili cię?

— Niech no by nie zaprosili! Drużbą mu byłem, pannę do ołtarza prowadziłem.

— Dworujesz sobie ze mnie? Taki chrobaczek[549]?

— Żeś sam wielki niczym Wyrwidąb, to ci każdy za mały. Przecie urosłem sporo przez tych kilka roków[550], a wesele było w kwietniu.

— Dobrzeć to, ale taki Stanko, mistrza Wita syn...

— Ojoj... straszne mi cuda! Czeladnik jako i ja.

— Co ty gadasz? Toś ty już wyzwolony?

— Chyba się nie ma czemu dziwować; dy[551] dziesięć lat we warsztacie[552] jestem. Chłopaki wołają na mnie „wy"[553] albo „pan Wawrzyniec". W dodatku rzekę ci jeszcze, że mnie mistrz cale[554] jawnie chwali, przed ludźmi się mną chlubi i prawą ręką swoją zowie.

— Cie wy, cie wy...[555] a toś ty urósł nie na żarty! Teraz na mnie kolej w pas się kłaniać waszej wielmożności. Wędrówkę do obcych krajów odprawiłeś?

— Jeszcze nie; mistrz mię nie chce puścić, bo to już za kilkanaście dni ołtarz ustawiamy w kościele, więc przy wykończeniu naszemu panu... prawa ręka się przyda.

Mówiąc, zaśmiał się wesoło.

— A ja se myślał...

— Że co?

— Że jak konie zbędę[556] na jarmarku i pieniędze panu miecznikowi odwiozę, to se razem...

— O jakie też to ciężkie takie powolne gadanie! Ady[557] kończ, kiedyś zaczął!

— Myślałem, że se razem choć na dwa, trzy dni do Poręby pójdziemy. Tęsknota

— O Jezu Nazareński! — krzyknął Wawrzuś i zasłonił twarz rękoma. Łzy

— No co? Poszedłbyś, prawda? Czego się nie odzywasz?... Ludzie... dy on płacze jak baba! Nie wstyd ci! wąs się chłopu sypie... i beczy!

---

[547] *ozweselić się* (gw.) — rozweselić się, rozbawić się.
[548] *ze sypialni* (gw.) —
[549] *chrobaczek* (gw.) — robaczek.
[550] *roki, roków* (gw.) — lata, lat.
[551] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[552] *we warsztacie* (gw.) — dziś popr.: w warsztacie.
[553] *wołają na mnie „wy"* — zwracają się do mnie w grzecznościowo w liczbie mnogiej.
[554] *cale* (daw.) — wcale, zupełnie.
[555] *Cie wy?* — „Widzicie wy?": skrócenie używane w Krakowskiem.
[556] *zbyć* — tu: sprzedać.
[557] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

— Już nie... jużem się cale uspokoił... ach, mójeś ty kochany... jaki ja głupi, głupi, głupi... Ani razu się nie spytałem, czy znasz, kędy się idzie do naszej wsi. Od dziecka, jakby mi kto gwóźdź w głowę zabił, nie śmiałem nawet pomyśleć o Porębie. Ledwiem wskoczył w tę puszczę zatraconą, jużem zgubił drogę do domu. A potem ojciec Szymon i ksiądz kanonik perswadowali mi tyle razy, że jest kilkanaście Poręb w polskim kraju; skąd wiedzieć, która moja? Ach, Jasiek, Jasiek... gdyby mi dziś kto zabronił, z łańcucha bym się urwał, spod ziemi bym się wykopał, a leciałbym z tobą jak ten wicher! Tego nikt nie wyrozumie, ile ja się bez[558] te dziesięć lat napłakał za matusią. No, gadaj, kiedy pojedziemy?

— Cichaj, cichaj, nie bądź taki nagły; nie umarłeś do tej pory, to jeszcze kilka dni poczekasz. Z koniami[559] muszę skończyć, pieniądze do domu odwieźć, pozwolenie od pana dostać i dopiero przyszedłbym po ciebie. A mistrz co na to?

— Mistrz dobry; będę go strasznie prosił, to się dwa dni obejdą beze mnie. Stanko mu równie dobrze pomoże. Zresztą, ołtarz już tak jakby skończony, złocą go tylko i malują... Jasiek, Jasiek, już mię ani ciżemki od królewica tak nie radują, jak ta nadzieja, ta nadzieja! O Matko Boska z matusinego obrazka... dziękuję ci!

*

— Patrzajże, to ja właśnie tą samą drogą szedłem do Krakowa — dziwił się Wawrzuś — Łobzów, Balice, Rudawa, Pisary, ino[560] przed Pisarami to już se nie spomnę. Daleko jeszcze?

— Nie bardzo. Ino[561] lasem w bok od Tenczyna, potem Brodła, znowu krzynę lasem i już my doma[562].

— Raju, raju... co oni powiedzą, jak nas zobaczą!

— Ciekawość, czy poznają? Dziecko się więcej przeinacza z latami niż starszy człek. Ileżeś to miał wtedy?

— Coś ponad osiem lat.

— No a teraz osiemnaście, to kawał czasu. Ludzie gadają, co matka dziecko po trzydziestu latach zdoli poznać. Zobaczymy.

— No prędzej, prędzej; ino byś przysiadał co sto kroków.

— A, bo mnie w Porębie nikt nie czeka — odparł Jasiek cicho. — Tedy chodźmy dalej, kiedy ci tak pilno.

O ileż milsza była ta wędrówka dwóch przyjaciół od błąkania się samotnego dziecka, udręczonego strachem i głodem!

Szli, śpiewając wesołe krakowiaki, pogoda jak na zamówienie, a gdy im lipcowe słońce nadto dopiekało, kładli się w lesie na mchu i odpoczywali. Chleba, sera, wędzonki mieli obaj zapas potężny, źródełka po drodze częste, słowem, gdyby nie tęsknota Wawrzusia, migiem zleciałyby im te mile z Krakowa do Poręby.

W Brodłach uczynili sobie ostatni popas; Jasiek obiecywał, że za dnia jeszcze staną na miejscu. Przed wschodem słońca wyszli, a choć młodzi i silni, zaczynali uczuwać zmęczenie; aż tu, jak na szczęście, turkot wozu rozległ się za nimi. Przystanęli.

— W którą stronę jedziecie, gospodarzu? — spytał Jasiek.

— Kazbym jechał? Toli do porębskiego lasa[563].

---

[558] *bez* (daw.) — przez.
[559] *koniami* (gw.) — dziś popr. forma N. lm: końmi.
[560] *ino* (gw.) — tylko.
[561] *ino* (gw.) — tylko.
[562] *doma* (gw.) — w domu.
[563] *do lasa* (gw.) — dziś popr. forma D. lp: do lasu.

— Może byście nas podwieźli krzynę? Od Krakowa piechotą idziemy, tak nogi bolą...

— A siadajcie; wozu mi nie ubędzie i konie nie poczują.

Wskoczyli uszczęśliwieni, że im się taka gratka trafiła. Wóz się toczył cicho, koła grzęzły w piasku.

— A wy dokąd? — spytał chłop.

— Także do Poręby.

— Odwiedzić kogo abo do księdza może?

— Do krewnych — krótko odpowiedział Jasiek; ale Wawrzuś nie mógł się powstrzymać i spytał drżącym głosem:

— Nie znacie przypadkiem Wojciecha, tego, co jego chałupa czwarta z kraja?

— Wojciecha Skowronka? Juści[564], że go znam; krowę u mnie kupił dopiero w tamten czwartek. Skądże mnie o niego pytacie? Po pańsku odziany... a możeście syn dziedzica z Poręby?

— Nie; z Krakowa jestem — odparł Wawrzuś. Serce mu waliło ciężko, aż się bał, że tamci ten łomot posłyszą.

— A co się dzieje z Mikołajową Śliwiną? — zapytał Jasiek.

— Ano, bieduje baba przez chłopa. Rady sobie dać nie może; rolę pospuszczała sąsiadom, bo jakoż będzie sama wedle ziemi robić?

— Nie wydała się?

Chłop splunął.

— Ij... kto by ta brał takową sekutnicę? Męża zatrapiła, pasierba z domu wygryzła, z piekła rodem baba i tyle. Dziewczyna z pierwszego małżeństwa też bez jej niedozór[565] zaziębiła się i pomarła. Znają ludzie Śliwinę, każdy jej z drogi schodzi.

— A synka ponoś miała?

— Miała i ma do tej pory. Pan Jezus sprawiedliwy za biednego Jaśka na własnym dziecku ją pokarał... cherlawe toto, ani jeszcze nie gada po ludzku, ino mamroce jakosi nieskładnie, ciężko wyrozumieć, czego chce. Musicie tutaj wysiąść, bo ja do tracza jadę, drzewa se wybrać na stodołę.

— Bóg zapłać za przysługę!

— Za mało, za mało[566] — odpowiada gospodarz, skręcając w lewo ku lasowi.

— Daleko jeszcze? — niecierpliwił się Wawrzuś.

— Ino ta górka zasłania — odpowiedział Jasiek.

— No to biegnijmy. Wypoczęliśmy na wozie, a ty się wleczesz jak ten ślimak. Tęsknota

— Biegaj sam, kiedyś taki chybki; ja już nie mogę prędzej.

Szli pod górę w milczeniu.

— Jasiek... ta wieś... tam... czy to...

— Juści, że Poręba. Idźże se do domu, a ja popytam się o wójta i z nim pierwej pogadam. Kiedy macosze niedola, to może bym ja od niej ojcowiznę wykupił.

Wawrzuś nie słyszał już ani słowa... biegł ku wsi nieprzytomny z radości. Ach, co tam matusia teraz robi? Ani się domyśla, że jej synek stracony, już-już... za chwilę... za pół chwili do nóg jej upadnie.

Przystanął. W oczach mu się mieniło, w uszach dudniało, oparł się o drzewo, bo się czegoś nogi pod nim uginały.

„O raju... tak blisko, a ja stoję i ruszyć się nie mogę".

Przetarł oczy, otrząsnął się powoli, nieśmiało szedł w ulicę. Minął chatę Bartoszów, sad, stodołę...

---

[564]*juści* (gw.: już ci) — oczywiście, rzeczywiście, w istocie.

[565]*bez jej niedozór* (gw.) — przez jej zaniedbanie.

[566]*za mało* (gw.) — tu: nie ma za co.

„A jak zmylę?... Ta druga, Macieja Kowala, teraz Marka Walecnego, teraz... teraz... teraz nasza!"

Jakby mu kto kamienie do nóg przywiązał, wlókł się ociężale, potykał się jak pijany...

Na przyzbie przed domem siedział ośmioletni jasnowłosy chłopczyna i kozikiem gruby kij oskrobywał.

„W imię Ojca i Syna... dy[567] to ja! Jak raz moje lata, moje włosy, oczy, całe liczko moje... dobrzem się sobie naprzypatrował w zwierciadle u księdza kanonika... E... coś mi się zwiduje... mamidło[568]... dziecka bym się bał?"

— Niech będzie pochwalony; czy dobrze trafiłem do Wojciecha Skowronka?

Chłopczyk spojrzał nań nieufnie, głowy nie podnosząc, i mruknął:

— Na wieki; juści tutaj.

— A czy gospodarz w domu?

— Nie, w polu.

— A gospodyni?

— Do dworu posli.

— A czyjżeś ty?

Malec odpowiadał niechętnie, badawczo tylko przypatrując się nieznajomemu; ostatnie pytanie wydało mu się zapewne bardzo niemądre, bo zapomniał o wszelkiej przezorności wobec obcego człowieka i parsknął śmiechem.

— A cyjze by? Tatusiów i matusin.

— A po cóżeś tu przyszedł?

— Kazem miał być? Chi! chi! chi!... ja se ta we swoim domu siedzę; ale wy, panicku, cegoj tu chcecie?

— Matko Najświętsza, rozumiem... — łzy mu się zakręciły w oczach; przysiadł się na przyzbę do dzieciaka, ten mu jakoś nie bronił i dalej swój patyk obrabiał.

— Toś ty synek Wojciechów?

— No.

— A siostry masz?

— Jakże; Marysię i Kondusię.

— A braci?

— Był jeden, ale dawno pomarł.

— Cóż skrobiesz tym kozikiem?

— Kunia[569]; cobym miał na cym za krowami na paświsko[570] jechać.

— Pokaż no; nie bój się, nie wezmę ci, ino coś zobaczę. Widzisz, z tego końca jest gruby i zakrzywiony, a ja mam w kieszeni taki sprawny, ostry nożyk, co wszystko zdoli. Wyrzezam końską główkę, dopiero będziesz miał źróbka[571] jak się patrzy, dobrze?

— Róbcie. A piękny będzie?

— Jak żywy.

Nigdy w ciągu dziesięciu lat pracy u mistrza Wita nie rzeźbił Wawrzuś z takim zapałem, jak dziś końską głowę dla braciszka. Malec ukląkł na przyzbie, przytulił się do nieznajomego i patrzał mu przez ramię z gorączkowym przejęciem.

---

[567] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[568] *mamidło* — zjawa.
[569] *kuń* (gw.) — koń.
[570] *paświsko* (gw.) — pastwisko.
[571] *źróbek* (gw.) — źrebak, konik.

— O, jakie to uska... i grzywka... a chrapy ci rozwalił, pilno mu wyskakować[572]! Retyści, jaki to smyśny[573] nożyk! Od carownika go macie?

— Podoba ci się konik? Czekaj, czekaj, jeszcze mi go nie wydzieraj... muszę skończyć porządnie. Szczęście, Rodzina, Spotkanie

W niecałą godzinę wierzchowiec był gotów. Uwiązano mu postronek do szyi i malec objechał podwórko. Zatrzymał się przed podróżnym, popatrzył nań rozjaśnionymi uciechą oczkami, objął nagle za szyję i zaczął całować.

Wawrzusia znowu niemoc ogarnęła... Ale w uszach śpiewały mu jakieś anielskie głosy: „Jesteś w domu, w domu... ojca masz i matusię, i braciszka, i siostry; skończyła się tęsknota, na całym bożym świecie nie ma szczęśliwszego od ciebie".

Wziął chłopca na kolana, głaskał go po głowie i buzi, chciało mu się płakać, śmiać i znowu płakać.

— Widzisz, jakiś niedobry, jeszcześ mi nie powiedział, jak cię wołają.

— Jakże? Jędrek.

— Nie wiesz, rychło tatuś wróci?

— Zarozicki[574]; siano bez cały dzień przewracali, słońce się chowa, to i przydą[575] wiecerzać. O... widzicie, jak raz[576] na przełaj miedzą idą!

Wawrzuś się zerwał, postąpił krok i stanął... gospodarz dochodził już do wrót.

— Niech będzie pochwalony... — zdławionym, nieswoim głosem wyszeptał chłopak, zdejmując czapkę.

— Na wieki. Podróżny? A skąd?

— Z Krakowa. Strudzonym srodze, od świtu idę, nie przenocowalibyście mnie?

— Gość w dom, Bóg w dom; wejdźcie do izby, paniczu.

— Nie żaden ja panicz, gospodarzu, ino prosty czeladnik; dopraszam się waszej łaski, cobyście mi nie dwoili[577], ino po imieniu gadajcie, Wawrzek.

Kmieć drgnął i bystro popatrzył na chłopaka.

— Siadajże na ławie, spocznij, wnetki[578] przyjdą i matka, dostaniemy wieczerzę. A gdzie droga?

— Daleko; wracam do ojców, com ich dziesięć lat nie widział.

— Dziesięć lat... — powtórzył Wojciech i westchnął.

— Tatusiu, patrzcie ino, jakiego mi ślicnego kunia ten panic wyrzezał!

Gospodarz przesunął ręką po czole i znowu patrzał na nieznajomego lękliwym, pytającym wzrokiem... Podróżny spuścił oczy i czapkę w rękach obracał. W tej chwili dały się słyszeć z pola wesołe głosy, żywa rozmowa przeplatana śmiechem doleciała ich uszu i goniąc jedna drugą, wpadły do izby dwie młodziutkie dziewuszki. Na widok nieznajomego stropiły się i poskoczyły za piec.

W progu stanęła gospodyni.

— Sprzedałam całe płótno dziedziczce; kazała se tkać drugą sztu... — urwała, teraz dopiero spostrzegłszy obcego. Obrzuciła go wzrokiem, zmrużyła oczy, jakby ją nagle słońce olśniło, i oparła się ramieniem o odrzwia.

Wawrzuś wstał z ławy, kobieta weszła do izby. Spotkanie, Matka, Syn

Tak jak przed chwilą gospodarz, spytała i ona:

— Podróżny?

---

[572]*wyskakować* (gw.) — skakać, wyskakiwać.
[573]*smyśny* (gw.) — tu: zręczny, zmyślny, sprytny.
[574]*zarozicki* (gw.) — już zaraz, bardzo niedługo.
[575]*przydą* (gw.) — przyjdą.
[576]*jak raz* (gw.) — akurat, właśnie.
[577]*dwoić komuś* — zwracać się do kogoś w formie grzecznościowej przez „wy".
[578]*wnetki* (gw.) — wnet, zaraz, niebawem.

Nikt nie odpowiedział... niepokój drżał w powietrzu... Wojciechowa podeszła bliżej; chciała pewno zagadać do chłopca, ale nim usta otworzyła, Wawrzuś runął na ziemię, obejmując ją za kolana.

— Matusiu najmilejsza... matusiu!

— Dziecko moje zaginione! Mój Wawrzuś! Moje umiłowanie! Ady[579] żem nikady[580] nie dawała wiary, cobyś ty miał nie żyć!

Chwyciła go rękoma za głowę i jak to ślepi czynią, macała go po czole, po oczach, po ustach, czy ten sam, czy żywy, czy jej się nie śni...

Skoczył i Wojciech ku nim, a Wawrzuś, nie wstając z klęczek, witał ojca i po nogach go całował.

— Oj, synku, synku, a czemużeś się ty przede mną zatail? — pytał ojciec na wpół z wyrzutem.

— Tak mnie coś za gardło ściskało, nijak nie wiedziałem, od czego zacząć. Imię swoje wam powiedziałem i że do domu wracam po dziesięciu latach, mniemałem, że sami zmiarkujecie. Ale jakem zoczył matusię, potargały się wszystkie zapory, byłbym od razu krzyczał, ktom jest, ino mi coś szepnęło w ucho, że z nagłości przelęknienia zasłabnąć gotowa, tedym się ino patrzał; czułem, że odgaduje, i... już nie mogłem zdzierżyć dłużej.

Marysia i Konda wyglądały zza pieca na tego brata po miejsku odzianego, z gładką, nieopaloną twarzą i białymi rękami; nie śmiały się zbliżyć, sam pobiegł do nich i wycałował za całe dziesięć lat. A Jędrek chodził dumny, bo to on pierwszy z braciszkiem gadał i jemu Wawrzuś, a nie tatusiowi ani matusi, konika wyrzeźbił.

Dopiero przy wieczerzy nie było końca pytaniom. Wawrzuś opowiedział całą swoją historię z najdrobniejszymi szczegółami, a rodzice znów mówili, jak im straszno było myśleć, że on tam w puszczy o głodzie się błąka, że go dzikie zwierzęta rozszarpały, jak ojciec nazajutrz po jego zniknięciu wybrał się konno skoro świt i szukał po lesie nadaremnie... wszystko sobie rozpowiadali. Wojciechowa popłakiwała nad niedolą swego biednego dziecka, to znowu wybuchali wszyscy śmiechem, gdy była mowa o figlach Beksy i brzuchomówstwie Grzegorza. Wawrzuś zataił w swym opowiadaniu, jak nieraz okrutnie się z nim stary kuglarz obchodził, a tylko chwalił serdeczną opiekę i dobroć Grzegorzowej. I o księdzu kanoniku mówił im dużo, i o ojcu Szymonie ze łzami wspominał, a wszystkiego tak ciekawie słuchali, nawet mały Jędrek oczy wypatrywał na ślicznego panicza, co jest naprawdę jego braciszkiem.

Aż tu w otwartych drzwiach, stanął nagle Jasiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus; a mnie też ta biednego nie napędzicie[581] od siebie?

— Na wieki. — Wojciechowie spojrzeli na syna pytająco.

— Nie poznajecie go, tatusiu? Dy to Jasiek Mikołajów. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu dzisiaj; drogi nie znałem ani nazwiska swego nie wiedziałem; on mię[582] tu przyprowadził.

— A toś nam, Jasiu, miły jak niejrodzeńszy! — zawołała Wojciechowa. — Cały wiek kochania ledwie zdoli zapłacić za ten podarunek, jakiśmy dziś od ciebie dostali. Siadajże przy mnie, synku. Maryś... podaj wieczerzę gościowi; jeszcze kluski ciepłe, jedz z Panem Jezusem.

Marysia postawiła przed Jaśkiem misę pełną po brzegi, chleba ukroiła serdecznie, jakby dla czterech, nie dla jednego, i byłby jadł ze smakiem, gdyby mu czegoś

[579] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.
[580] *nikady* (gw.) — nigdy.
[581] *napędzić* (gw.) — wypędzić.
[582] *mię* — dziś popr.: mnie.

oczy nie skakały raz po raz ku dziewczętom. Czy na małą Kondusię poglądał, czy na szesnastoletnią Marysię, nie wiadomo; dość że klusek bardzo powoli ubywało, a Maryśka, czerwona jak piwonia, poskubała cały rożek od zapaski na strzępy.

Czasem przychodzi taka ciekawość na ludzi, że się jedno drugiemu nie może napatrzyć. Marysia miała oczy jak smoła czarne, a Jasiek jasnosiwe jak woda wiślana. Siwe dziwowały się czarnym, co takie bystre, a czarne siwym, że z nich uciecha tryska. Szczęście, że matka wpatrywała się cały wieczór w syna jak w cudowny obraz, bo niechybnie dostałaby się Maryśce bura za... potarganą zapaskę.

Rozmowa przeszła i na sprawy Jaśka.

— No, jakże, widziałeś się z wójtem? — spytał Wojciech, powiadomiony przedtem przez Wawrzusia o zamysłach przyjaciela.

— Dziękować Bogu, zastałem go doma[583]; wszystkośmy obgadali, obradzili dokumentnie; poczciwy człek, że się to lubili oba z tatusiem, zawziął się okrutnie, coby mi dopomóc. Od razu gada: „Idźmy do macochy". I poszliśmy.

— Poznała cię? — spytał Wawrzuś.

— Ale gdzie! Dopiero jak jej wójt powiedział, kto i co, to się aż zalękła. Myślała, żem się przyszedł ojcowizny dopominać; od razu uderzyła w płacz, jako z głodu ginie, kożucha na zimę nie ma, dziecko chore, krowa się sterała[584], strzecha gnije, stajenka się wali... jak rozpuściła język, to dudniało niczym we młynie. Dopiero wójt do niej, że ja nie myślę nic wydzierać, choć po sprawiedliwości połowa mi się należy, ino przyszedłem wykupić od niej wszystek grunt, chałupę i sad za gotowe pieniądze: skoro się ugodzimy, zapłacę od razu.

— Ino się upewnij, coby se poszła z Poręby, bo jakby została, nie pozbyłbyś się baby do śmierci.

— A jakże; pamiętam ja dobrze, co ona za jedna. Tośmy też sprowadzili Walantego organistę i kościelnego Pietra, tedy przy nich obu i przy wójcie zaprzysięgła się, że precz pójdzie do Aleksandrowic, skąd jest rodem, i tam sobie siedziała będzie przy bracie, a czerwieńce po połowie bratu, po połowie na dziecko przepisze. Tak my i skończyli w prędkości, bo wszystkim nam wiadomo było, ile tatuś mieli gruntu, a wójt obrachował, co to razem z chałupą warte. Wypłaciłem przy świadkach, i spokój.

— Cóż, kiedy rola w dzierżawie — rzekł Wojciech.

— Poczekawszy, to się poodbiera; a mnie znowu nie tak pilno, mam dobrą służbę; chyba że...

I znowu mu coś szarpnęło oczy ku Marysi.

— A dużo zapłaciłeś za ojcowiznę?

— Oj, dużo! Trzydzieści cztery czerwone. Jeszcze chciała wydrzeć więcej, ino wójt i tamci wzięli mnie w opiekę i przeperswadowali[585] macosze, że gdybym się chciał prawować[586], toby nigdy tyle na jej dziecko nie przypadło.

— Toś ty teraz pan całą gębą — rzekł Wojciech — ino czy będziesz umiał gospodarować?

— Oho, tatusiu — za Jaśka odpowiedział Wawrzuś, rad, że go może pochwalić — żebyście wiedzieli, jak on się na wszystkim rozumie! U pana miecznika w Niegoszowicach całym majątkiem zarządza. Uczył się przez pięć lat w Grodzisku, a jakże!

— Łaska Boska; kiedy tak, może i my starsi dowiemy się czego nowego od ciebie, hę?

---

[583] *doma* (gw.) — w domu.

[584] *sterać się* — zużyć się, zmarnieć.

[585] *perswadować coś komuś* — przekonać kogoś do czegoś.

[586] *prawować się* (gw.) — dochodzić sądownie.

— E... ja bym ta przez[587] zapłaty za parobka do was przystał, ino mnie weźcie — odparł Jasiek niby żartem, ale Wojciecha pokornie za nogi objął i w kolano pocałował. Spojrzał ukradkiem ku ławie przy piecu, a stary, nie w ciemię bity, odchrząknął srogo i palcem mu pokiwał. Ale że się zaraz potem zaśmiał wcale wesoło, to i Jaśkowi niestraszna była owa groźba.

— Kiedyśmy se już powiedzieli wszystko, co było, to trza się wziąć do tego, co będzie — odezwał się Wawrzuś. — Ino się z wami przez jutrzejszy dzionek nacieszę, pilno mi wracać do roboty, bo i te godziny ledwiem gwałtem wydarł mistrzowi.

— To się wie — rzekł Wojciech — słowo święta rzecz; ino raz nie dotrzymaj, to ci nikt wiary nie da.

— Posłuchajcie więc. Ponieważ główny wizerunek w ołtarzu przedstawia śmierć, wniebowzięcie i ukoronowanie Matki Boskiej, przeto mistrz na swoją cześć przysiągł, że poświęcenie ołtarza i pierwsze nabożeństwo odbędzie się 15 sierpnia, czyli w święto Wniebowzięcia. Już się ino złoci, poleruje, szafa gotowa; za jaki tydzień zaczniemy w kościele figury ustawiać i boczne obrazy na śrubach mocować.

— Żeby choć raz w życiu pomodlić się przed takim ołtarzem! — westchnęła Wojciechowa.

— Do tegoż i moja mowa wiedzie, matusiu. Musicie przyjść oboje z ojcem do Krakowa i na własne oczy widzieć wszystko.

— Czy się to biedny chłop dociśnie między pany[588]? — rzekł Wojciech.

— Juści pewno, że tłumy tam senatorów będą wedle króla miłościwego; sławetna rada miasta, jego wielmożność pan burmistrz i kupców najprzedniejszych i mieszczanów[589] znakomitych nieprzeliczony zastęp, jako że i głównie ono mieszczaństwo własnym sumptem[590] ołtarz fundowało. Będzie i biskupów kilku, i księży co niemiara... Ale nie troskajcie się, tatusiu, źle by było, gdybym ja swoich rodzicieli nie mógł wpuścić do kościoła! Ady pięć aniołów te moje ręce wyrzeźbiły i proroków trzech, i świętego Wojciecha. A filarków, krokształynów[591] i baldachimów anibym się doliczył. Ino se przyjdźcie we wilię święta pod wieczór, a rano pilnujcie tego wejścia, co od strony świętej Barbary. Już ja będę wybiegał co chwila i upatrywał was.

— Nie wpuszczą nas...

— Wpuszczą, jako żywo! Jużem se to wymówił u mistrza, a ten postara się o pozwolenie u infułata.Ksiądz infułat wie dobrze, w jakiej ja łasce u mistrza Wita i że mojej pracy niemało tkwi w onym ołtarzu. Chociażbym u książąt i królów nadwornym snycerzem był, większej chluby do śmierci nie dostąpię, jako ta jest, że pospołu z Witem Stwoszem pracowałem i najcelniejszym jego uczniem jestem.

— Bogu niech będą dzięki! Wyrosłeś mi na wielką pociechę, synku — rzekł Wojciech serdecznie.

Wawrzuś pocałował ojca w rękę, ale nie mógł się wstrzymać od maleńkiej zemsty za bolesne cięgi sprzed lat dziesięciu i rzekł, śmiejąc się:

— A pamiętacie, tatusiu, jakeście rzemień strzępili na mnie? Jak was ten mój kozik mierził, a markociliście się, że nic uczciwego nie wyrośnie z „niedojdy"?

— Nie po naszej woli się stało — wtrąciła swoje słowo matka — ino tak, jako chciał Pan Jezus i jako jest najlepiej dla ciebie i dla nas.

---

[587] *przez* (gw.) — bez.
[588] *między pany* — dziś popr. forma B. lm: między panów.
[589] *mieszczanów* — dziś popr. forma D. lm: mieszczan.
[590] *własnym sumptem* — na własny koszt.
[591] *krokształyn* — półeczka, na której stoi figura.

— No, jeszcze całe jutro przed nami — zawołał ojciec. — Nocyśmy zarwali niemało, kiedyż się wyśpimy? Chłopcy, na siano do stodoły. Jutro skoro świt budzę obu, jęczmień będziemy wozić.

ZAKOŃCZENIE

Odsłonięcie wielkiego ołtarza w kościele Mariackim miało nastąpić w dniu 15 sierpnia 1489 roku, jako w święto Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi.

Od dwóch tygodni już pracowała czeladź mistrza Wita pod jego okiem i rozkazami w prezbiterium oddzielonym szarą oponą[592] od reszty kościoła. Raz po raz stawały wozy ładowne przed bocznym wejściem od strony świętej Barbary. Zdejmowano z nich rzeźby większe i mniejsze, troskliwie sianem i pakułami owiązane, i wnoszono ostrożnie do kościoła.

Najpierwszym i może najtrudniejszym zadaniem było ustawienie olbrzymiego tryptyku[593] i związanie go potężnymi żelaznymi ankrami[594] z murem kościoła. Gdy bowiem sama szafa[595], w której znajdować się miała główna środkowa grupa, ważyła przeszło 18 cetnarów[596], gdy każdą z kolosalnych postaci apostołów dźwigało z trudem po sześciu ludzi, a figur tych miało być dwanaście, rzeczą najwyższej doniosłości było utwierdzenie wiecznotrwałe tych niezmiernych ciężarów. Starszy cechu kowali, Jan Borg, zawiadował tą robotą; obliczył wszystko skrupulatnie i stosował siłę ankrów do wagi ołtarza, dodając jeszcze dla spokoju mistrza Wita haki i klamry ponad obrachunek. Stwosz nie dowierzał, bał się, tracił głowę; wszystkiego musiał dotknąć własną ręką, słyszeć każde uderzenie młota, każdy zgrzyt świdra i chrzęst wkręcanych śrub. Skrzydła tryptyku, czyli drzwi tej wielkiej szafy, okute żelaznymi sztabami, zawieszono na monstrualnych zawiasach o 257 funtach[597] wagi. Dopiero gdy tę najważniejszą czynność ukończono, można było przystąpić do złożenia w całość większych i mniejszych części ołtarza.

Wawrzuś, jak się to z dumą Jaśkowi zwierzał, istotnie mógł się nazwać prawą ręką mistrza Wita. On to doglądał w warsztacie opakowania rzeźb, on szedł za każdym wozem, przestrzegając, by jechano powoli a wybierano jak najrówniej brukowane ulice; potem pomagał słowem i ręką przy wnoszeniu figur na rusztowanie, umieszczał figury w takim porządku, jak miały być do skrzydeł wstawiane; drobniejsze ornamenta[598] kładł osobno, by się nie połamały, a wszystko szło mu sprawnie, bez najmniejszej szkody. Z nim razem pracowali gorliwie Stanko i Jurek, a reszta czeladzi pod ich dozorem.

Nareszcie zaświtał ranek wielkiego dnia... pogodny, słoneczny, złocisty ranek!

Wczoraj do późna uwijali się robotnicy, słychać było gniewny głos mistrza, któremu na ostatek nikt nie mógł dogodzić i który sam biegał po rusztowaniu ze światłem, sprawdzając, czy wszystko w należytym porządku. Przez całą noc uprzątali cieśle drągi i deski rusztowania, wymieciono wióry, trociny i śmiecie; ołtarz, gotowy i zestawiony w umówionym terminie, czekał już tylko poświęcenia.

---

[592] *oponą* (daw.) — zasłona.

[593] *tryptyk* — obraz a. płaskorzeźba, składająca się z trzech części.

[594] *ankier* — klamra, zakotwiczenie.

[595] *szafa* — Wszystkie cyfry tyczące ciężaru ołtarza, zawias, pojedynczych figur itd. tudzież opis związania tryptyku z murern kościelnym wzięty jest ze sprawozdań komitetu restauracji ołtarza, w słusznym przekonaniu, że tak samo rzecz się dziać musiała i przed czterystu laty.

[596] *cetnar* — daw. jednostka masy, od 45 do 65 kg.

[597] *funt* — jednostka masy, ok. 300–500 g.

[598] *ornamenta* (daw.) — ornamenty, ozdoby.

Potężne dźwięki dzwonów kościelnych głosiły miastu wieść radosną. Sam król najmiłościwszy miał przybyć z rodziną na uroczystość odsłonięcia wielkiego ołtarza; a królewicz Fryderyk Jagiellończyk, biskup krakowski, zaproszony przez księdza Jorka Szwarca, archiprezbitra, proboszcza mariackiego, przyrzekł odprawić pierwsze nabożeństwo.

Przed szóstą rano przybieżał Stwosz do kościoła, choć właściwie nic tam już nie miał do roboty, ale niepokój i rozdrażnienie pędziły go z miejsca na miejsce; spodziewał się, że jeszcze najprędzej doczeka upragnionej godziny u stóp ołtarza, sam na sam ze swym dziełem.

Usiadł w jednej z dolnych stall[599] i patrzał. Wzrok jego przesuwał się z wolna po rzeźbie predelli[600] tuż ponad mensą[601], gdzie rozgałęzione drzewo Jessego przedstawiało na swych konarach genealogię Najświętszej Maryi Panny. Podniósł oczy ku głównej, środkowej grupie... Poważne postacie apostołów, obecnych wedle legendy przy zaśnięciu Matki-Dziewicy, proste, naturalne w ruchu, a pełne godności, świadczyły o potężnym geniuszu twórcy. Cała tajemnica odkupienia, od jasełek począwszy aż do ukrzyżowania Chrystusa, cały szereg radości i boleści Maryi Panny, wszystko znajdowało się wyraźnie przedstawione na bocznych skrzydłach tryptyku. Przepyszne ostrołukowe zdobienia wiązały cudnymi gałęźmi te obrazy. Święci biskupi Wojciech i Stanisław, wierni słudzy Maryi, po obu stronach tryptyku; skrzydlate cherubiny słały się pod stopy Matki Bożej, unoszącej się wraz z Synem ku niebu. A tam wysoko... u samego szczytu... majestat Przenajświętszej Trójcy i Maryja w chwale wiekuistej, królowa nieba i ziemi.

Artysta

Oczy mistrza Wita jaśniały weselem i dumą. Po długiej chwili przysłonił twarz ręką i szukał w myśli obrazu, jaki pierwsza iskra natchnienia zbudziła w jego duszy... Czy rzeczywistość odtwarzała wiernie ten ideał?

Odetchnął ciężko; jednym rzutem oka objął całość ołtarza i znowu twarz zasłonił. To wspaniałe, olbrzymie dzieło, kwiat jego talentu, korona jego życia, to tylko blade odbicie cudnej prawdy zamkniętej w jego piersi, nikomu nie znanej, żadnym dłutem nie tkniętej na wieki.

W godzinę później wsunęli się po cichu Stanko i Wawrzuś, obaj strojni świątecznie, i usiedli z brzegu stall, nie śmiejąc rozmawiać, by nie przerywać zamyślenia mistrza.

Wawrzuś spuścił oczy i spoglądał z błogim uśmiechem na podarunek świętego królewicza — żółte safianowe ciżemki. Wysuwał raz lewą nogę spod ławki, to znów prawą...

„Ach, jak ta skóra połyskuje! Niczym atłas... nosy długie, spiczasto zakończone, prawdziwie pańskie obuwie. Choćbym sobie dał szyć trzewice najpierwszemu szewcowi w Krakowie, jeszcze by tak piękne nie były. I nie dziwota... wiadomo, dla kniazia inszy towar, insze staranie niźli dla jakiegoś tam sobie czeladnika".

Drzwi skrzypnęły lekko, Wawrzuś odwrócił głowę; Tomek, najmłodszy terminator, zaglądał przez szparę w oponie, dawał mu jakieś znaki, wytrzeszczał oczy i robił tajemnicze miny. Nie było rady, musiał wstać i podejść ku chłopcu.

— Przecz[602] cię tu licho niesie nie wołanego? — ofuknął go niechętnie.

[599] *stalle* — zdobione ławki w prezbiterium, blisko ołtarza, przeznaczone głównie dla duchownych.
[600] *predella* — część ołtarza ponad mensą, a poniżej nastawy.
[601] *mensa* — główna część ołtarza w formie płyty lub skrzyni na nóżkach.
[602] *przecz* (daw.) — po co, dlaczego.

— Pan Wawrzyniec swarzą, a niesprawiedliwie — odparł malec, nie tracąc fantazji — chybaście zabaczyli[603], com miał wczoraj przykazane? Dy[604] wasi rodziciele szukali pana Wawrzyńca w mistrza Witowej kamienicy, tom ich też przywiódł pod sam kościół, iżeście mi wyraźnie i dokumentnie gadali.

Wawrzuś nie dosłuchał końca, jednym susem już był za drzwiami.

Wojciech w nowej sukmanie, Wojciechowa w białej namitce na głowie, w szerokim zgrzebnym rańtuchu, używanym naówczas przez wieśniaczki jako zwierzchnia chustka, i w krasnej samodziałowej spódnicy a zapasce, czekali pokornie w kruchcie.

— O matusieńko złota... o mój tatusiu! Takem się lękał, że nie traficie do mnie, abo się gdzie zagubicie w onym ludzkim mrowisku, a tu przychodzicie właśnie w sam czas.

— Synku, a może cię kara spotka?

— Gdzie zaś kara! Z pozwoleniem samego proboszcza, u którego się ksiądz Heydek za mną wstawiał, śmiało was do kościoła wprowadzę. — I dodał żartując: — Juści, w kanonicznych ławach nie będziecie się rozpierali, ale i sam pan miłościwy lepiej od was widział nie będzie. Pójdźcież, to was wetknę w dobry kącik.

Aliści zza węgła od strony rynku wysunął się Jasiek, ciągnąc Marysię i Kondę za ręce.

— A my?

— Oho, ho! jeszcze czego! — ruszając ramionami, rozśmiał się Wawrzuś. — Idźcie se do dominikanów abo do Bożego Ciała, tam bez pozwolenia wejść można; a po południu, skoro się ciżba zmniejszy, to i wy się napatrzycie mariackiemu ołtarzowi.

Kondusia wykrzywiła buzię.

— E... ja chcę zaraz, teraz.

— Nikt się tu nie pyta o twoje chcenie — zgromił ją ojciec. — Jasiek, zabieraj dziewuchy i wynoście się, a duchem; ino[605] mi ich strzeż jak oka w głowie, coby gdzie nie poginęły.

— Nie turbujcie się, tatusiu; dy ja prawie krakowskie dziecko — odparł Jasiek — tylem tu lat przesłu... — urwał w pół słowa, gorący rumieniec wstydu zalał mu twarz... na szczęście nikt nie zauważył jego zmieszania prócz Wawrzusia, a ten poskoczył przyjacielowi na ratunek i zawołał wesoło:

— *Tatusiu*? A odkądżeś się to przypytał do moich ojców za syna, zbereżniku jeden!

— Ciekawyś, to ci powiem: od tej niedzieli, co ksiądz proboszcz zapowiedzi z kazalnicy czytał Jana Śliwy z Maryjanną Skowronkówną!

— Raju! Nie darmo mi od rana w lewym uchu dzwoniło... dobra nowina. Ale teraz, to już naprawdę uciekajcie precz, bo nie ma czasu na gawędę.

Marysia pociągnęła Jaśka za rękaw, przechyliła głowę na lewe ramię i szepnęła:

— Mójeś ty[606]...

Na taką prośbę człowiek gotów wspinać się po gładkim murze na szczyt wieży, a tu przecie chodzi ino o szparkę we drzwiach, maluśką szpareczkę... ot, aby się dwa czerwone gorseciki prześliznęły. Jasiek objął Wawrzusia wpół i zatrzymał przemocą:

— Słuchaj no, rzekę ci mądre słowo: masz ty sumienie rodzone siostry od boskiego proga odganiać? Jeśli cię pycha rozpiera, cobyś swoją moc okazował, dobrze, zaprzyj drzwi przede mną; ale tym chrobaczkom krzywdy nie czyń. Usłuchaj po dobroci, bo...

---

[603] *zabaczyć* (daw.) — zapomnieć.
[604] *dy* a. *ady* (daw.) — przecież, ależ.
[605] *ino* (gw.) — tylko.
[606] *mójeś ty* (gw.) — jesteś mój.

— Bo co mi zrobisz? — krzyknął Wawrzuś grubym głosem, niby srodze rozsierdzony, ale nie mógł się wstrzymać i parsknął śmiechem. — Dobrze, dobrze, już was wszystkich pięcioro jakoś przecuduję, ino cichuśko, powoli, a skryjcie się za ojca i matusię.

Wprowadził całą rodzinę do kościoła; wskazał im kącik tuż obok drzwi, na podwyższeniu przy stallach.

— Tymczasem usiądźcie se na schodku, a jak się nabożeństwo rozpocznie, to wstaniecie i wszystko ujrzycie jak przez okno: całe święte obrzędy, królewica Fryderyka, co choć niewiela starszy ode mnie, już biskupem jest krakowskim; i samego pana miłościwego, i królowę, no, jednym słowem, napatrzycie się za wszystkie czasy i na resztę cichego żywota w Porębie.

— A po cóż, synku, ta wielka płachta aż do ziemi zwisa? — spytała Wojciechowa.

— Po to, matusiu, aby ludzie przed czasem nie podpatrowali[607], a nam przy robocie nie przeszkadzali. Cały kościół mają otwarty, przejście dla księży od drzwi do zakrystii wolno zostawione; ino ten kawałek, co się prezbiterium nazywa, zasłonięty. Sam nasz mistrz i my starsi z czeladzi od rana do nocy tyleśmy tu dni pracowali nad złożeniem ołtarza, ustawieniem świętych apostołów i umocowaniem drobniejszych obrazów i aniołów; niech będzie Bożej Matce pokorna dzięka, iże dozwoliła mistrzowi Stwoszowi dożyć tak wielkiej chluby za dwanaście lat znojnej pracy ku Jej czci podjętej.

— O Jezu wszechmogący... dwanaście lat!

— A jakże, tatusiu, a jakże! I sprawdzą się te słowa mistrza, którem usłyszał, gdym pierwszy raz przestępował próg jego warsztatu: „Ołtarz stać będzie sto, dwieście, trzysta lat... Nasze kości dawno w proch się rozsypią, a sława mistrza Wita nie zaginie przez wieki".

— Ach, żeby to już co prędzej oną zasłonę zerwali! — westchnęła Wojciechowa.

— Rany Boga mojego... nie zdzierżę! Ratuj kto żyw! Stanko... Wawrzuś... do mnie! — dał się słyszeć spoza opony głos jakiś gniewny i żałośliwy.

— Chryste Panie... mistrz! Co mu się stać mogło?

Artysta

Wawrzuś prześliznął się migiem popod[608] płachtę i poskoczył do Stwosza. Ten stał w pośrodku[609] prezbiterium naprzeciw ołtarza i gorączkowym ruchem przesuwał palce obu rąk po gęstej siwiejącej czuprynie, wichrząc ją i wyrywając sobie włosy.

— Wołaliście mnie, mistrzu? Tum jest, co rozkażecie?

— Co rozkażę? Albo ja wiem?... Za pół godziny rozpocznie się nabożeństwo, zjedzie biskup, dwór, pan miłościwy, a mnie chyba uciekać z kościoła!

— Ależ, ojcze... — ośmielił się odezwać Stanko.

— Uciekać, powiadam! O mur głowę rozwalić... w ziemię się zapaść... wstydem spłonąć!

— Tedy rzeknijcie raz, o co wam chodzi?

— Nie widzisz? Ślepy?... Ach, przecz się mam dziwować, skoro i mnie samego szatan oślepił.

To mówiąc, wyciągnął rękę w stronę ołtarza.

— Nie widzę nic.

— Nie widzisz? Święty Stanisław stoi z próżnymi rękoma, niczym żak szkolny, a pastorał leży jak długi na ziemi pod ścianą.

— Jakaż na to rada? Rusztowanie usunięte...

— Powiedziałem, w ziemię się zapaść.

---

[607] *podpatrować* (gw.) — podpatrywać.

[608] *popod* (gw.) — pod.

[609] *w pośrodku* — dziś popr.: pośrodku a. w środku.

— Ej, rzekłbym ja słowo, ino się nie pogniewajcie...

— Gadaj — rzekł Stwosz krótko, spokojniejszym trochę głosem.

— Wierzajcie mi, ojcze, to taka drobnostka, żaden człowiek nie zauważy, czy jest pastorał, czy go nie masz.

— Dość mi na tym, że ja sam wiedział będę, a całe święto dzisiejsze mam popsowane[610]. Drabiny nie przystawię.

— A czemu nie! — wykrzyknął nagle Wawrzuś. — Jest w zakrystii drabina, sami ją zeprzyjcie ostrożnie o listwę szafy.

— No, a potem co? Szczepana tam poślę, coby nożyskami ornamenta misterne poutrącał; czy może Stanko wylezie? Chłop jak tur...

— A mnie to nie macie? Ja mały, lekuśki, jak ten kot się wywspinam, coby najmniejszego listeczka nie uszkodzić, pozłoty nie zetrzeć; a gdy będę już na gzymsie, chycę[611] się płaszcza świętego Stanisława i stanę se jedną nogą tuż przy nim. Stanko mi poda pastorał, wsunę go księdzu biskupowi w rękę... i po krzyku.

— Tak wysoko na jednej nodze? Spadniesz i szyję złomiesz.

— Ino się o mnie nie turbujcie. Na linie mię wiły[612] tańcować przyuczały, umiem po drabinie na ręcach[613] chodzić, a nie dopiero na nogach. Ino sami trzymajcie mocno, coby się drążki na gładkiej posadzce nie skiełzły[614], boby się gdzie niektóry obraz mógł uszkodzić.

A Stanko, niewiele myśląc, skoczył do zakrystii, przywlókł olbrzymią drabinę i czekał rozkazów.

— Kamień mi zdjąłeś z serca, chłopcze — rzekł Stwosz, rozchmurzając oblicze. — Ino czyś pewny swego? Nie spadniesz? Wolałbym sam zginąć, niż być przyczyną...

— O Jezu miłosierny... nie traćmy czasu! Mówiliście co tylko, że za pół godziny...

— Ano, to w imię Boże!

— Ach, dobrze, żem se spomniał! Jest tam za stallami zwój powrózka mocnego, wezmę go ze sobą.

— A po co?

— Puszczę ci jeden koniec, uwiążesz pastorał, a ja go wyciągnę na górę.

Przeżegnali się wszyscy trzej, mistrz ustawił drabinę w głębokiej szparze między dwiema taflami posadzki, oparł ją z biciem serca o górną listwę drzwi ołtarza, a Wawrzuś, istotnie jak kot, niemal jak kocię, mknął po szczeblach, prawie ich nie tykając. Z ostatniego postawił leciuchno lewą nogę na szerokim obramieniu drzwi, prawą ręką chwycił się galeryjki ponad środkową częścią tryptyku, coś migło, jakby kto w powietrzu łuk zarysował, i już małe, żywe stworzenie stało na postumencie u stóp drewnianego posągu.

— No, Stanko, dawaj pastorał!

— Królowo Anielska, ratuj nas! — wołał Stwosz ochrypłym głosem. — Trzymaj się, nieszczęśniku, filarka!

— Po co filarka? — zaśmiał się zuchwalec z góry — na jednej nodze miałem się zeprzeć, a tu, widzę, aż na dwie miejsca starczy. Dajecie ten pastorał abo[615] nie?

— Już uwiązałem. Ino powolusku ciągnij, cobyś nie uwadził o jaką gałązkę.

— Bogiem a prawdą, bieda...

---

[610] *popsować, popsowany* (daw.) — popsuć, popsuty.

[611] *chycić* (gw.) — chwycić.

[612] *wiła* — błazen, komik cyrkowy, klown, akrobata.

[613] *na ręcach* (gw.) — na rękach.

[614] *skiełznąć się* — nie udać się; tu: pośliznąć się, przewrócić się.

[615] *abo* (daw.) — albo; tu: czy.

— Co? Zemdliło cię? — zawołał Stwosz. — Ino mi nie poglądaj w dół... usiądź, przymknij oczy... spocznij...

— Ady[616] się nie troskajcie o mnie, mistrzu! Zalim[617] to nie Skowronek? A onemu[618] czym wyżej, tym weselej. O co inszego mi chodzi. Nie mogę wetknąć pastorału, bo ręka świętego za wysoko. Pozwolicie wyspinać się po filarku? Nie uszkodzę, jak Boga kocham!

— Nie wolno... nie wolno... zabijesz się!

— Ale... cobym się miał zabijać! Ino ciżmy zezuję[619], bo mi te długie nosy gawędzą[620].

Postawił trzewiki na brzegu postumentu, pastorał oparł o posąg, objął rękoma i kolanami filar wspierający baldachim nad świętym Stanisławem i posunął się o stopę wyżej... znowu o stopę, jeszcze troszkę...

Stwosz przymknął oczy; żyły, nabrzmiałe na skroniach, drgały gorączkowym tętnem.

— No, pojrzyjcie teraz, mistrzu! Już i po całym frasunku! Świętemu posłużyłem, was pocieszyłem, a sam w te pędy... o rety!

— Co... co... Stanko... czy Wawrzuś spadł? Upadek, Pamięć

— Ależ nie, ojcze; stoi ano jeszcze na górze i beczy. Co ci się stało?

— O rety, rety... święci anieli!

— Rękeś złamał? Abo nogę?

— Ee... żebyć to ino ręka... żeby noga...

— Więc co?

— Jedna ciżma za ołtarz... o Jezu!

— W tej chwili mi zlazuj[621]! Słyszysz?... Ja tu czyśćcowe męki o łotra cierpię, a on mi będzie krotochwile[622] pokazował[623]!

Wawrzuś stał już na ziemi bosy, z jedną żółtą ciżemką w ręku i zanosił się od płaczu.

— Cichajże, mazgaju! Widział kto coś podobnego? Cichaj, nie becz! Sprawię ci cztery pary za tę jedną. Sprawię ci czerwone, zielone, modre i żółte.

— Bóg wam zapłać... nie chcę nijakich... te były od... O Jezu, Jezu... od królewica Kazimierza[624]!

— Ano darmo; stało się. Sam przecie rozumiesz, że ołtarza nie odhaczę od muru i nie zwołam stu ludzi, coby go odsuwali, a twego trzewika szukali.

— Prawda; już on tam do sądnego dnia leżał będzie — szepnął smutno Wawrzuś. — Słuszna mię kara spotkała; jak śmiałem przywdziewać obuwie świętego kniazia! Pamiątką mi winno było pozostać do śmierci.

— No widzisz — pocieszał go Stanko — dla pamiątki to właśnie lepiej, że ino jeden, nie para, bo cię już nie będzie kusiło.

— Prawda...

Otarł oczy i ciżemkę sierotę wsunął w zanadrze[625].

---

[616] *ady* a. *dyć* (daw.) — przecież, właśnie, ależ.

[617] *zali* (daw.) — czy; *Zalim to ja nie Skowronek* — jestem przecież Skowronek.

[618] *on, onemu* (daw.) — ten, temu a. on, jemu.

[619] *zezuć* a. *zzuć* — zdjąć, ściągnąć (buty).

[620] *gawędzić* — tu: przeszkadzać.

[621] *zlazuj* (gw.) — złaź.

[622] *krotochwila* (daw.) — żart.

[623] *pokazować* (gw.) — pokazywać.

[624] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

[625] *zanadrze* (daw.) — miejsce pod wierzchnim ubraniem na piersi.

— Pobiegnę do domu i sam ci insze przyniosę.

— Dobrze, stoją tam nowe pod łóżkiem. A tę zabierz ze sobą i schowaj do skrzyni na samo dno. Ino nie zgub! Na Boga świętego!

— Nie bójże się, wszystko tak zrobię, jako chcesz.

Wybiegł spiesznie, bo lada chwila mógł nadjechać król i ksiądz biskup, nawet już słychać było ruch w zakrystii i głośne rozkazy księdza proboszcza wydawane klerykom. Więc też leciał Stanko, nie biegł do domu; widno aniołowie, których złocił z takim zapałem, pożyczyli mu niewidzialnych swych skrzydeł, bo nim Wawrzusiowi oczy z płaczu oschły, przyjaciel już był z powrotem.

Tedy pan *Wawrzyniec*, obuty w przyniesione ciżmy, przebijał się przez tłumy zalegające cmentarz mariacki. Halabardnicy utrzymywali wolny przejazd od zamku i ulicy Grodzkiej aż do kościoła. Chłopiec, dorobiwszy się łokciami miejsca w pierwszych szeregach widzów, stanął na palcach i wyścibił ciekawie głowę przez ramię rosłego ceklarza, by się napatrzyć królestwu nadjeżdżającym w otoczeniu dworu.

Od Szarej Kamienicy zbliżał się już istotnie orszak, witany okrzykami ludu. Poprzedzony zastępem pieszych i konnych dworzan, przybranych odświętnie w jaskrawe szaty i czapki z piórami, jechał na koniu król Kazimierz, strojny w długą ciemną szatę z tkaniny przerabianej w złote gałązki; a że było lato, więc obramienie sobolowe okalało tylko kraj szaty i wysoko rozciętych rękawów. Na głowie miał okrągłą aksamitną czapkę, dokoła której biegła taśma z drucików złotych i drogich kamieni.

Zdziwił się Wawrzuś, że od czasu, gdy go widział, będąc na Wawelu z Długoszem, król postarzał się niewiele. Ta sama frasobliwa, znękana twarz, te same bystre, smutne oczy; przybyło nieco zmarszczek i grzbiet się jeszcze przygarbił.

Przy ojcu, po lewicy, toczył koniem królewicz Zygmunt (Aleksander przebywał wtedy na Litwie). Poznał go Wawrzuś od razu po rysach prostych, jakby z kamienia wykutych, i po tej wardze dolnej, dumnie naprzód wysuniętej, która cechowała stateczną twarz młodziutkiego księcia.

Za małżonkiem i synem jechała w kolasie na pasach królowa Elżbieta z dwiema pannami dworskimi. Po obu stronach pojazdu postępowali paziowie. Wawrzuś nie miał czasu napatrzyć się miłościwej pani, bo z przeciwnej strony, od ulicy Floriańskiej, rozległy się dźwięki surm i fletni zmieszane z głośnym zgiełkiem tłumów. W pierwszej chwili nie zrozumiał, co to znaczy, lecz wnet przypomniał sobie, że to chyba królewicz Olbracht nadjeżdża na czele wojska, po walnym zwycięstwie nad Tatarami u rzeki Szawrany, niedaleko wsi Kopestrzyna. Od dwóch dni głośno już było po mieście, że ciągnie pośpiesznie do Krakowa, by zdążyć na święto Wniebowzięcia i na uroczyste poświęcenie wielkiego ołtarza u Panny Maryi. Mówiono, że zabrał 10 000 jeńców tatarskich, których po drodze rozsyła do robót przy budowie twierdz i zamków, a resztę pohańców[626] z całą starszyzną przyprowadza w triumfie miłościwemu rodzicowi.

Jakoż nadjeżdżał.

Najurodziwszy z synów królewskich, zdolny, świetny, mężny, miał w obliczu coś lwiego; zwłaszcza że gęste płowe włosy wymykały mu się spod szyszaka. Zbroja na nim paradna, szmelcowana na niebiesko, usiana złotymi ozdoby[627], rumak pod nim idący w podskokach, wszystko to składało się na obraz jakiegoś rycerza z bajki. Jak pochodnie bledną przy słońcu, tak wobec wspaniałej postaci królewicza marnie wyglądali otaczający go rycerze.

Ale ciekawość ludu zwracała się przede wszystkim ku pojmanym Tatarom. Pę- Obcy

[626] *pohaniec* (daw., pogard.) — poganin; tu: muzułmanin, Tatar.

[627] *ozdoby* — popr. forma N. lm: ozdobami (daw. forma N. lm z końcówką -y była używana w rzecz. r.m. i r.n., zanim wyparła ją końcówka -ami, właściwa dotąd tylko dla r.ż.)

działa ich jazda polska ciągnąca środkiem ulicy. Żołnierze prowadzili po kilku, przywiązanych na smyczy do siodeł.

Szło tedy niskie, barczyste, poczerniałe od stepowych wichrów tatarskie plemię, z rękoma skrępowanymi w tył, z pochylonymi głowami. Kożuchy na nich baranie, kudłami na wierzch obrócone, na wygolonych głowach skórzane szłyki[628], nogi bose lub w łapciach rzemiennych; zmęczenie, brud i dzikość malowały się w całej postawie. Lecz lud krakowski najchciwiej zaglądał im w twarze o wystających kościach policzkowych i spłaszczonych nosach. Chciał wyczytać z tych czarnych, kosych oczu, co się dzieje w duszach tatarskich. Lecz ani twarze, ani oczy nic nie mówiły. Ślepa wiara w przeznaczenie zamroziła w nich wszystkie uczucia i myśli i przebijała się w znieruchomionych rysach i wpółprzymkniętych powiekach. Tylko niekiedy spod spuszczonych rzęs bezwiednie wybiegały chciwe błyski ku bogactwom tego miasta i tego ludu: zwierzęcy instynkt drapieżców, to jedno, co nie skamieniało w ich duszach. Chciwość

W tej chwili królewicz Olbracht zeskoczył z konia, wodze rzucił jednemu z otaczających rycerzy a hełm pacholęciu, i biegł ku rodzicom. Ucałowawszy rękę ojcowską, która go potem przeżegnała krzyżem świętym, ulubieniec matki przypadł do kolasy; na stopniu z wyciągniętymi ramionami stała królowa Elżbieta. Chwyciła w objęcia głowę synowską i przytuliła ją do piersi. Za czym bracia uścisnęli się za ręce i rodzina królewska, witana okrzykami ludu, podążyła ku drzwiom kościelnym. Rodzina, Król, Syn

W kruchcie czekał na monarszych swoich rodziców dwudziestoletni biskup krakowski a niebawem kardynał — królewicz Fryderyk. Ksiądz, Młodość

Dziwnie odbijała powaga złotolitych szat liturgicznych i drogocennej infuły od drobnej, niemal dziecięcej twarzy młodzieniaszka. Fryderyk jednak umiał w takich chwilach poskramiać swą żywość i nadrabiając uroczystą miną, niósł się powoli i majestatycznie.

Srebrnym kropidłem w kształcie buławy, z sitkiem na wodę święconą, kropił rodziców i braci, po czym w orszaku duchowieństwa i panów wprowadził ich pod baldachimem do świątyni, krocząc po lewicy ojca. Po prawej miał Kazimierz małżonkę.

Królowa Elżbieta nie była wcale urodziwą niewiastą. Już wtedy, przed laty blisko czterdziestu, gdy jako młodziutka narzeczona wjeżdżała do Krakowa, nie wróżono królowi szczęścia w małżeństwie z tak bardzo niełądną księżniczką; a jednak... nie spełniły się przepowiednie, Kazimierz pokochał żonę całym sercem. Kronikarz pisze: „Miłował ją ponad miarę". Uroda, Kobieta, Król, Miłość spełniona

Szczęście, Małżeństwo

Dziś, jako niewiasta pięćdziesięcioletnia, szła strojna pod baldachimem, nie z powagą a majestatem monarchini, ale z wyrazem zadowolenia i szczością w twarzy: wszak miała obok siebie męża najlepszego i trzech synów umiłowanych.

Niska, otyła, o twarzy okrągłej i policzkach wydatnych, wyrazem oczu płaciła za wszystkie niedostatki oblicza i postaci. W tych oczach dużych, ciemnosiwych odzwierciedlała się dusza czysta i rozum niepospolity. Czasem jakiś złoty ognik strzelał z głębi szarych źrenic... może iskierka dumy... córa cesarzów, matka królów...

Na głowie miała czepiec biały atłasowy, złotem gęsto zahaftowany, tak ciasno do czoła przylegający, że ani pasemka włosów nie było widać; wierzch czepca zdobiła maleńka korona z diamentów i szafirów. Naszyjnik bardzo misternie pleciony z pereł układanych w gwiazdy, a łączonych ze sobą podwójnym rzędem szafirów. Widno te były ulubione klejnoty królowej, bo i od środkowej gwiazdy naszyjnika spadał na piersi ogromny szafir w kwadrat szlifowany, grubą złotą ramką objęty. Stanik ze Strój

[628] *szłyk* (daw.) — wysoka czapka.

złotej lamy[629], wycięty w okrąg, naszywany był górą drogimi kamieniami na dwa palce szeroko; listwa gronostajowa łączyła go poniżej bioder z brokatową błękitną spódnicą; dołem sukni bieliły się także gronostaje.

Skoro tylko miłościwi państwo przestąpili próg kościoła, zabrzmiały organy i z chóru popłynęła pieśń starodawna do Najświętszej Panny: „O Gospodzie[630] uwielbiona"... Olbrzymi kościół przepełniony był dostojnikami państwa, konsulami miejskimi, z burmistrzem na czele, i potężnym zastępem kupiectwa a mieszczan krakowskich, co w dniu dzisiejszym święcili chlubę swej ofiarności dla Matki Boskiej. Oni to, bez udziału innych stanów, hojnymi składkami dali sposobność mistrzowi do stworzenia arcydzieła. Postroili się też na to swoje święto w co najbogatsze żupany, szuby, kiereje; złote łańcuchy błyszczały na piersiach mężczyzn, kosztowne manele[631] na rękach, wspaniałe kolce[632] w uszach kobiet...

Mieszczanin

Szmer czci serdecznej powitał najmiłościwszych państwa, głowy pochyliły się nisko, baldachim posuwał się z wolna ku prezbiterium.

— Gdzie Wawrzek? — szepnął Stwosz do Stanka.

— Właśnie co wbiegł bocznymi drzwiami; stoi po prawej, przy swoich ojcach[633].

— Powiedzże mu, aby miał nóż w pogotowiu; ty stań po lewej, nie spuszczajcie oka ze mnie.

Wyjrzał przez szparę.

— No w imię Boże... przecinać sznury!

Z chrzęstem i łomotem opadła olbrzymia płachta płócienna na ziemię; służba kościelna zasunęła ją w kąt.

Sztuka, Wierzenia, Religia

Z tysiąca piersi ludzkich, ściśnionych nagle świętą grozą, wydarł się stłumiony okrzyk... potem westchnienie jękliwe poszło ku ołtarzowi, potem cisza; nawet organy oniemiały.

Chyba to nie kościół, a przedsionek nieba... grzeszne, niegodne tak wielkiego szczęścia oczy ludzkie oglądają Matkę Zbawiciela w blasku chwały wiekuistej! Zgromadzony tłum utkwił pałające uwielbieniem oczy w ołtarzu i trwał bez ruchu w świętym zapamiętaniu.

Król Kazimierz przesunął rękę po oczach, odetchnął głęboko i postawił parę kroków; Wit Stwosz podszedł również i schylił się, dotykając ziemi beretem.

— Niech was Bóg w zdrowiu chowa do setnych lat, mistrzu! — rzekł król serdecznie wzruszony — nijaka pochwała, nijaka podzięka nie wypowie tego, co człek uczuwa, stojąc przed waszym dziełem. Słowa krzepną na ustach; co byś rzekł, wszystko za mało.

— W łaskawości wielkiej oceniacie moją pracę ponad zasługę, miłościwy panie — odpowiedział Stwosz — atoli z niezmierną uciechą słucham waszej mowy, lękałem się bowiem, czy nie jest pychą a próżnym zarozumieniem to, com myślał, poglądając sam na te wizerunki. Dzięki waszym słowom mogę się radować spokojnie.

— Za dzieło tak wielkiego kunsztu podziękuje wam potomność — ciągnął dalej król — ja zasię ino za to wdzięczen jestem, żeście przysporzyli blasku memu panowaniu. Kto wspomni imię mistrza Wita, chyba i o Kazimierzu nie zabaczy. Bóg wam zapłać.

Zdjął z siebie złoty łańcuch włoskiej roboty i włożył go na szyję Stwosza; ten zaś chwycił oburącz rękę królewską i całował ją ze łzami w oczach.

---

[629] *lama* — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami.

[630] *Gospodź* a. *Gospodzin* (daw.) — Pan Bóg.

[631] *manela* (daw.) — metalowa bransoleta.

[632] *kolce* — tu: kolczyki.

[633] *ojcowie* (daw.) — rodzice.

— Miłościwy, najdobrotliwszy królu... czymże się za tyle łaski odwdzięczę!

— Niedługo już mego przebywania na ziemi — rzekł król cichym i drżącym głosem — niechby wasze dłuto obraz mojej osoby na grobowym kamieniu wyrzezało. Uczynicie mi to?

Wit Stwosz ze zwykłą sobie żywością zaprzeczył głową i rękami.

— Nie, nie, tego momentu nie chcę dożyć... toli[634] bez mała w jednych leciech jesteśmy; niechże mnie Bóg pierwszego zawoła! Wyście światu potrzebniejsi ode mnie.

Kazimierz położył mu rękę na ramieniu.

— Nie odmawiajcie mi. Niech mam tę pociechę przy śmierci, że w majestacie królewskim spoczywał będę.

Stwosz popatrzył na króla smutnie i wymówił jedno słowo:

— Przyrzekam.

— A teraz — rzekł Kazimierz swobodnym tonem — zechciejcie mi być przewodnikiem w oglądaniu ołtarza.

Zbliżyli się obaj na tyle, by nie tracić całości, a widzieć dokładnie szczegóły, i Stwosz wskazywał ręką pojedyncze figury, tłumaczył i opowiadał.

Wawrzuś wtulił twarz we fałdy matczynego rańtucha i nie myślał o niczym, nie patrzył na nikogo, jedno tylko wiedział, że po tylu, tylu takich strasznie długich latach tęsknoty jest przy matusi, ma ją dziś i jutro, i zawsze mieć może, kiedy tylko zechce... Poręba tak blisko!

Podniósł głowę, spojrzał.

— Matusiu... co wam?

Wojciechowa patrzyła w ołtarz; z oczu jej ciche, kropelka za kropelką, spływały łzy.

— Matusieńko, co wam?

— Nie wiem, synku...

Król Kazimierz zasiadł na podwyższeniu naprzeciw ołtarza, obok miał żonę i synów, a ksiądz biskup dopełniał poświęcenia.

Przez wysokie, wydłużone okna, zaszklone stubarwnymi szybami, sączyło się złociste słońce, nabierając głębokich, przyćmionych kolorów, jakby promienie jego przenikały przez płatki kwiatów lub skrzydła motyle. Tęczowe smugi padały na strzeliste kwiatony tryptyku, ślizgały się po fałdzistych szatach i brodatych twarzach apostołów, skrzyły w klejnotach zdobiących monarszą parę, igrały na łańcuchach mieszczan i złotogłowiach[635] mieszczek. Cały kościół tonął w tych bajecznych blaskach, mienił się i płonął, i grzmiał dźwiękami organów, które uderzały o sklepienie. Była w tym wszystkim odświętna, triumfalna radość tych błogosławionych jagiellońskich czasów, gdy zwycięstwa nad wrogiem, wewnętrzne bogactwo i bujność duchowego życia dochodziły w Polsce do szczytu potęgi i chwały.

Złamany zakon krzyżacki, świeże trzechkrotne[636] zwycięstwo Olbrachta nad Tatarami, plemię jagiellońskie na czeskim tronie, kraj kwitnący, miasta zasobne, drogi handlowe otwarte na wschód i zachód; w podziemiach kościelnych Na Skałce nie-

[634] *toli* (daw.) — tu: przecież.

[635] *złotogłów* — tkanina ze złotych nici.

[636] *trzechkrotny* — dziś popr.: trzykrotny.

dawna jeszcze trumna pierwszego dziejopisa[637] Polski, Długosza[638], tu, przed wiekopomnym swym dziełem, Wit Stwosz, artysta największy w całej ówczesnej Europie; a gdzieś może w tłumie, nie znany nikomu, szesnastoletni długowłosy młodzieniaszek, żak[639] przesławnej Akademii Krakowskiej — Mikołaj Kopernik.

A z tej ziemi płodnej w tyle wielkich dusz i wielkich dzieł wykwitają w tym pokoleniu kwiaty niebieskie... jedne zerwane już dłonią śmierci, inne rozsiewające jeszcze świętość dokoła siebie.

Jan Kanty[640], Szymon z Lipnicy[641], królewicz Kazimierz[642], Izajasz Boner[643], Stanisław Kazimierczyk[644], Michał Gedroyć[645], Ładysław z Gielniowa[646], Jan z Dukli[647].

Biskup Fryderyk na stopniach ołtarza podniósł oburącz promienistą monstrancję[648], która jak słońce przez chmury przeświecała przez gęste kłęby kadzidła. Pobłogosławił nią cały lud, rozmodlony na klęczkach, po czym postawił ją na ołtarzu i zaintonował hymn świętego Ambrożego.

Potężny chór tysiącznych głosów z wonnym tumanem kadzideł wzbijał się w górę i płynął w tęczową glorię, w łunę blasków i kolorów, pod sklepienie błękitne, usiane gwiazdami... zdawało się, że pójdzie aż w niebo, do stóp tronu Bożego, niosąc słowa podzięki i chwały:

TE DEUM LAUDAMUS[649]*!*

---

[637] *pierwszego dziejopisa* — autorka pomija tutaj dwóch poprzednich wielkich kronikarzy dziejów polskich: Galla Anonima, nieznanego z imienia mnicha benedyktyńskiego, który żył w czasach Bolesława III Krzywoustego (na przełomie XI i XII w.), oraz Wincentego Kadłubka, biskupa krakowskiego z przełomu XII i XIII w. Być może autorka miała na uwadze to, że Jan Długosz w swojej pracy starał się być obiektywny i korzystał z dokumentów, podczas gdy jego poprzednicy tworzyli dzieła, których charakter moralizatorski górował nad ścisłością faktów historycznych.

[638] *Jan Długosz herbu Wieniawa* (1415–1480) — kronikarz, duchowny, dyplomata, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka.

[639] *żak* (daw.) — student.

[640] *Jan Kanty* (1390–1473) — Jan z Kęt, święty Kościoła katolickiego, ksiądz, wykładowca Akademii Krakowskiej.

[641] *Szymon z Lipnicy* (ok. 1440–1482) — kaznodzieja bernardyński, zaraził się cholerą od chorych, którymi opiekował się podczas zarazy.

[642] *święty Kazimierz Jagiellończyk* (1458–1484) — drugi syn Kazimierza II Jagiellończyka, namiestnik ojca w Wilnie, uważany za dobrego władcę, poprawił bezpieczeństwo w kraju i sądownictwo. Umarł młodo na gruźlicę i został kanonizowany. Jest patronem Litwy.

[643] *Izajasz Boner* (ok. 1400–1471) — sługa Boży Kościoła katolickiego, augustianin, kierownik katedry teologii Akademii Krakowskiej.

[644] *Stanisław Kazimierczyk* (1433–1489) — święty Kościoła katolickiego, kaznodzieja krakowski.

[645] *Michał Gedroyć* (ok. 1420–1485) — sługa Boży Kościoła katolickiego, bakałarz sztuk wyzwolonych Akademii Krakowskiej.

[646] *Ładysław z Gielniowa* a. *Władysław z Gielniowa* (ok. 1440–1505) — bernardyn, błogosławiony Kościoła katolickiego, jeden z najwybitniejszych poetów średniowiecznych, autor m.in. pieśni *Jezusa Judasz przedał za pieniądze nędzne*.

[647] *Jan z Dukli* (ok. 1414–1484) – święty Kościoła katolickiego, kaznodzieja franciszkański.

[648] *monstrancja* — naczynie liturgiczne w kształcie słońca na nóżce, w którym wystawia się hostię podczas mszy i procesji.

[649] *Te Deum laudamus* (łac.) — Ciebie, Boga, wysławiamy; hymn kościelny, śpiewany przy szczególnie uroczystych okazjach.